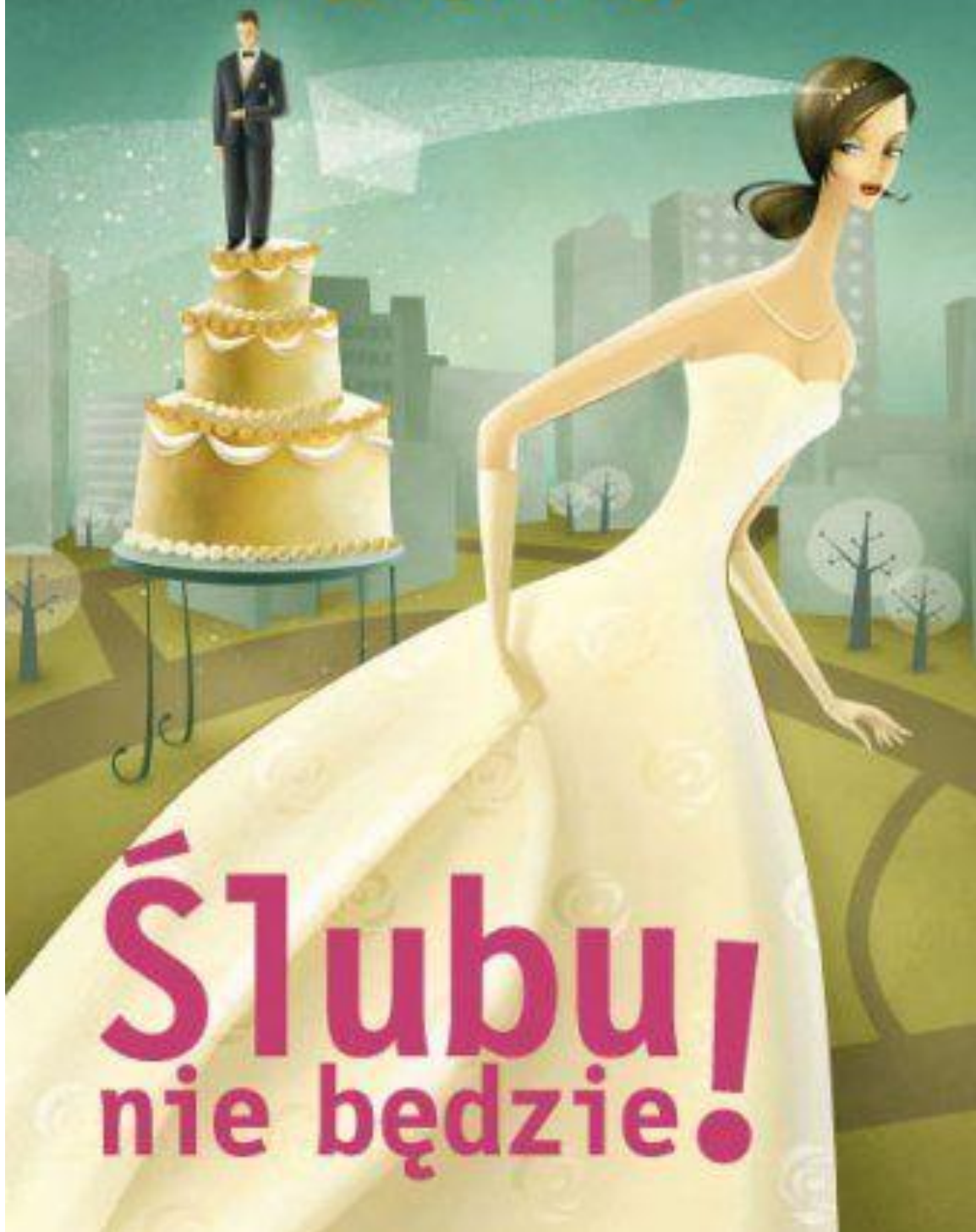


LAURA DAVE



Ślubu  
nie będzie!

# DAVE LAURA

## ŚLUBU NIE BĘDZIE!

Czy każdy związek jest losem na loterii, czy też niektórzy ludzie są sobie przeznaczeni? Nad tym właśnie rozmyśla Emmy Everett, bohaterka czarującego i niekonwencjonalnego debiutu Laury Dave. Unikając łatwych rozwiązań, autorka w swojej powieści w ujmujący sposób zgłębia nasze romantyczne wybory. *Ślubu nie będzie!* jest zabawną, romantyczną historią o miłości i lojalności. Jej bohaterka to dziewczyna pełna rozterek, ale również odważna w poszukiwaniu swojego miejsca.

Uciekająca panna młoda Emmy Everett zrywa zaręczyny. Zaszywa się w spokojnej nadmorskiej osadzie, gdzie pracuje w sklepie wędkarskim i zbiera materiały do filmu dokumentalnego o żonach rybaków. Mijają trzy lata i Emmy wybiera się do rodzinnego miasteczka na ślub swojego ukochanego brata Josha. Jest wstrząśnięta, kiedy trzy dni przed uroczystością dowiaduje się, że jej mądry i zawsze pewny siebie brat ma wątpliwości, czy chce się żenić i czy na pewno ze swoją narzeczoną. Przed ślubem Emmy wraz z Joshem wybierają się w wielogodzinną podróż samochodem na spotkanie z tajemniczą ukochaną brata, Elizabeth, by zdecydował się, kto jest prawdziwą miłością jego życia.

## NARRAGANSETT, RHODE ISLAND

Powiedziała sobie, że nie odejdzie, jeśli on choć raz jej dotknie. Powiedziała sobie, że jeśli tej nocy przez sen przygarnie ją do siebie albo położy dłoń na jej nodze, albo na kolanie, przytuli twarz do twarzy, nogą oplecie jej nogę, przycisnie usta do jej karku, dłonią pogładzi jej brzuch, ramię wyciągnie wzdłuż jej biodra, biodro przysunie do jej nogi, głowę wtuli w jej ramiona, policzkiem pogładzi jej szyję - wytrwa przy nim. Miał tyle możliwości! I Emmy zostałyby z nim na zawsze. ^Jiżytrwałyby i pozostała mu wierna. Tu.

Tu, to znaczy gdzie? Bo przecież nie w domu. Nie byli w domu. To był piątek przed Świętem Niepodległości. Na zewnątrz było trzydzieści osiem stopni Celsjusza, a oni zatrzymali się w przydrożnym motelu na południu Rhode Island, w drodze do Maine do jego rodziców. Chcieli tam spędzić świąteczny weekend. Nie mieli zamiaru zatrzymywać się w drodze, ale wyjechali z miasta później, niż zaplanowali, bo przeciągnęło się jej spotkanie z organizatorką przyjęcia weselnego i on był o to zły. A potem ona była zła, bo - czy naprawdę musi mu o tym przypominać? - po pierwsze, to nie ona chciała hucznego wesela. Chciała ślubu tylko we dwoje, gdzieś na urwistym brzegu, może w Nowym Meksyku, wysoko nad poziomem morza, gdzie gliniane chatki wtapiają się w wysuszoną ziemię.

Emmy odwróciła się na plecy. Tutejsze prześcieradła były sztywne. Alarm przeciwpożarowy tkwił wprost nad jej głową. Obok leżał pilot do telewizora. Kolejność była następująca: ona, pilot do telewizora, on. On również leżał na plecach. Gdyby włączyła telewizor, nawet by się nie obudził. Gdyby wstała, ubrała się i poszła po colę do automatu na korytarzu, też by się nie obudził. Gdyby usiadła

z colą na zewnątrz przy basenie i spędziła tam godzinę lub dwie, nie obudziłyby go jej nieobecność.

Gdyby sam się obudził i spostrzegł, że jej nie ma, mógłby poczuć niepokój, ale nie dość silny, żeby pójść jej szukać. Najpierw wziąłby prysznic. Posłuchałby radia, żeby wiedzieć, jaki jest dziś ruch na drodze. Zadzwoiłby do rodziny z wiadomością, o której mają się ich spodziewać. Czekałby.

A kiedyś było inaczej. Emmy była tego świadoma. Tak samo jak tego, że go straci, jeśli dziś odejdzie. I tak powoli go traciła. Ale jeśli odejdzie dziś, straci go szybko i bezpowrotnie. Jak dotąd to jej poświęcenie wystarczało, żeby odsuwać ten moment, utrzymywać ich związek. Matt poczuwał się do lojalności wobec tego rodzaju poświęcenia. Przecież się z nią żeni, prawda? Wciąż się z nią pokazywał, spał z nią, spędzał z nią czas i być może, gdyby nie zwracała na niego tyle uwagi, wcale by nie zauważyła, że dawno przestał ją kochać. Może po jakimś czasie mogłaby przekonywać samą siebie, że wiąże ich coś w rodzaju miłości, albo on przekonywałby o tym sam siebie. I kroczyłaby dalej tą samą drogą - będąc z nim i jednocześnie tęskniąc za nim.

Chyba że opuści go dzisiaj. Gdyby go dzisiaj opuściła, musiałby sam pojechać do swoich rodziców i oznajmić im, co się stało. Musiałby stanąć przed nimi i sam wytłumaczyć, że go porzuciła. Musiałby powiedzieć, dlaczego tak się stało. A tego nigdy by jej nie wybaczył.

O szóstej rano Matt odwrócił się na bok tyłem do niej. Jego dłonie tkwiły gdzieś pod prześcieradłami. Emmy wysunęła się z łóżka i poszła do łazienki. Umyła zęby i twarz. Włosy upięła w kok. Długie ciemne włosy myła szamponem dla koni, żeby były miękkie. Włożyła tę samą brzoskwiniową sukienkę na ramiączkach, którą nosiła poprzedniego dnia. Jej bardzo blada cera nie wyglądała korzystnie w zestawieniu z kolorem brzoskwini. Lepiej jej było w odcieniach błękitu, kości słoniowej i czerwieni.

Wzięła walizkę, która już była spakowana. Zostawiła kluczyki do samochodu i samochód. Zamknęła za sobą drzwi. Zatrzymała się w recepcji, żeby zapłacić za pokój. Chciała zostawić liścik, ale nie wiedziała, co napisać. Wzięła więc od recepcjonistki zapasowy klucz,

wróciła do pokoju, zdjęła brzoskwiniową sukienkę i na powrót położyła się obok niego.

Teraz leżeli twarzą w twarz.

Trochę przed dziewiątą otworzył oczy. Ciągłe zielone oczy. Popatrzył na nią.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka, najpierw zewnętrzną stroną palców, potem wewnętrzną.

- Czy wiesz, że później ma padać? - zapytała. Matt przecząco potrząsnął głową. Ziewnął.

- Tak - powiedziała. -1 to bardzo. Ma być wielka burza. Potem powinno się trochę ochłodzić.

Skinął głową, a jego powieki znów zaczęły opadać. To było dopiero jego pierwsze przebudzenie. Nastąpią jeszcze, dwa, może trzy, zanim obudzi się na dobre. Jej już przy tym nie będzie. Zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy i położyła go na poduszce. Znów wysunęła się z łóżka i włożyła brzoskwiniową sukienkę, znów wzięła walizkę i opuściła pokój hotelowy, tym razem na zawsze.

## Część pierwsza

## TRZY LATA PÓŹNIEJ

Główne molo w Point Judith w stanie Rhode Island jest długie i wąskie. W dni powszednie wczesnym rankiem nie jest niczym niezwykłym spotkanie tam kilku osób stojących wzdłuż nabrzeża i machających na pożegnanie rybakom wypływającym w morze. Przychodzą, żeby przynieść im szczęście: stoją tam, aż rybacy przepłyną obok ostatniej boi - ostatniego znaku - i zupełnie znikną z ich pola widzenia. Tak się dzieje i wtedy, kiedy Jesse O'Brien w każdy roboczy dzień, z wyjątkiem ostatnich piątków miesiąca, wypływa z portu swoją łodzią na połów homarów. Jego dziewczyna Betsy stoi na molo i macha mu zaledwie przez chwilę, po czym ucieka. W ten sposób to Jesse jest tym, który musi patrzeć, jak ona go opuszcza.

Stojąc na zapleczu sklepiku z przynętami i sprzętem wędkarskim, wielokrotnie widziałam, jak Betsy w pełnym biegu opuszcza molo. Widok na molo i na mrowie łodzi rybackich oraz bladoniebieski ocean ciągnący się w nieskończoność, hen poza zasięg mego wzroku, był jedną z niewielu dodatkowych korzyści z mojej pracy. Był to widok doskonały. I niemal całkowicie rekompensował to, co mogłam zobaczyć z wystawowego okna sklepiku - zakurzone pobocze drogi z liniami wysokiego napięcia i targane wiatrem rumowisko skalne oraz niewielki przydrożny motel, z którego wyszłam dokładnie przed trzema laty.

Wprawdzie wyniosłam się z motelu w dość dramatyczny sposób, ale nie odeszłam daleko. Udałam się drogą prowadzącą do centrum miasta, dwa razy skręciłam w lewo - najpierw w South Pier Road, a potem w Ocean Road - i znalazłam inny motel i inny pokój (natychmiast zapłaciłam za cały następny tydzień). Wzięłam prysznic i leżąc na wznak na podłodze, próbowałam wymyślić, co dalej ze sobą zrobić.

Nic mi nie przychodziło do głowy. W końcu jednak podniosłam się z podłogi i wyszłam na dwór. Idąc brzegiem oceanu, odbyłam bardzo długi spacer, z którego wróciłam z decyzją, że to nadmorskie miasteczko idealnie się nadaje do rozpoczęcia nowego życia na własny rachunek.

Wszystko się tu samo układało. W ciągu kilku dni trafiła mi się okazja zaopiekowania się domkiem gościnnym przy Boston Neck Road, głównej drodze prowadzącej wzdłuż falochronu od uniwersytetu prosto do centrum miasta. Nie był to typowy dom na plaży, ale niewiele go od niego różniło. W zamian za drobne prace domowe mogłam swobodnie korzystać z około trzystu metrów kwadratowych powierzchni, którą z wyjątkiem poranków w dni robocze rzadko opuszczałam. Udawałam się wtedy samochodem na drugi koniec Narragansett, gdzie zostałam zastępcą szefa (czytaj: jedyną pracownicą) w sklepiku ze sprzętem wędkarskim. To nie był sklep wędkarski jakiejś znanej firmy, który by funkcjonował z równie znaną restauracją rybną i był odwiedzany przez turystów oraz świątecznych wędkarzy i letników lub posiadaczy łodzi o szumnych nazwach w rodzaju So F-In Happy. To był zwykły mały sklepik w odległym końcu nabrzeża przytulony do wieży ciśnień. Dzisiaj tkwiłam w nim, mimo iż dość dawno zakończyła się moja zmiana, kręcąc się po zapleczu jeszcze kawał czasu po zjawieniu się i zniknięciu Betsy. Za każdym razem, kiedy moje spojrzenie zatrzymywało się na wiszącym na ścianie kalendarzu szefa, przedstawiającym inny model porsche na każdy miesiąc, musiałam przypominać sobie o tym, co wydawało się czymś więcej niż zwykłym wyborem. Dzisiejszą datę zakreśliłam w kółko świecącym czerwonym markerem. Czwarty lipca, Święto Niepodległości. W kwadraciku z numerem „4” napisałam - nj. Malutkimi, malutkimi literami.

- Hej, Manhattan.

Odwróciłam się w stronę przejścia prowadzącego z zaplecza na front sklepu i zobaczyłam właściciela, Bobby'ego, z dwiema stalowymi wędkami w jednej ręce i wiadrem lizaków dum-dum w drugiej.

Bobby miał sześćdziesiąt siedem lat, a ostatnio po raz trzeci ożenił się z tą samą kobietą. Z zasady złościł się na wszystkich dookoła



z wyjątkiem mnie, co nie przeszkadzało mu zwracać się do mnie, używając przezwiska Manhattan, którym obdarzył mnie w pierwszym dniu mojej pracy. Szczególnie wściekał się na kilku miejscowych klientów, obciążając ich winą za to, że nie może pójść na emeryturę, o której mówił jeszcze przed drugim powrotem żony. Co tydzień przypominał mi, żebym szukała nowej pracy. A codziennie powtarzał, że wkrótce zamknie interes na dobre.

- Czy nie powinnaś już być w drodze do domu?

Co miałam mu odpowiedzieć? Powinam. Rzeczywiście powinienam.

- Właśnie się zbieram - powiedziałam.

Rzucił mi spojrzenie, które zignorowałam. Musiałam podjąć trudną decyzję. Mój brat Josh się żenił. Powinam już była wyruszyć w kierunku przedmieść Nowego Jorku, do mojego rodzinnego domu, gdzie miał się odbyć ślub. Ale nie czułam się na siłach, by stawić czoło niekończącym się pytaniom, z którymi niechybnie musiałabym się zmierzyć z chwilą wkroczenia na weselne terytorium: Jak się układa twoje życie osobiste? Co zamierzasz robić, kiedy już opuścisz Rhode Island? Kiedy wyjdiesz za mąż? I co ty tam jeszcze robisz?

- Czy mogłabyś wobec tego zbierać się w sklepie, a nie na zapleczu? - zapytał. - Mamy tłumy.

Tłumy u nas oznaczały więcej niż dwóch klientów. Rzut oka na sklep ujawnił, że było ich troje. Łącznie z młodą kelnerką z luksusowej restauracji rybnej połączonej ze sklepem wędkarskim, która lubiła nas odwiedzać w czasie przerw w pracy. Nie wiedziałam dlaczego. Przez trzy lata niczego u nas nie kupiła. Nawet marnego lizaka dum-dum.

Ale czy to ja mogłam uzurpować sobie prawo, aby wydawać sądy? Od początku nikt w mojej rodzinie nie był w stanie zrozumieć, ani dlaczego tracę czas w sklepie wędkarskim - ani w ogóle mojej decyzji pozostania w Rhode Island. Wobec tego poszukałam sobie przekonującego powodu, który sensownie tłumaczył, dlaczego wciąż tu tkwię. Postanowiłam więc zebrać materiał o żonach rybaków wpływających na połowy. A gdzie mogłabym znaleźć lepsze źródło informacji niż w miasteczku rybackim? Moją ciekawość budziło życie kobiet skazanych na nieustanne pożegnania. Kobiet, które przez miesiąc, dwa lub trzy, kiedy ich mężowie byli na morzu, musiały

same wszystkim się zajmować. Kobiet, których życiu towarzyszyło ciągle wyczekiwanie.

Z początku pomysł zdawał się świetny. Ale mijały lata, a stan prac nad przedsięwzięciem wciąż nie spełniał moich wymarzonych oczekiwań. Nie spełniał nawet oczekiwań określonych realistycznie. Zrobiłam bardzo dużo w porównaniu z założeniami, bo chcąc, żeby zadanie było wykonalne, zaplanowałam rozmowy zaledwie z kilkoma żonami, najwyżej czterema, pięcioma, a *trochę* przekroczyłam liczebność zaplanowanej grupy badanych.

Przeprowadziłam sto siedem wywiadów z żonami rybaków.

To wynik ostatnich obliczeń.

W którymś momencie mojej pracy nad projektem zaczęłam tracić kontrolę nad zbieranym materiałem, wszystko mi się jakoś zlało w jedno. Z chwilą, gdy rozmówczynie znikaly mi z oczu, ich historie zaczynały mi się mieszać; myliły mi się blondynki z szatynkami, palenie papierosów z obgryzaniem paznokci, tatuaże z okularami do czytania. Trzy kobiety o imieniu Amy, cztery o imieniu Jen, sześć Christin, jedna Daisy, siedem Jill, dwie Lauren i cztery Lindy, trzy Gayle i pięć Josie, trzy Niny i cztery Theresy, jedna Carrie i pięć Nicole, sześć Emily i osiem Maggie, cztery Diany, trzy Kristie i dwie Sue, cztery Beth i dziewięć Julie, trzy Mary, siedem Lucy, dwie June i pięć Kate, dwie Lorny i cztery Sary - nie byłam w stanie określić, co która z nich opowiedziała. Żadna z nich niczym się nie wyróżniała.

Wciąż wszędzie widziałam Matta.

Bobby poprawił trzymane wiaderko z lizakami.

- Wiesz co, Manhattan? Daj spokój. Zabieraj się już stąd. Na nikogo nie czekają z weselem. Wierz mi. - Odwrócił się i wszedł z powrotem do sklepu.

Zegar na ścianie wskazywał piętnastą trzydzieści pięć. Dokładnie za cztery godziny i dziesięć minut byłam umówiona z bratem na Scarsdale Pool. Mieliśmy razem oglądać sztuczne ognie. Obiecałam Joshowi i całej rodzinie, że przyjadę i że się nie spóźnię. Uwzględniając nieuchronne świąteczne korki, groźba, że jeśli natychmiast nie wyjadę, pierwszą rzeczą, z której się będę musiała tłumaczyć, będzie moje spóźnienie, była naprawdę realna.

Potrzebowałam czterdziestu ośmiu sekund, żeby przejść od tylnego wyjścia sklepu i usiąść za kierownicą. Wiem to, bo idąc, liczyłam, dziewięć szybkich kroków przez parking, zamknięcie za sobą drzwi samochodu, poprawienie wstecznego lusterka, zapięcie pasów. Dzięki temu na minutę przestałam myśleć. Ale kiedy na tylnym siedzeniu zobaczyłam bagaże, stanowiące znaczną część mojego obecnego stanu posiadania, nie mogłam się znów opędzić od myśli, że zapomniałam o czymś ważnym. Czy nie zapomniałam o czymś, co wymownie świadczyłoby o tym, że u mnie wszystko w najlepszym porządku? Cóż takiego mogłam mieć na myśli, co przekonałoby moją rodzinę, że sobie tutaj świetnie radzę? Fioletowy sweter z krótkimi rękawami? Raczej wątpliwe.

Wrzuciłam wsteczny bieg i wyjechałam z parkingu w chwili, kiedy June Martin (alias June nr 2), kurczowo trzymając się kierownicy, skręciła w lewo, żeby tam wjechać swoim czerwonym volvo kombi. Na tylnym siedzeniu nie było jej dzieci, ale przez szyby, nawet za szybą bagażnika, widać było mnóstwo poupychanych dziecięcych rzeczy: foteliki samochodowe i balony, papierki po słodyczach, pluszowe zabawki.

June miała trzy córki: Danę, Carolyn i Holly. Nazajutrz miało się odbyć przyjęcie urodzinowe najmłodszej z nich. W zeszłym tygodniu June przyniosła mi do sklepu zaproszenie. Wciąż leżało w samochodzie w przegródce na rękawiczki - lśniące i różowe - niczym życzenie z przeszłości. Kiedy rozważasz, czy wziąć udział w kinderbalu, wiedz, że masz kłopoty.

- Czy jedziesz w tę stronę? - zapytała June, wskazując palcem w kierunku mojego domu i robiąc miejsce kombi, żebym mogła przejechać.

Ale z jakąś niechętną determinacją wskazałam inny kierunek, autostradę i Nowy Jork.

- W tamtą - bezgłośnie wymamrotałam, lekko się uśmiechając i machając jej na pożegnanie. Pomachała mi w odpowiedzi. A ja skierowałam się tam, gdzie powiedziałam, że jadę.

Jechałam do domu.

Kilka słów o powrocie do domu.

Nie zawsze wiesz, co zapamiętasz. A jednak zaczęło mi się wydawać, że - jeśli jest się dość uważnym - czasami można przewidzieć chwile, które okażą się ważne; chwile, które z nami pozostaną. Czwartego lipca w dzieciństwie zawsze chodziliśmy z moim bratem Joshem oglądać fajerwerki na Scarsdale Pool. Jeśli chciało się w moim rodzinnym mieście zobaczyć pokaz sztucznych ogni z okazji Święta Niepodległości, nie było wielu równie dobrych punktów obserwacyjnych. Ale dzisiejszego wieczoru, już w tej chwili, kiedy tam dotarliśmy, czułam się inaczej niż zwykle. Usiedliśmy na stoku w tym samym miejscu co zawsze, z widokiem na główny basen, nieco oddaleni od największego tłumu. Od razu wszystko, co się wokół działo, zaczęłam odbierać w jakimś dziwnym skupieniu. Nagle z niezwykłą ostrością poczułam, że niebo jest czyste, że rodzina na sąsiednim kocu to szczęśliwe blondasy, że cała przestrzeń jest świetlista i płynna. I chociaż właśnie się to działo, miałam wrażenie, że moje odczucia raczej wydobywam z zakamarków pamięci, niż rejestruję rzeczywistość. To było coś w rodzaju przestrogi, że muszę być czujna, bo zbliża się wydarzenie wielkiej wagi.

Chociaż wyraziłam zgodę na pójście na fajerwerki - zgodziłam się siedzieć na pagórku i jedząc hot dogi, patrzeć na kolory skrzące się na niebie - jakaś część mnie chciała jak najszybciej opuścić to miejsce i pojechać do domu. I to tak szybko, żeby uniknąć tłumów na parkingu. Chciałam opuścić to miejsce, dlatego że uwzględniając okoliczności, uwzględniając powagę chwili, takie wydarzenia, jak fajerwerki, czyste powietrze, szczęście, muszą zamieszać nam w gło-

wach. Mogą sprawić, że pomyślimy, że świat jest taki, jaki nie jest, że powiemy rzeczy, których innej nocy nigdy byśmy nie powiedzieli. W innych okolicznościach Josh nie powiedziałby:

- Nie jestem pewien, czy słusznie postępuję. Nie wiem, czy powinienem się żenić w ten weekend.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Patrzył wprost przed siebie, gryząc hot doga. To wystarczyło, żebym pomyślała, że mi się tylko zdawało, że się przesłyszałam. Ze to wymyśliłam. Bo kto zagryzałby hot dogiem tego rodzaju wiadomość? Tylko wariat. A mój brat nie był wariatem. A przynajmniej ja nie miałam go za wariata.

Ale wtedy znów się odezwał.

- Emmy - zaczął, tym razem używając mojego imienia w charakterystyczny dla siebie sposób, przeciągając dźwięk „m”, co zamieniało moje imię w głoskę. - Czy masz zamiar udać, że nie słyszałaś, co powiedziałem?

- Właśnie przeżuwałaś - odpowiedziałam.

- Dopiero potem. Nie zbywaj mnie.

Jedną z pierwszych rzeczy, może nawet pierwszą, których nauczył mnie Josh, było całkowite ignorowanie wszystkiego, czemu nie było się gotowym stawić czoła.

Jedyna obrona to trzymanie się na dystans. Weźmy na przykład pierwszy dzień roku szkolnego. To był jego ulubiony przykład. Gdyby nikt nie mówił o pierwszym dniu szkoły, twierdził Josh - gdyby nikt go nie planował ani się nań nie zgadzał, ani nie przygotowywał doń - nigdy by nie nastąpił. Bo skąd by się wziął? Cóż, mały geniusz był z niego! Gdyby wszyscy po prostu nabrali wody w usta w sprawie rozpoczęcia roku szkolnego, lato trwałoby wiecznie.

Odłożyłam hot doga, wytarłam dłonie o dzinsy.

- Nie zbywam cię, Josh - powiedziałam. - Słucham cię.

- Bo może być z tym problem - ciągnął. - Kocham Meryl i w ogóle, ale naprawdę może być z tym wielki problem.

Zeby to zademonstrować, zrobił rękoma wielki znak zapytania, w jednej trzymając hot doga, a w drugiej ogromny kubek coli. Przyglądała mu się mała dziewczynka z rodziny blondasów. Byłam ciekawa,

co sobie myśli, patrząc na tego bosonogiego dziecinnego mężczyznę w brudnej bejsbolówce i białej koszuli zapinanej na guziki. Mój wielki brat. Od urodzenia mój najlepszy przyjaciel. Bohater dzieciństwa. Wielki dzieciak. W przyszłym miesiącu skończy trzydzieści jeden lat. Za mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny miał zostać mężem. Mężem kogoś, kogo, nawet jeśli to nie jest istotne, naprawdę kochałam.

- Czy ten problem ma jakieś imię, Josh? - zapytałam. Milczał przez tak długą chwilę, że zdążyłam pomyśleć, że zawiódł

mnie instynkt. Może wcale nie chodzi o inną kobietę. Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze. Pomyślałam, że wyznaczony na ten weekend ślub byłby bardziej prawdopodobny, gdyby nie o to chodziło.

- Elizabeth - powiedział.

Moje serce zamarło. Czułam, że je mam, bo opadało w dół kamieniem, aż wypełniło mój brzuch niczym beczkę. Nie przypominałam sobie, że bym słyszała od niego o kimś o imieniu Elizabeth, przynajmniej nie przez ten rok, który samotnie spędził w Bostonie, a już na pewno nie w czasie mojego pobytu w Rhode Island. Ale fakt, że nie podzielił się tą wiadomością, potęgował wagę problemu i w jakiś sposób czynił go poważniejszym.

- Elizabeth? - zapytałam

- Elizabeth, tak, Elizabeth.

Nie mogłam na niego patrzeć, a przynajmniej nie wtedy, kiedy nie odwzajemniał mojego spojrzenia. Dlatego gapiałam się na główny basen, otoczony grubą pomarańczową liną, żeby nikt doń nie wpadł. Ani nie wskoczył. Kiedy Josh zaczął przyprowadzać Meryl do domu, we trójkę pływalismy w tym basenie. Nosila zielony kostium kąpielowy bez pleców, który odsłaniał cienką linię piegów ciągnącą się wzdłuż kręgosłupa. Miałam dopiero szesnaście lat. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Ona nie ma pojęcia, prawda? - powiedziałam.

- Meryl? - Pokiwał głową. - Nie, nie sędzę.

- Jesteś pewien?

- Prawie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. To wszystko trąciło szaleństwem. W niedzielę miałam być druhną Meryl. Kupiłam długą obcisłą niebie -

ską sukienkę na cienkich ramiączkach. Kupiłam naszyjnik z pereł, którego w innych okolicznościach nigdy bym nie włożyła. Kupiłam spinki do włosów w kształcie białych lilii. Josh mnie do tego zachęcił.

- Chcesz pizzę? - zapytał Josh. - Mam ochotę na kawałek pizzy przed powrotem. I jeszcze jeden napój.

- Sądzisz, że bar jest jeszcze otwarty?

- Myślę, że to możliwe.

Josh podniósł się. Patrząc na niego, zasłoniłam oczy przed widokiem nocnego nieba. Chciałam go zarzucić tysiącem pytań, ale nie byłam gotowa wysłuchać odpowiedzi.

- I co, Emmy? - zapytał, spoglądając w dół na mnie.

- Chciałabym tylko wiedzieć, jak możesz być taki pewny - powiedziałam - że Meryl niczego się nie domyśla? Chodzi mi o to, skąd to wiesz?

- Przecież już to omówiliśmy - odparł.

W jego głosie coś zazgrzytało. Nie umiał sprawiać ludziom zawodu. Zdążyłam się już zorientować, że po części z tego właśnie powodu znalazł się w takiej sytuacji.

Nie umiał powiedzieć nie, nawet jeśli to było konieczne.

- Po prostu staram się zrozumieć - powiedziałam, kiedy znów usiadł obok mnie.

- Co?

- Jak do tego doszło? - uściśliłam.

Nic nie odpowiedział, ale wyciągnął się na trawie i zakrył oczy ramieniem.

Traciłam go.

- No już. Idź po tę pizzę, zanim wszystko pozamykają. Pokręcił głową.

- Nie mam już ochoty.

- Nie masz już ochoty?

- Nie - odpowiedział.

- A czego ty chcesz, Josh?

- Czegoś innego - powiedział.

Ktoś kiedyś powiedział, że w każdej rodzinie jest jedno dziecko lepsze, nawet jeśli nikt nigdy dokładnie nie wyjaśnił, co znaczy lepsze. Takie dziecko dostaje w szkole wyższe stopnie, jest lepsze w sporcie, wszystko mu przychodzi łatwiej. Wydaje mi się, że najczęściej to właśnie starsze jest bardziej bez zarzutu, a jego pierwsze osiągnięcia są bardziej znaczące. Czy to zwykły przypadek, że tak wielu wielkich ludzi, którym cierpienie pozwoliło w końcu odnaleźć się w sztuce, literaturze, muzyce czy tańcu, było młodszymi z rodzeństwa? Joyce i Twain, Austen i Barysznikow? Czy czuli się tak, jakby wciąż uczestniczyli w grze w berka, w której są z góry przegrani? Nigdy nie miałam złudzeń, że uda mi się wygrać w berka. Przynajmniej w naszej rodzinie, Josh był zawsze szybszy ode mnie. To on należał do najlepszych sportowców i zbierał same piątki, to on wiedział, kim chce być. Z biegiem lat cele, które przed sobą stawiał, mogły się nieco zmieniać, ale tylko na takie, które były pewniejsze i bardziej przebojowe: pediatra, neurochirurg, znów pediatra. Nigdy nie wpadały mu do głowy niewłaściwe pomysły, jak choćby przyłączenie się do cyrku objazdowego albo przeprowadzka na Alaskę. Mając piętnaście lat, Josh chodził już na wykłady z psychologii w miejscowym collegeu, zapoznawał się z programem siedmioletnich studiów medycznych, gości zaproszonych przez rodziców na kolację zawojowywał opowieściami o swoich planach. I z pewnością to on zawsze lepiej sobie radził w związkach z innymi. Był z Meryl od blisko dziesięciu lat. Wyglądało na to, że uczciwie żeglują po spokojnych wodach swego związku, gładko pokonując rafy zakończenia



college'u, długich studiów medycznych i stażu Josha, a także obecną próbę wspólnego życia w Los Angeles.

Historia mojego związku była nieco bardziej zawikłana, bardziej dramatyczna. Dość rzetelnie opisuje ona również, chociaż nie jest przyjemnie to o sobie mówić, z jakiego powodu zajęłam drugoplanową pozycję w związku. Josh żeglował możliwie prosto do celu, natomiast ja spędziłam większość młodych lat, próbując wyczarować dla siebie to, co niemożliwe: zostać tancerką w Brazylii (na lekcjach baletu odesłano mnie do ostatniego rzędu), poślubić gwiazdę rocka (oczy tak mi puchły od dymu papierosowego na koncertach, że nie mogłam ich otworzyć), dowodzić statkiem wycieczkowym (mam skłonność do choroby morskiej, która mnie dopada już w porcie).

To, co robili Josh i Meryl, zawsze miało sens. Nawet ich pierwsze spotkanie owiane było takim urokiem, że aż się prosiło o szczęśliwe zakończenie. Byli na ostatnim roku college'u. Meryl mieszkała poza kampusem i zorganizowała u siebie przyjęcie halloweenowe. Josh przyszedł przebrany za żabę (mój pomysł: pocałuj żabę, a przemieni się w księcia) i wybrał się tam, bo mu się podobała jedna ze współlokatorek Meryl. Czy dacie wiarę, że Meryl wystąpiła w przebraniu księżniczki? Meryl, a nie jej koleżanka. Zatem od samego początku Josh mógł mówić, że nie był pewien, czy na nią zasługuje. Z kolei chłopak Meryl, który studiował medycynę na odległym uniwersytecie, chociaż obiecał, nie przyjechał na imprezę. Więc Meryl siedziała smutna w łazience, bo zerwała z nim tego albo poprzedniego dnia. Meryl i Josh spierali się o moment, w którym to między nimi się stało - *chyba nie myślisz, że wiedziałam, że będzie moim chłopakiem?* - jakby to było ważne. Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, ważne było to, że spędzili całą noc w łazience. Żaba i księżniczka. A jakiś zdesperowany gość wymiotował na zewnątrz, próbując otworzyć drzwi. Josh lubi podkreślać, że ten fragment nie jest ciekawy. Raczej obrzydliwy.

Teraz następuje ta część opowiadania z wyłącznym udziałem mojego brata i Meryl, która przez wszystkie lata od zakończenia studiów budziła najwięcej moich wątpliwości. Dlaczego tak długo zwlekali z decyzją o ślubie, choć z roku na rok łączyły ich coraz ściślejsze

przyjacielskie więzi? Mieszkali razem w Los Angeles, właściwie jak małżeństwo. Josh stale powtarzał, że żadnemu z nich się nie spieszy do „sformalizowania” związku. To nie moje słowa, ale jego. Jednym z głównych powodów tego braku pośpiechu miało być to, że Meryl zawodowo robi fotografie ślubne, co zdaje się odbierać chęć myślenia o szczegółach własnego wielkiego dnia.

Takie wyjaśnienie stwarza pozory wiarygodności, zwłaszcza że Meryl, jeśli w ogóle podejmowała temat swojego ślubu, wyraźnie mówiła, że marzy o skromnej uroczystości: w ogrodzie moich rodziców z rodziną i kilkorgiem przyjaciół. W ogrodzie moich rodziców. Najbardziej zdecydowana była co do tej kwestii. Być może po części wynikało to z faktu, że sytuacja jej rodziny była cokolwiek skomplikowana. Bess i Michael, rodzice, którzy ją wychowali, mieszkali na Manhattanie na Upper East Side w bliźniaku wchłoniętym przez miejskie blokowisko. Natomiast jej biologiczni rodzice byli profesorami socjologii w niewielkim college'u w Ozark Mountains. Z tego co wiadomo, do czasu kiedy kilka lat temu Meryl ich odnalazła, prawie w ogóle nie opuszczali Ozark Mountains. A teraz również i oni byli w drodze na to weekendowe wesele. Na *cały* ślubny weekend.

Jak do tego doszło? Jak doszło do tego, że planowany przez Meryl kameralny rodzinny ślub przeobraził się w uroczystość z wielką pompą? Nikt tego dokładnie nie wiedział. Wiedziałam natomiast, że w jakiś sposób ponosiłam odpowiedzialność za dopuszczenie Bess do samodzielnego organizowania uroczystości. A Bess zamieniła skromne przyjęcie w imprezę w Essex House w centrum Manhattanu poprzedzoną przyjęciem koktajlowym. Trzystu gości miało się bawić przy wtórze dziesięcioosobowego zespołu muzycznego, a na deser konsumować kosztowny tort ananasowy.

W tej sytuacji moja matka, w trosce o spełnienie pierwotnych zamiarów Meryl i Josha, postanowiła wydać w przeddzień ślubu w naszym ogrodzie kolację dla pięćdziesięciu osób. To przyjęcie miało nastąpić jutro wieczorem.

A dziś, po pokazie fajerwerków, w miejscowym barze miał się odbyć skromny wieczór kawalerski Josha, który pomogłam zorganizować. Tym wieczorem kawalerskim chciałam w jakiś sposób zrekom-

pensować to, że nie przyłożyłam się do organizowania wesela. Josh i Meryl żyli tak daleko, w Kalifornii, a ja zaledwie kilka godzin jazdy samochodem od centrum Manhattanu. Mogłam wpadać tam i omawiać sprawy z Bess, starać się ograniczać jej wielkościowe zapędy. Ale nie robiłam tego. Nie usłyszałam z tego powodu od Josha ni słowa wymówki. Meryl by mu nie pozwoliła. Rozumiała, że jeszcze nie byłam gotowa na powrót do Nowego Jorku. Jeszcze nie teraz. Popierała mnie, chociaż Josh był innego zdania. I wspierałaby mnie, choćby nawet wszyscy uważali, że mogę już wrócić. Poczulałam, że wpadam w panikę. Zwróciłam się do Josha. Musiałam z nim o tym porozmawiać. Musiałam usłyszeć, jakie ma plany.

- Josh, co teraz zrobisz? - zapytałam.

Nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył. Spróbowałam się zastanowić, co naprawdę chciałabym mu powiedzieć. Na razie z mojego powodu poczuł się osamotniony. Nie chciałam jeszcze pogorszyć sprawy. Ale ciągle nie rozumiałam, co się właściwie stało. Chodziło o niego. O Meryl i o niego. Od dziesięciu lat. Od zawsze. Tego pierwszego dnia zjawiliśmy się w trójkę tu, na tym basenie. Zapomniałam posmarować się kremem ochronnym i okropnie spiekłam palce i wierzchnią część stóp. Meryl robiła mi okłady z octu i owsianki. Mówiła, że to zmniejszy pieczenie. Siedziała przy mnie, aż zaczerwienienie ustąpiło.

- Chcę powiedzieć, że jestem po twojej stronie. Oczywiście, że jestem po twojej stronie. Tylko mam nadzieję, że starannie wszystko rozważyłeś, rozumiesz? Ludzie panikują przed ślubem. Ile filmów zaczyna się od tego, że ktoś, idąc do ołtarza, wkracza na niewłaściwą drogę?

Spojrzałam na niego, czekając na odpowiedź. Milczał. Nawet z oczu nie odsunął ramienia. Przyjrzawszy się mu uważniej, dostrzegłam, że jego pierś porusza się w dół i w górę trochę zbyt miarowo, a oczy pod zgiętym ramieniem są dokładnie zamknięte.

Szturchnęłam go w żebra.

Podskoczył przestraszony.

- Co? - powiedział. - Co się stało?

Zezłościł mnie. Siedziałam tu, rozmyślając o jego przyszłości, a on sobie spał. Taki był. Tak sobie radził. Spanie było jego głównym

mechanizmem obronnym. Takim jak dla innych ucieczka albo udawanie, że się nie rozumie, o co chodzi. A może za bardzo w niego wierzyłam. Może po prostu mało go to obchodziło.

- Zadałeś mi pytanie - powiedziałam. - Zapytałeś, czy jestem gotowa na powrót do domu.

- A jesteś? - zapytał z zakłopotaniem. Podałam mu jego klapki.

- Jak najbardziej - potwierdziłam.

Trudno mi było rozmyślać o Joshu i Meryl, nie wspominając zarazem o Matcie i o mnie. Poza wątpliwą analogią sytuacji, w jakiej znalazł się Josh, jego związek z Meryl, w pewien sposób, często stanowił odbicie mojego związku z Mattem. Albo może powinnam raczej powiedzieć, że nasza sytuacja dopasowywała się do ich sytuacji. A to z jednego powodu. Spotkałam Matta dokładnie co do dnia rok po tym, jak Josh spotkał Meryl. Pamiętam to tak skrupulatnie, dlatego że i my poznaliśmy się w halloweenową noc - to naprawdę było następne święto Halloween po ich pierwszym spotkaniu. Uznałam to wtedy za zabawny zbieg okoliczności. Ale od tego czasu wciąż poznawałam ludzi, dla których Halloween był albo początkiem, albo końcem ich związku.

Zacząłam więc myśleć, że może to wcale nie było zabawne - że być może to święto stwarza szczególnie nastrój, nastrój, w którym ludziom pod płaszczykiem przebrania za kogoś innego łatwiej jest być sobą. Mógłby to być również przyczynek do wyjaśnienia, dlaczego tak wiele starych przesądów ślubnych wiąże się z wigilią Wszystkich Świętych. Przyszłe panny młode ustawia się wokół ogniska z zawieszonym na sznurku jabłkiem. Legenda głosi, że ta młoda kobieta, której pierwszej jabłko spadnie w ogień, pierwsza wyjdzie za mąż, a jej związek będzie trwał długo i szczęśliwie. Tę, której jabłko spadnie ostatnie, czekają trudne chwile. Natomiast przyszli młodzi kandydaci na mężów muszą się czołgać pod krzakami jeżyn. Kiedy uda im się pokonać tę zaporę, mają prawo do informacji, czy ich związkowi pisane jest szczęście, czy zguba. Najwyraźniej zgodnie z tymi obyczajami odtąd na zawsze łączenie się w związki i ich rozpad miały zależeć od tego, co powiedzą duchy.

Poznaliśmy się z Mattem w Halloween, kiedy byłam w ostatniej klasie liceum i już planowałam wyjazd na studia do innego miasta. Właśnie złożyłam podanie na uczelnię na drugim końcu kraju, wyobrażając sobie kalifornijskie słońce, podnoszone dachy samochodów i ludzi, dla których Nowy Jork był równie egzotyczny, jak odpychający. Ludzi, którzy mieli mnie wprowadzać w nowe życie. Ale na razie byłam wciąż w swoim rodzinnym mieście. Stałam na dworcu w Scarsdale. Włosy miałam związane w koński ogon, a na sobie dzinsy i krótki sweterek. Wyszłam z przyjęcia na tej samej ulicy z zamiarem odnowienia zapasów napojów i dzwoniłam z automatu na dworcu, żeby ktoś przyjechał i zabrał mnie z powrotem. I wtedy go zobaczyłam. Stał w tym samym co ja wejściu na dworzec i palił papierosa. Ubrany był w wojskowe spodnie i białą poplamioną farbami koszulkę. Na policzkach miał niebieskie smugi. Nieruchome powieki o długich rzęsach były opuszczone. Bez wątplenia nigdy nie spotkało mnie nic równie przyjemnego.

Odwiesiłam słuchawkę.

- A za kogóż to niby jesteś przebrany? - zapytałam. - Za malarza? To miał być mój wielki podrywowy bajer.

Spojrzał na mnie, napotkał mój wzrok i zaczął się uśmiechać uśmiechem od ucha do ucha, którego używał od wielkiego dzwonu. A potem spowaźniał.

- A cóż ty tu niby robisz? - odpowiedział pytaniem. - Maturzystka?

Jak się okazało, ubiór Matta wcale nie był przebraniem. Jego rodzice dopiero co wprowadzili się do Scarsdale - mama niedawno urodziła dziecko, chłopca.

Przyjechał na jeden dzień z Nowego Jorku, gdzie właśnie zaczął drugi rok studiów na Uniwersytecie Nowojorskim. Głównym kierunkiem była architektura, a dodatkowym rysunek. Cały dzień spędził, pomagając ojcu malować w domu dodatkowy pokój. Zgodził się pójść ze mną na przyjęcie do moich przyjaciół tylko dlatego, że uciekł mu pociąg powrotny do miasta i nie miał nic lepszego do roboty przez następną godzinę do przyjazdu kolejnego pociągu. Powiedział mi o tym później, nie żeby zrobić mi przykrość, ale dlatego, że był zaskoczony tym, jak daleko zaszła nasza znajo-

mość już tego pierwszego wieczoru. W każdym razie wtedy nie zwracałam sobie tym głowy. Wdziałam tylko, że sięgnął po skrzynkę z napojami.

- Pójdę z tobą - powiedział wolno. - Pokaż tylko, dokąd mam to zanieść.

Zanim udało się nam z Joshem opuścić główny parking i zostawić za sobą tablicę głoszącą: *Witamy na Głównym basenie Miejskim*, minęło prawie pół godziny.

Radość z fajerwerków i dobry humor gdzieś się ulotniły. Wszyscy trąbili i przepychali się. Samochód terenowy, w którym siedziała przynajmniej siódemka wrzeszczących dzieci, zepsuł się na głównym skrzyżowaniu parkingu, a ludzie pohukiwali, żeby zabrać go z drogi.

Mój samochód prowadził Josh. Kiedy wreszcie, opuściwszy parking, skręciliśmy w lewo, od domu rodziców dzieliło nas mniej niż dziesięć minut jazdy. Przed nami otworzyła się Mamaroneck Road: po prawej stronie boiska do piłki nożnej, a po lewej ciągnące się wzdłuż drogi domy o długich srebrzystych podjazdach zamkniętych żywopłotami i bramami.

Dziwnie się czułam, tu wracając. Wszystko zdawało się zupełnie inne, niż było przed moim wyjazdem - jaśniejsze, bardziej błyszczące. Więcej ogrodzeń. Obecne Scarsdale zdecydowanie bardziej przypominało miasteczko, jakich wiele ogląda się w telewizji czy na filmach, niż to, które zachowałam w pamięci. W czasach gdy dorastałam, było tu chyba więcej problemów finansowych i gorzej ubranych ludzi. Może tak nie było, może po prostu nie zwracałam uwagi na to, co widzę teraz, patrząc jakby z zewnątrz. A jednak nie podobał mi się widok świeżo wypucowanych samochodów i świecących skrzynek na listy. Nie przypominałam sobie również zawodowych „wyprowadzaczy” psów. Myślę, że o Scarsdale, jak o każdym innym miejscu, da się powiedzieć mnóstwo wspaniałych i mniej wspaniałych rzeczy z czasów, kiedy w nim dorastałam. Nie byłam wielkim sportowcem, delikatnie mówiąc, a wiele dziecięcych wojen w Scarsdale toczyło się na boiskach i pod koszami do koszykówki. Jeśli nawet brałam w nich udział, nie byłam w stanie zbytnio się

w nie angażować. Przez długi czas w nic nie byłam w stanie zbytnio się angażować, przekonana, że moje życie bez względu na możliwości, nie rozpocznie się naprawdę, dopóki któregoś dnia nie opuszczę Scarsdale.

Przypuszczam, że bez chwili namysłu o moim rodzinnym mieście mogę powiedzieć, że jest w nim więcej różnego rodzaju tablic i znaków niż w jakimkolwiek innym znanym mi miejscu na ziemi. Nie można przejść jednej przecznicy, żeby nie natknąć się na tablice: *Przejścia nie ma, Niebezpieczny zakręt, Uwaga: dzikie kaczki, Nie parkować przy narożniku, Zbliżasz się do znaku stop, Boisko 30 metrów*. Na każdym skrzyżowaniu mnóstwo instrukcji, jak ci wolno - albo nie wolno - żyć.

Josh skręcił w lewo w ulicę rodziców, ale nie dość dokładnie wyprostował kierownicę i lewy migacz nie przestał migać. Wciąż wydawał klikający dźwięk, radośnie z daleka połyskując.

- Czy zauważyłaś - zapytał Josh - że ta ulica zrobiła się jaśniejsza w ciągu ostatnich kilku lat? Może mieszkańcy zebrali się i ustalili, że poustawiają rzeźby z terakoty w ogródkach od frontu?

- Trudno uwierzyć, że właśnie użyłaś słowa „terakota” - powiedziałam.

- Zupełna wiocha - ciągnął, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Na przykład ta kobieta o krzykliwie czerwonych włosach, która wrzeszczała do przyjaciółki z przeciwnej strony ulicy, żeby się dowiedzieć, jakiego chce bajgla. Czy to nie był bajgiel cynamonowy z rodzynekami?

- To się może zdarzyć wszędzie, Josh - powiedziałam.

- Ale się nie zdarzyło - zaprzeczył. - To się zdarzyło tutaj.

Z prawej strony wyłonił się dom rodziców. Wyglądał dokładnie tak jak zawsze - dwupoziomowy biały wiktoriański budynek z zielonymi okiennicami i balkonem, otoczony werandą zastawioną wysokimi roślinami. Za domem mogłam dojrzeć koniec ogrodu, skalisty, wznoszący się w niewielki pagórek. Gdy byłam dzieckiem, myślałam, że to góra.

Migacz wciąż pracował.

- Hej, musisz mocniej skręcić kierownicę, bo inaczej nigdy nie przestanie - zawołałam, wskazując na deskę rozdzielczą.

- Nie powinnaś z tym jeździć. Migacz nie może być niesprawny. Podjedźmy do Billy'ego, może na to spojrzy. O ile pamiętam, w weekendy nie zamyka przed północą.

Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej. Była 22:48. Josh już od pół godziny powinien być w Heathcote Tavern. Powinien popijać drinki, gadając z przyjaciółmi, i czuć się szczęśliwy. Teraz, biorąc pod uwagę to, czego się właśnie dowiedziałam, nie byłam wcale pewna, czy to jest w ogóle możliwe.

- Wiesz, możesz powiedzieć, że dziś źle się czujesz - odezwałam się.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bez powodu - odparłam, chociaż miałam pod ręką z dziesięć powodów, z których najważniejszy był taki, że przecież nie był przekonany, czy w ogóle powinien wziąć teraz ślub.

- Nie panikuj, Emmy. Kocham Meryl. Dobrze o tym wiesz. Nie chcę zrobić niczego, co by zrujnowało jej ten weekend.

- Wem, Josh, ale jeśli nie chcesz brać ślubu... Wyłączył silnik.

- A kto powiedział, że nie wezmę ślubu? Nigdy tego nie mówiłem. Myślisz, że kim ja jestem?

Nie przerywałam mu.

- I żebyś nic nie mówiła mamie - powiedział. - Ma dosyć kłopotów z tą jutrzejszą kolacją. Ma na głowie wystarczająco dużo. Wiesz, o czym mówię?

W istocie nie miałam pojęcia, o czym mówił. I naprawdę nie wiedziałam, jak to się stało, że krążąc wokół tego, co mi powiedział przed godziną, znów się zaplątaliśmy w weselną logistykę.

Tylko że teraz już nie byłam pewna, czy mam tu jeszcze coś do zrobienia. Josh zdążył wysiąść z samochodu i kierował się ku domowi. Mimo to pospiesznie zamknęłam drzwi po swojej stronie i ruszyłam, żeby go dogonić, zanim tam dojdzie.

- Przede wszystkim tobie nie powinienem był mówić - rzucił, kiedy się z nim zrównałam. Tylko proszę nie wymawiaj znów jej imienia.

- Czyjego imienia? - zapytałam.

Rzucił mi niechętnie spojrzenie, a ja wlepiłam oczy w ziemię, w swoje stopy, które w sąsiedztwie jego stóp zdawały się maleńkie,



o połowę mniejsze. To Josh zawsze się mną opiekował, *zawsze*, nawet kiedy nie miał na to ochoty. To on codziennie odprowadzał mnie do szkolnego autobusu, on zostawał ze mną, kiedy rodzice wychodzili wieczorem, on uczył mnie kopać piłkę, oszukiwać rodziców (nieudolnie, ale jednak), prowadzić samochód. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że prawdopodobnie po raz pierwszy w naszym życiu to on wymagał opieki i troski. I w jakiś sposób teraz ja byłam mu potrzebna.

- Po prostu nie wierzę, że powiedziałabyś mi to, co powiedziałaś, gdybyś chciała udawać, że to nie ma znaczenia - powiedziałam.

Zatrzymał się i chwycił mnie za ramię.

- Dlaczego tak się na to uwzięłaś? Chcesz, żeby nasz ślub z Meryl się nie odbył? Nie chcesz, żeby wszystko się dobrze skończyło?

- To, czego ja chcę, nie ma tu znaczenia, Josh - odparłam. Nie odezwał się ani słowem.

- Po prostu próbuję zrozumieć, co się z tobą dzieje.

- No dobrze, powiem ci co - odpowiedział. - Posunę się dalej i wpiszę to na listę spraw, które wymagają zrozumienia, w porządku?

Po czym uśmiechnął się słabo smutnym uśmiechem i ruszył w stronę zamglonego światła naszego frontowego ganku.

Muszę tu koniecznie wspomnieć, że była to dopiero moja trzecia wizyta u rodziców od czasu przeprowadzki do Narragansett i że żadna z dwóch poprzednich wizyt nie trwała dłużej niż dwanaście godzin. Bez nocnych strojów, bez rozmów prowadzonych do późna, które mogłyby mnie znów postawić przed koniecznością tłumaczenia, dlaczego odmawiam opuszczenia małego rybackiego miasteczka, w którym się zadekowałam. Nie byli w stanie mnie nawet wysłuchać. Tak samo jak ja nie byłam w stanie słuchać ich argumentów, które miałyby przemawiać za moim powrotem do Nowego Jorku, do szkoły filmowej, na jakiegokolwiek studia, jednym słowem, przekonać mnie, żebym wróciła na utartą drogę kariery zawodowej.

Kariera była dla nich sprawą podstawową. Podobnie jak skłonienie mnie do wyjazdu z Rhode Island. Ale ich priorytetem było to ostatnie.

A właśnie w najbliższym czasie opuszczenie Rhode Island w ogóle nie wchodziło według mnie w rachubę. Czułam się tam bardzo bezpiecznie. Nikt niczego ode mnie nie oczekiwał, nikt się nie spodziewał, że będę wykorzystywała jakieś szanse. I to się świetnie składało, bo nie czułam się na to gotowa.

Wydawało się, że w Narragansett normą było życie w zawieszaniu - tyle żon wciąż mi opowiadało, co by zrobiły, gdyby (ale tylko gdyby) mogły wyjechać z miasta, jak bardzo odmienne życie by wtedy prowadziły. Na przykład Sue nr 2 zawsze chciała mieszkać w Montanie; Nicole nr 4 - w Michigan; Theresa nr 1 - w Nevadzie; Beth nr 3 - w Arizonie. Zawsze tam, gdzie nie ma morza, zawsze w miejscu będącym przeciwieństwem Narragansett, jakby samo przeciwieństwo miało oznaczać rozwiązanie problemu.

Moja niechęć do wizyt w domu korespondowała z trudnością, jaką stwarzała ta sytuacja moim rodzicom, szczególnie matce, mimo że niezmiennie codziennie do mnie telefonowała. Ale i ona zaczynała powoli przyzwyczajać się do naszych codwutygodniowych kolacji, na których spotykałyśmy się gdzieś w połowie drogi, zazwyczaj w Hartford albo Westport. Tak było po prostu rozsądniej. W ten sposób było nam wszystkim łatwiej udawać, że życie, jakie prowadzę, niespecjalnie się różni od ich życia.

Nigdy nie przyznałabym się do tego głośno, ale brakowało mi wizyt w domu. Chociaż w przeszłości i w Scarsdale zdarzały się trudne chwile, zawsze lubiłam wszystko, co się wiązało z moim domem rodzinnym: pokój taki sam od moich dwunastych urodzin, wtedy taki dorosły, bez kwiecistych tapet i fioletowego dywanu. Delikatnie żółte ściany, okrągłe dywaniki i fotografie w ramach, w oknach zasłony ze złocistego jedwabiu. Okna o kryształowych szybach wychodziły na ogród na tyłach domu i jego pagóreczek.

Parter domu był pomieszczeniem z ogromnym oknem zajmującym całą ścianę, gdzie przestrzeń pełniące różne funkcje przechodziły jedna w drugą: salon, jadalnia, kuchnia, oszklona słoneczna werandka.

No i weranda, która biegła dookoła domu. To ona najpierw rzuciła się w oczy każdemu, kto szedł chodnikiem do głównego wejścia. Wypełniały ją duże, zawsze zielone rośliny i małe kwiaty doniczkowe, a przez całą jej długość ciągnęła się wyściełana miękka ławka. Kiedy z Joshem zbliżaliśmy się do werandy, zauważyłam, że na ławce ktoś leży, ktoś, czyja sylwetka wyglądała znajomo. Jaime Daniel Berringer. Najlepszy przyjaciel Josha od czasu, kiedy się urodziłam. Długi i chudy z czupryną miękkich blond włosów. Dobrze wyglądający chłopak o urodzie, która stanowi jakąś barierę, póki się go bliżej nie pozna. A kiedy już się go pozna, bariera znika.

Był tam jak miliony razy przedtem, po prostu leżał na plecach z zamkniętymi oczami i z miską płatków zbożowych na piersi. Berringera zawsze widziało się z miską chrupek na piersi - odkąd go znałam, to było jego ulubione pożywienie - co w istocie było szczególnie dziwne teraz, kiedy był szefem kuchni w znanej w całym kraju francuskiej restauracji tuż pod San Francisco.

Josh i ja zatrzymaliśmy się w wejściu, patrząc na niego.

- Myślisz, że śpi? - wyszeptalam.

Na twarzy Berringera pojawił się uśmiech, który jednak zaczął zamierać, gdyż Berringer najwyraźniej postanowił dalej udawać, że jest pogrążony we śnie.

Josh położył palec na ustach, zachęcając mnie do kontynuowania gry.

- Musi spać - powiedział, a tymczasem ja podkradłam się do ławki i zaczęłam ostrożnie siadać na jej krawędzi. Kiedy jednak zrobiłam ostatni ruch - a moja twarz znalazła się dokładnie nad jego twarzą, moja pierś nad jego piersią - Berringer usiadł trochę zbyt gwałtownie i nastąpiło zderzenie. Najpierw zderzyliśmy się czołami.

- Au! - krzyknęłam.

- Sama jesteś au - powiedział ze śmiechem, pocierając czoło. Jego uśmiech był teraz szeroki, od ucha do ucha.

W jakiś sposób udało mu się uratować płatki. Ale jego uśmiech zniknął, kiedy na mnie spojrzał.

- Emmy - powiedział, przyciskając dłoń do piersi, tę samą, którą chwilę wcześniej masował sobie czoło. - Ojej.

Dotknęłam twarzy, sprawdzając, czy nie umazałam się ketchupem albo poplamiałam mrożonym sokiem winogronowym. Josh z pewnością nawet by tego nie zauważył, a tym bardziej nic by mi nie powiedział.

- Co? Coś nie w porządku? - zapytałam.

Znów usiadł, przysuwając się bliżej do mnie, i podciągnął kolana.

- Ależ nie. Ja tylko... wyglądasz jakoś inaczej.

Poczułam to całą sobą. To, co miał na myśli. Całe lata się nie widzieliśmy - jeszcze zanim wylądowałam na Rhode Island. Wiedziałam, że wyglądam inaczej niż dawniej. Schudłam trochę i zapuściłam włosy, pozwoliłam im się swobodnie kręcić i układać. Byłam także bardziej, choć nieprzesadnie, opalona. Nic na to nie poradzę, poczułam, że się czerwienię. Ale znów się odezwał, zanim zdążyłam mu podziękować.

- Naprawdę wyglądasz na swoje lata - powiedział.

- Naprawdę wyglądam na *swoje lata*?

- Tak - odpowiedział, ostrożnie dotykając krescetek wokół moich oczu. A potem, jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do Josha. - Josh, jeśli twoja mała siostrzyczka wygląda tak wiekowo, to jacy my musimy być starzy?

Odepchnęłam jego dłoń.

- Dziękuję, Berringer - powiedziałam. - To było bardzo miłe z twojej strony.

Josh zaczął się śmiać. Siedział na podłodze naprzeciwko nas, opierając się o szybę werandy. Popatrzyłam na niego, a potem znów na Berringera, który teraz też już się śmiał, w całej krasie demonstrując swój uśmiech od ucha do ucha.

- Wszystko jedno - powiedziałam, wstając.

- Emmy, daj spokój - odezwał się Josh. - On żartuje. Nie miał nic złego na myśli.

- Słowo honoru - potwierdził Berringer. - Świetnie wyglądasz. I wiesz o tym.

Ledwie cię poznałem.

Domyślałam się, że rzucił to na osłodę.

- To mnie naprawdę nie obchodzi, Berringer - powiedziałam, chociaż to niezupełnie była prawda. I on też musiał to wiedzieć. W Berringerze strasznie się durzyłam przez całe lata aż do połowy szkoły średniej, kiedy wyjechał na studia. Pamiętam, jak na jego widok zaciskałam usta, żeby nie widać było mojego aparatu ortodontycznego, jakby problem leżał w aparacie. Starłam się ubierać tak, jak ubierały się starsze ode mnie dziewczyny. Nosiłam rozpuszczone włosy. Często marzyłam o tym, że przyjedzie z collegeu do domu i dostrzegłszy, jak bardzo się zmieniłam, uzna mnie za wystarczająco dorosłą. Teraz nie miałam nawet pewności, że on był dorosły.

Ruszyłam w stronę frontowych drzwi i szybko je otworzyłam.

- Cóż to ja słyszałam o sklepie wędkarskim? - zawołał za mną, a ja stanęłam jak wryta. - Pasjonujesz się rybołówstwem?

Zamiast mu odpowiedzieć, spojrzałam w dół na Josha, który odwrócił wzrok.

Chciałam powiedzieć, że praca w sklepie wędkarskim nie była moim jedynym zajęciem, ale nie wiedziałam, co mój brat jeszcze mu zdradził. Jeśli Josh chlapnął mu, w co zresztą poważnie wątpiłam, że robię coś w rodzaju badań, z pewnością nie powiedział

o nich nic naprawdę ważnego ani dobrego. Z pewnością nie wyjaśnił, czego chcę się dowiedzieć o żonach rybaków ani czym ta praca jest dla mnie. Nie miałam zamiaru teraz w to wchodzić, zwłaszcza że jeszcze niczego się nie dowiedziałam, niczego nie skończyłam.

Odwrociłam się do Berringera.

- Wiesz - powiedziałam - wybrałeś nie najlepszy moment, żeby ze mnie żartować.

- Wcale z ciebie nie żartuję - odpowiedział poważnie. - Jestem ciekawy, co u ciebie słychać.

Wobec tego zamiast wejść do domu, jeszcze raz się zatrzymałam.

- To świetnie, ale czy byłbyś uprzejmy dać wyraz swojej ciekawości trochę później?

Muszę wejść do domu i przywitać się z mamą.

- Może wolałabyś z tym poczekać? - zaproponował.

- O czym ty mówisz? - zapytał Josh.

- Moynihan-Richardsowie są w pokoju gościnnym na dole - wyjaśnił.

Josh wyprostował się na podłodze. Na jego twarzy pojawił się niepokój, źle mówię, niepokój na jego twarzy rósł na moich oczach. Moynihan-Richardsowie byli biologicznymi rodzicami Meryl. Profesorami z Ozark. Dziwakami. Od tyłu każde z nich wyglądało mniej więcej tak, że można by przypuszczać, że jest tym drugim z nich. Profesor Moynihan-Richards nosi bowiem długi koński ogon i ma smukłe mocne nogi. Pani M-R zaś - krótko ostrzyżone siwiejące włosy i czarną skórzaną marynarkę, której chyba nigdy nie zdejmuje.

Przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, a o takich z pewnością nie było mowy, to, że się zatrzymali tutaj, było wystarczająco podejrzane. Berringer poruszył ramionami.

- Był kłopot, bo chcieli zaparkować swój samochód kempingowy w centrum Manhattanu niedaleko mieszkania rodziców Meryl. A wstawienie go na weekend do garażu za trzysta dolarów było szaleństwem. Wobec tego zjawili się tutaj jakieś dwadzieścia minut przed wami, moi drodzy. Wasza mama jest nieco wyprowadzona z równowagi.

Ostatnie zdania wypowiedział z takim współczuciem, że pomyślałam, czy wie coś więcej o sprawach Josha. Założę się, że wiedział.

Założę się, że wiedział znacznie więcej niż ja. Znał choćby nazwisko Elizabeth. I miejsce zamieszkania. I wiedział, co się jeszcze może zdarzyć.

Spojrzałam na Josha, który zaczął się podnosić z podłogi. Szybko machnęłam na niego, żeby usiadł z powrotem.

- Zobaczą, co się tam dzieje - powiedziałam, widząc jego zakłopotanie i starając się go uspokoić. - Zostań tu.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Jak najbardziej - odparłam i otworzyłam drzwi. Spojrzałam na Berringera, który patrzył na Josha z taką troską, że natychmiast wybaczyłam mu jego żarty. Bez wahania wszystko bym mu wybaczyła, gdyby tylko umiał przywrócić sprawom ich dotychczasowy, niczym niezakłócony bieg.

- Masz ochotę na piwo, Berringer? - zapytałam. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Nie musisz mi przynosić - powiedział.

- Wiem, że nie muszę. Uśmiechnął się.

- Zatem z przyjemnością się napiję.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i zapukałam we framugę, zanim weszłam do domu. Może wszystko będzie w porządku. Może Josh pogada z Berringerem i razem to omówią, tę niepewność, wahanie, czy jak tam nazwać stan, w który, jak się zdaje, popadł Josh. Może Berringer będzie wiedział lepiej niż ja, co należy powiedzieć, żeby go uspokoić.

Nie zdążyłam dobrze zamknąć drzwi, kiedy niestety usłyszałam następne pytanie Josha:

- Meryl z nimi nie przyjechała, prawda?

- W każdym razie ja jej nie widziałem - odpowiedział Berringer. A wtedy mój brat tonem zupełnie mi nieznanym po raz drugi tego wieczoru powiedział:

- Więc Bogu dzięki przynajmniej za to.

Zacząłam rozumieć, że uroczystości weselne sprzyjają sięganiu do przeszłości. Czyż wszystkie toasty weselne w istocie nie jej właśnie dotyczą? Dlaczego wyciągamy na światło dzienne najbardziej osobiste historie i anegdoty z minionych lat? Czy dlatego chcemy je ponownie przeżyć, żeby wspólnie poczuć, że wszyscy znamy ich bohaterów? A kiedy dowiadujemy się, kim naprawdę są, czujemy się pokrzepieni, więc możemy pozwolić im odejść? Jeszcze zanim nadszedł czas ceremonii ślubnych, podczas poprzedzającego je świątecznego weekendu można było dostrzec tę świeżo powstałą potrzebę odkrywania się. Wszyscy rozmawialiśmy ze sobą trochę inaczej niż zwykle, z większą szczerością.

Wiedziałam, że jedna z ulubionych opowieści matki zostanie wydobyta na światło dzienne przy okazji mojego ślubu, bo się do tego świetnie nadawała. Przypuszczam, że do pewnego stopnia nadawała się również na ślub Josha i Meryl. Była to opowieść o tym, jak poprosiłam mamę, żeby się ze mną ożeniła. Mogłam mieć wtedy siedem lat. Byłam w połowie pierwszej klasy. Poprosiłam ją, a ona powiedziała nie. Delikatnie wyjaśniła, że nie może mnie poślubić, bo jest moją matką, a ja miałam odpowiedzieć: „W takim razie poślubię tatę”. Słyszac tę samą odpowiedź - *Nie możesz poślubić swojego ojca, bo jest twoim ojcem* - miałam z wielką niechęcią powiedzieć, że wobec tego poślubię Josha. A kiedy dowiedziałam się, że i to nie jest możliwe, doświadczyłam pierwszego z wielkich rozczarowań. „Czy to znaczy, że kiedy już będę dorosła, będę musiała poślubić kogoś zupełnie *obcego?*”.

Słuchałam tego opowiadania po wielokroć, a prawdę mówiąc, zawsze niecierpliwie na nie czekałam, bo przypominało mi o tym, co

najbardziej kochałam w mojej matce (czyli Sadie Merredith Everett; urodzona 1949 w Reading, Connecticut; zdecydowanie spod znaku Panny; w przeszłości nauczycielka).

Sadie zawsze najbardziej lubiła, obecnie i w przeszłości, wcale nie ten chyba najbardziej uroczy fragment opowiadania, kiedy oświadczam, że nie chcę poślubić nikogo obcego, ale sam jego początek.

Dlatego że to ona była pierwszą osobą, którą zapragnęłam poślubić.

Teraz znalazłam matkę w kuchni; stojąc przy blacie w jedwabnym szlafroku, przygotowywała zadziwiająco ogromny półmisek owoców, serów i krakersów. Kiedy weszłam, nie od razu podniosła wzrok, więc miałam okazję się jej przyjrzeć: zebranych do tyłu włosom, wydatnym kościom policzkowym, drobnym łokciem. Podeszłam i położyłam dłonie na jej ramionach. Moja matka była niezwykle drobna, znacznie mniejsza ode mnie, delikatniejsza, o kosteczkach maleńkich jak patyczki. Była tak krucha, że choć tyle razy to robiłam, dotykając jej, zawsze odczuwałam niepokój.

- Śpią na dole w śpiworach - powiedziała. - Nawet koców nie chcieli. Zresztą nie miałam okazji im zaproponować.

- Nie musimy o tym rozmawiać - powiedziałam zza jej ramion.

- Ale czy nie uważasz, że to jest jakieś dziwactwo? - zapytała zgnębiona sytuacją i odwróciwszy się, popatrzyła na mnie zbolalym wzrokiem. - Nie pozwolił jej nic powiedzieć, naprawdę. Patrzył na nią, jakby była wariatką, kiedy tylko próbowała otworzyć usta.

- Ale co to ma wspólnego z twoimi kocami?

- Wydaje mi się, że chciała poprosić o koc.

Pogłaskałam ją po plecach, przeszłam na drugą stronę kuchennego bufetu i nachyliłam się do niej. Nie przestawałam na nią patrzeć. Bałam się, że zapyta, jak się udał pokaz fajerwerków. Bałam się, bo wiedziałam, że jeśli zapyta, ton mojego głosu powie jej więcej, niżbym w rzeczywistości wyraziła słowami.

- Coś się dzieje? - zapytała, podnosząc wzrok. - Coś przeczuwam, patrząc w twoje oczy.

- Niczego nie przeczuwasz - powiedziałam zbyt szybko i z większym naciskiem, niżby należało. Ale niby co innego mogłabym powiedzieć? *Widzisz coś w moich oczach, ho nagle ni stąd, ni zo-*



*wąd Josh powiedział, że może jest zakochany w kimś, o kim nawet dotąd nie słyszałam. Ciekawie się sprawy układają, prawda?*

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, zanim nieprzekonana wróciła do swojego półmiska. - Moje przeczucia nigdy mnie nie mylą - powiedziała.

Potrząsnęłam przecząco głową, zastanawiając się, w jaki sposób skierować rozmowę na inny temat. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to moje badania. Materiał filmowy o żonach rybaków, jaki udało mi się dotąd zebrać. Sto siedem wywiadów na trzydziestu minitach wideo spoczywało w bagażniku mojego samochodu. Rano, będąc już w drodze do sklepu, w pośpiechu wracałam do domu, żeby zabrać je ze sobą do Scarsdale. Nagle zawładnął mną niepokój i pod jego wpływem poczułam przymus, żeby to zrobić. Dom w Narragansett mógłby spłonąć podczas mojej nieobecności i cały mój wysiłek poszedłby na marne, bo nie miałam kopii. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że mój lęk jest całkowicie bezpodstawny. Może z wyjątkiem tego, że nie potrzebowałam spać w tym domu tak długo, żeby część mnie uwierzyła, że pod moją nieobecność wszystko uległoby zniszczeniu.

- Wiesz, przywiozłam ze sobą materiały filmowe o żonach rybaków. Chcę je wam pokazać - powiedziałam szybko, by nie móc zmienić zdania.

Być może pomyślałam, że pokazać taśmy rodzinie, nie był taki zły. Może po obejrzeniu filmów uznaliby materiał za wybitny. I pomogliby mi uzupełnić to, czego w nim brakuje.

- Nie dzisiaj, Em - powiedziała matka. - Tata już pojechał na wieczór kawalerski.

- Dokąd pojechał? Wzruszyła ramionami.

- Po prostu uważał, że ktoś powinien tam być, żeby witać gości - oznajmiła. - A wy oboje nie wyglądacie na mistrzów wyczucia czasu.

Miała rację. Ale ja nawet nie wiedziałam, że tata postanowił wystąpić w roli gospodarza wieczoru kawalerskiego Josha. Trudno mi było sobie wyobrazić, że ma na wszystko oko, zamawia drinki

i prowadzi rozmowy z przyjaciółmi Josha. Raczej wyobrażałam sobie, że dzwoni co pięć minut do domu i pyta matkę o każdy kolejny krok.

- Wiesz - powiedziała mama, odwracając wzrok - miałas tu dzisiaj po południu gościa. Był bardzo rozczerowany, że cię nie zastał.

- Co takiego? - zdziwiłam się. Nie domyślałam się, kto mógłby do mnie przyjść. Co więcej, nie przypominałam sobie, że bym kogoś informowała, że dziś przyjeżdżam do domu. Nikomu nie mówiłam. Byłam pewna, że nikomu, bo nie rozmawiałam z nikim z domowników, a kontakty z kolegami ze szkoły średniej właściwie zerwałam, od czasu kiedy porzuciłam cenioną przez nich drogę kariery zawodowej. Nie chodzi o to, że wszyscy są dziś lekarzami, prawnikami i bankowcami, chociaż wielu z nich rzeczywiście jest. Chodzi o to, że do czegoś doszli. A ja, ze swoim nieskończonym przedsięwzięciem dokumentalnym, nie.

Mama odłożyła nóż w dramatycznym geście.

- Mówię o Justinie Silvermanie - oświadczyła. - O Justinie Silvermanie!

Justin Silverman i ja chodziliśmy ze sobą w drugiej licealnej, kiedy żadnemu z nas nie wolno było nigdzie się ruszać bez rodziców. „Nie rozumiem - mawiała wtedy moja matka - jak możesz chodzić z kimś, z kim nigdy nigdzie nie poszłaś”.

Przypomniałabym jej o tym, gdyby nie poskromiła teraz swojego podniecenia.

- Justin Silverman tu wpadł? - zapytałam. - Chciał się ze mną widzieć?

- No cóż, to była mama Justina Silvermana - odpowiedziała. - Ale chodzi o to, że Justin właśnie z jednym z najlepszych wyników skończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Northwestern i wraca do Nowego Jorku! Czy to nie ekscytujące? A więc tu cię mam. To było pierwsze podejście mojej matki do tematu, który, nie wątpiłam, miała zamiar wielokrotnie podejmować przez następne dni. Chciała przypomnieć mi, jak wiele możliwości kryje Nowy Jork, mężczyźni, praca, nadzieja, wszystko to, z czego zrezygnowałam na rzecz namiastki życia, jakie prowadziłam zbyt daleko od domu.

- On się interesuje takimi pasjonującymi sprawami. Zajmuje się problemem własności intelektualnej. I wiesz, kogo powinno interesować to wszystko, co on robi? Ciebie. I dlatego powiedziałam Evelyn, żeby przyprowadziła go na jutrzejszą kolację, bo wtedy będzie okazja, żebyście pogadali.

- Co? Mamo, dlaczego do diabła mi to robisz?

- Emmy. *Dlatego*. Justin wraca teraz do Nowego Jorku.

- A czy on wie, że ja teraz nie wracam do Nowego Jorku? Odłożyła jabłko i spojrzała na mnie.

- Przecież nic ci się nie stanie, jak ze starym znajomym spędzisz pięć minut. Evelyn mówi, że bardzo wyprzystojniał.

- Evelyn jest jego matką.

- Węc tego nie może wiedzieć?

Skrzyżowałam dłonie na piersi zdumiona jej podejściem. Nie ma i nigdy nie było sposobu, żeby się pokłócić z mamą. Przynajmniej mnie się to nigdy nie udało. Ale zanim miałam okazję *nie* spróbować tego tym razem, do kuchni wszedł Josh i znalazł się za plecami naszej mamy.

Położył dłonie na jej ramionach w taki sam sposób, w jaki ja to zrobiłam parę chwil wcześniej, i pochylił się do niej, całując na powitanie w policzek.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

Wzruszyła ramionami z lekkim westchnieniem. Potem odwróciła się i podnosząc głowę, spojrzała na niego. Na jej twarzy zaczął rozkwitać uśmiech. Odwzajemnił go takim samym niedokończonym, charakterystycznym dla obojga uśmiechem, będącym niezaprzeczalnym przywołaniem ich wzajemnego podobieństwa: takie same dziecinne noski, orzechowe oczy. Taka sama karnacja. Patrząc na nich od swojej strony bufetu, znów poczułam to, co pamiętałam z dzieciństwa, że musi go kochać bardziej, bo jest do niej znacznie bardziej podobny niż ja. Teraz jednak to uczucie sprawiło mi więcej ulgi niż przykrości.

W drzwiach kuchni pojawił się Berringer. Jego koszulka była wygnieciona po udawanej drzemce, a bokserki w delfiny wyłaziły mu z džinsów.

Miałam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć ich.

Mama popatrzyła na niego, wycierając jednocześnie dłonie o szlafrok.

- Jaime naprawdę mnie dziś uratował - oświadczyła. - Przypuszczam, że gdyby nie on, poszliby spać do swojego samochodu kempingowego.

Uśmiechnął się.

- Trzeba po prostu umieć rozmawiać z ludźmi - powiedział na to.

- Doprawdy to umiesz? - zapytałam, napotykaając jego wzrok. Odpowiedział spojrzeniem, ale milczał.

Josh patrzył to na mnie, to na niego, po czym ogłosił, że już chyba najwyższy czas się zbierać, chyba że ktoś uważa, że powinien zejść na dół i przywitać się z przyszłymi teściami.

- Już pewnie śpią - zauważyła mama, potrząsając głową. Potem spojrzała na stojący na blacie półmisek z jedzeniem misternie poukładanym w półksiężycy.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, powiedziała:

- Na dole jest mała lodówka, pamiętacie? - Nikt nie odezwał się ani słowem. - Nie jestem w stanie o tym mówić.

Josh roześmiał się, a potem ruszył w moją stronę.

- Gotowi do wyjścia? - zapytał.

Przez chwilę myślałam, że się przesłyszałam. A nawet byłam tego pewna.

- O co ci chodzi? - zapytałam. - Nie jestem kawalerem. Mama wskazała na mnie.

- Ale i mężatką nie jesteś - powiedziała.

Zmieszana odwróciłam się do Josha. Pomagając w przygotowaniach do wieczoru kawalerskiego, wcale nie miałam zamiaru brać w nim udziału. Chciałam spędzić ten wieczór w pokoju swojego dzieciństwa, porządnie się wyspać, a następnego dnia rano od skacowanego Josha odebrać wielkie podziękowania za rozesłanie e-mailem sympatycznego zaproszenia do jego kolegów.

- Wiesz - powiedział - to nie będzie przyjęcie ze striptizerkami. Chcę, żebyś była.

Kiedy Josh był nastolatkiem, długo się nie zgadzał, żebym z nim gdziekolwiek chodziła, a wszystkie nasze rozmowy od czasu, kiedy

skończył czternaście lat, do chwili, kiedy wyjechał na studia, odbywały się przez zamknięte drzwi jego pokoju. Wiecznie pod nimi tęsknie wystawałam w nadziei, że wreszcie nastanie ten wymarzony dzień i pozwoli mi wejść. Dlatego tak mnie zdumiało, że teraz tak bardzo potrzebował mojego towarzystwa.

- Ja prowadzę - powiedział Berringer.

Ruszyłam za nimi, ale zanim wyszłam z kuchni, mama przyciągnęła mnie do siebie. Kiedy ich kroki się oddaliły, przytuliła mnie i pocałowała w policzek.

- Jesteś najpiękniejsza na świecie. Wiesz o tym? - Mówiąc to, zrobiła krok do tyłu i spojrzała na mnie z uśmiechem. Potem zaczęła poprawiać mi włosy, zakładając je za uszy i próbując je przygładzić i uporządkować.

- O, tak - powiedziała - teraz znacznie lepiej.

Planowaliśmy z Mattem, że pierwsze wspólne lato spędzimy w podróży po Europie. Do chwili naszego wyjazdu matka zachowywała się tak, jakby ta podróż nigdy nie miała nastąpić. Po raz pierwszy w życiu wyjeżdżałam za granicę, po raz pierwszy miałam opuścić kontynent amerykański. Przedtem każde lato spędzałam w tych nieśmiertelnych „rodzinnych podróżach samochodowych” Everettów do różnych miejsc w Ameryce - do Filadelfii, Wirginia Beach, Wyoming. Zawsze samochodem, zawsze tam, gdzie samochód może dotrzeć, nawet jeśli jazda miałaby zająć większą część tygodnia.

Jeden jedyny raz rodzice pozwolili mi wybrać miejsce rodzinnej podróży.

Wybrałam Londyn. Mogłam mieć wtedy siedem lub osiem lat. Ale mimo iż ojciec próbował pokazać mi na naszej szachownicy z mapą świata, że do Europy nie można dojechać samochodem, co więcej, że nawet nie leży w Stanach

Zjednoczonych, nie chciałam wybrać innego miejsca. Odmówiłam innego wyboru. Powiedziałam, żeby zamiast mnie wybierał Josh. No i dodałam, że szachów i tak nie lubię.

Dlatego właśnie podróż do Europy, zwłaszcza z Mattem, znaczyła dla mnie bardzo wiele. Myślę, że dla mamy było pewnym pocieszeniem, że francuski etap podróży mieliśmy spędzić w towarzystwie Berringera, który właśnie przez ten rok mieszkał w Paryżu.

Zapisał się bowiem na wykłady w paryskim Culinary Institute i odbywał praktykę w jakiejś restauracji hotelowej o wyszukanej kuchni.

Tylko że kiedy dotarliśmy do jego mieszkania, jego tam nie zastaliśmy. Zostawił nam liścik, że musiał wyjechać ze swoją dziewczyną do jej rodziców do Anglii. Życzył nam, byśmy się czuli jak u siebie w domu i częstowali czymś chętnie bogata. W kredensie znaleźliśmy tylko płatki.

Nie wiedziałam, że Berringer właśnie wtedy oświadczył się swojej dziewczynie, Brytyjce Naomi. Pojechali do jej rodziców, żeby ich o tym zawiadomić. Naomi była o dziesięć lat starsza od Berringera. Miała niezwykłą powierzchowność: długie rude włosy, bladą cerę, szczupłe palce. Przyszła na kolację do wykwintnej restauracji hotelowej i wtedy się poznali. A dalej historia mówi, że Berringer oświadczył się już pierwszej nocy, w zaułku przed hotelem. Ta wiadomość nie została potwierdzona aż do grudnia, kiedy naprawdę wzięli ślub, stanowiący jej ostateczne potwierdzenie, zgodnie z powiedzeniem: *Kiedy coś wiesz, po prostu to wiesz.*

Ślub odbył się w wiejskim zajeździe w Katonah, spokojnej miejscowości blisko pięćdziesiąt kilometrów na północ od Scarsdale. Ślub był kameralny, ale nasza rodzina była obecna. Ja nie chciałam jechać, bo byłam akurat w środku sesji.

- Od kiedy to jesteś na studiach? - zapytała mnie mama. Uwaga nie była pozbawiona słuszności. Josh jako świadek musiał przeczytać przydługi poemat o różach. Piękna Naomi była bez butów.

A teraz patrzyłam na odbicie Berringera w lusterku wstecznym. Wpatrywał się w drogę, a obie dłonie trzymał na kierownicy. Byłam ciekawa, czy przy okazji zbliżającego się ożenku Joshua Berringer myśli o Naomi, czy ciągle jeszcze często myśli o Naomi. Przenieśli się do Nowego Jorku, kiedy Berringer skończył praktykę w Paryżu i objął posadę zastępcy szefa kuchni nowej restauracji na Lower East Side. A trzy, a właściwie już prawie cztery lata temu Naomi z tęsknoty za domem poprosiła go, żeby zrezygnował z tej pracy i znalazł coś w Londynie. Chciała wrócić do domu.

Ale nie minął tydzień od ich przyjazdu do Londynu, kiedy obudziliśmy się któregoś ranka obok niego w ich nowym mieszkaniu,

oznajmiła, że teraz zrozumiała, że nie tęsknota za domem jej doskwierała, po prostu znudziło się jej bycie mężatką.

To była ostatnia wiadomość o Berringerze, która do mnie dotarła już dość dawno temu. Zniknął gdzieś między Santa Fe i Nowym Meksykiem w Kalifornii a Austin w Teksasie. Od czasu do czasu dowiadywałam się od Josha, co słychać u Berringera, ale byłam zbyt zajęta swoimi sprawami, żeby się nim bliżej interesować. Tego samego lata, kiedy Naomi odeszła od Berringera, Matt poprosił mnie o rękę. Odebrałam dyplom ukończenia college'u i następnego dnia wybraliśmy się na południe na kilka dni do mojej rodziny w Savannah. Parę dni wcześniej Matt zaliczył pierwszy rok architektury. Pierwszą noc spędziliśmy na kempingu pod Charlottesville w Wirginii. Chwilę przez zaśnięciem wydało nam się, że nieopodal naszego namiotu słyszemy buszującego w śmieciach niedźwiedzia. Potem okazało się, że to był szop. Wśród cieni rzucanych przez światło księżyca i z powodu tequila w nadmiarze wypitej przez nas do kolacji urósł w naszych oczach do rozmiarów niedźwiedzia. Kiedy ucichł śmiech, którym wybuchnęliśmy, zorientowawszy się w pomyłce, Matt mi się oświadczył. Dokładnie w tym momencie. W trakcie historii z wyimaginowanym niedźwiedziem. Najzwyczajniej w świecie wyciągnął pierścionek z plecaka i powiedział, że nie chce czekać do kolacji specjalnie dla nas przygotowanej w Savannah. Że nie chce czekać. Czy Berringer wiedział o tym? Wątpię.

Wątpiłam również, aby Berringer wiedział o tym, że pierwszy raz poważnie rozmawialiśmy z Mattem o małżeństwie wiele lat wcześniej, kiedy się zatrzymaliśmy w jego mieszkaniu w Paryżu. Od razu pierwszego ranka po przyjeździe poszliśmy pod wieżę Eiffla. Wtedy to powiedział. Powiedział, że wyobraża sobie, jak razem spędzamy życie na oglądaniu takich miejsc jak to, bo oboje pragniemy takiego życia. Powiedział, że w naszej podróży do Francji dla niego najwspanialsze jest to, że sprawiła mi tyle radości. Stojąc dokładnie pod wieżą Eiffla, rozplakałam się, bo zrozumiałam, co miał na myśli, i odwzajemniałam jego uczucia. Czulałam to samo co wtedy, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam, a najwspanialsze było to, że on odczuwał to samo co ja.

Nie wiedziałam, dlaczego jakaś część mnie chciała teraz opowiedzieć o tym Berringerowi. Nie byłam pewna, jak rozumieć to, co miało się zdarzyć.

- Czy znacie, chłopaki, kogoś, kto jest szczęśliwy w małżeństwie? - zamiast tego zapytałam, prostując się na tylnym siedzeniu. - Czy znacie kogoś naprawdę szczęśliwego?

Josh odwrócił się i popatrzał na mnie z przedniego siedzenia. W lusterku napotkałam wzrok Berringera.

- Tak tylko sobie pomyślałam - bąknęłam.

Josh znów odwrócił się przodem do kierunku jazdy.

- No cóż, wobec tego pomyśl o czymś innym.

Spojrzałam w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy Berringer wciąż na mnie patrzy. Ale nie patrzył. Jego oczy znów spoglądały na drogę. Teraz byłam pewna, że myślał o Naomi. O Naomi i, być może, o swojej nowej dziewczynie - Cecylii czy Chloe, zapomniałam jej imienia, ale zaczyna się jakoś na C, może Carol Ann.

- Przepraszam, zastanawiałam się nad tym, jak to jest, kiedy coś się nie układa... między dwojgiem ludzi. - Potrząsnęłam przy tym głową świadoma, że w ten sposób niczego nie wyjaśniam. Ani im, ani sobie. - Wszystko jedno. Pytanie było głupie - zakończyłam.

- Może pasuje na obwolutę romansidła - podrzucił Josh.

- Ojej - powiedziałam. - Uwielbiam romansidła.

Berringer znów poszukał mojego spojrzenia w lusterku wstecznym i uśmiechnął się.

- A ulubiona piosenka? Nie teraz, oczywiście. Wtedy. Potrząsnęłam głową, starając się pomyśleć, co lubiłam, będąc

w szóstej klasie, w siódmej, robiąc staranny przegląd wspomnień. Byłam całkowicie pewna swojej odpowiedzi.

- *Lady in Red* - powiedziałam.

- *Lady in Red* - wymamrotał Josh pod nosem.

- Ulubione hobby? - Berringer rzucił kolejne pytanie, nie zwracając uwagi na Josha.

- Kapanie się - powiedziałam.

- Kapanie się? - zdziwił się Josh. Tym razem całkiem się odwrócił i popatrzył na mnie. - Powiedz, proszę, że tak naprawdę nie trak-



towałaś tego poważnie. Lepiej, gdybyś powiedziała gra w piłkę. Albo balet.

- Kiedyś udawałam, że to jest ocean - odpowiedziałam.

- No to świetnie, Emmy - powiedział Josh. - Naprawdę świetnie.

- A ja lubię się kąpać - odezwał się Berringer.

Josh podniósł rękę, chcąc go uciszyć. Nie mógł tego zaakceptować, bo uważał, że to dziwactwo z mojej strony. I nie dlatego, że czuł się tym zażenowany, co raczej z troski o mnie. Martwił się, że w końcu się wpakuję w sytuację, z której nie będzie mnie umiał wyciągnąć.

Opuścił okno. Poczułam uderzenie powietrza, może nawet silniejsze niż to, które poczuł Josh. - Teraz, kiedy mieszkasz nad oceanem - stwierdził - możesz udawać, że chodzi o zamięłowanie do kąpieli.

Gdybyście przyjechali do Scarsdale odwiedzić kogoś, powiedzmy, współlokatorkę z collegeu albo rodziców nowego chłopaka, i ktoś radziłby wam, dokąd pójść na drinka, to idę o zakład, że skieruje was do Heathcote Tavern. Powód jest oczywisty - Heathcote Tavern jest jedynym miejscem, gdzie można się napić. I nie chodzi tu o to, że to jedyne modne miejsce albo szczególnie odlotowe. Mówię, że jest jedyne, bo po prostu innego nie ma. Jeśli chcielibyście pójść do innego baru, musielibyście się wybrać do innego miasta. Choćby do White Plains albo na główną ulicę New Rochelle.

Mimo to tawerna nie była wcale zła. Źle to powiedziałam. Było tam naprawdę całkiem miło: trzy obszerne czerwone sale z kominkami, nastrojowym oświetleniem i ciemnymi tapetami. Na dole sala jadalna, a na górze sam bar, pomieszczenie, w którym bywało wieczorami tłoczno dwa razy do roku, w wigilię Bożego Narodzenia i w przeddzień Dnia Dziękczynienia, kiedy to większość studentów i absolwentów z ostatniego dziesięciolecia przyjeżdżała na święta do miasta i zbierała się na improwizowanych, nieoficjalnych spotkaniach w tym jedynym możliwym miejscu. Przez pozostałą część roku, jak i dzisiaj, późnym wieczorem w barze na pięterku można było spotkać jedynie bardzo nielicznych przedstawicieli mieszkańców miasteczka: w kącie rozwiedziona para celebrowała coś w rodzaju pierwszej randki, obok płaskiego ekranu telewizora stary mężczyzna rozmawiał z barmanem, tyłem do nas dwie dwudziestoparoletnie kobiety piły przy barze chardonnay. Z powodu dzisiejszej imprezy Josha pośrodku górnej sali dostawiono długi owalny stół zarezerwowany dla gości jego marnie się

prezentującego wieczoru kawalerskiego. Po jednej stronie siedzieli koledzy Josha ze szkoły średniej: Mark, Todd, Chris, których bez kłopotu rozpoznałam. Naprzeciwko zasiadła reprezentacja college'u i akademii medycznej - tych w większości nie znałam. Prawie wszyscy przyjechali do naszego miasteczka samochodami z Nowego Jorku, gdzie albo mieszkali na stałe, albo korzystając z gościnności mamy Meryl, zatrzymali się na ten weekend w Essex House. Kiedy zobaczyłam, ile opróżnionych szklanek stoi na stole, zdałam sobie sprawę z tego, że popełniłam błąd, właśnie tu organizując wieczór kawalerski. Wyglądało na to, że każdy z nich wypił już taką ilość alkoholu, że wszyscy razem powinni tylko dołączyć do Moynihan-Richardsów w naszym pokoju gościnnym.

Kiedy Josh wszedł na górę, ktoś zawołał: „No, nareszcie jest!”. Wszyscy wstali z miejsc i klaskali, a Josh okrążył stół i po kolei ze wszystkimi się ścisnął na przywitanie. Oboje z Berringerem przez ten czas trzymaliśmy się na uboczu. I byłabym tam została, gdyby nie zauważył mnie ojciec, który zajmował centralne miejsce u szczytu stołu. Pomachał mi, a ja pomachałam mu w odpowiedzi. Jego Wysokość Samuel Bean Everett, strażak-ochotnik, urodzony w Savannah w Georgii, wzrost sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry. Na dzisiejszy wieczór kawalerski wystroił się w robocze spodnie, robocze buty i koszulkę, kupioną mu kilka lat temu przez Josha, na której napis wielkimi czarnymi literami głosił, że TU MIESZKA PAN ŁAGODNY.

Nawet z dużej odległości wyczuwałam efekty jego udziału w dzisiejszej uroczystości. Miał zaczerwienione policzki i szkliste oczy. Tata pił rzadko, co zawsze uważałam za skutek uboczny poślubienia abstynentki Sadie. I rzeczywiście, przez całe swoje życie nie widziałam i nie słyszałam, żeby moja matka coś wypila. Jest w tym pewna ironia, zważywszy, że poznała ojca w barze. A zdarzyło się to w niedzielne przedpołudnie.

Historia tego spotkania była przypominana na okrągło, i to niezależnie od tego, czy ktoś właśnie brał ślub, czy też nie. Jest to opowiadanie o przedpołudniu spędzonym w pierwszym dniu Nowego Roku w Oak Bar na dolnym poziomie New York Plaża. Mama i jej

przyjaciółka Lydia siedziały przy bocznym stoliku, popijając bezalkoholowy shirley temple. To był pomysł Lydii, żeby wpaść do baru, bo miały trochę czasu przed koncertem, na który się wybierały tego popołudnia. Wtedy zjawiał się ojciec. Zostawił gazetę właśnie przy tym stoliku i w pośpiechu po nią wracał przez całą salę. Mama zwróciła na niego uwagę, bo nosił „cętkowane drelichy”, a włosy miał związane w krótki kucyk. Był w Nowym Jorku przejazdem w drodze z domu w Savannah w Georgii na wyspę u wybrzeży Maine, gdzie zatrudnił się jako strażak i trener szkolnej drużyny koszykówki. Poprosił, żeby podała mu gazetę, którą zostawił.

I wtedy moja matka zrobiła coś, czego nikt by się po niej nie spodziewał. Zaprosiła ojca, żeby się przysiadł i wypił z nimi następną kolejkę shirley temple. Poprosiła o to faceta o dziecinnej twarzy, bladej cerze, w każdym calu błękitnookiego południowca, który prosząc o zwrot gazety, nazwał ją panienką i który w niczym nie przypominał kogoś, o kim można by pomyśleć, że jest jej przeznaczony, bo nie był ani bogaty, ani ambitny, ani nie był Żydem. Nawet Żydem nie był.

Kiedy czekali, aż podadzą im drinki, biegnie dalej opowieść, matka przeprosiła i poszła do łazienki. Zamknęła się w kabinie i rozplakała, bo wiedziała, że bez niego nigdy nie będzie szczęśliwa.

Potem umyła twarz, przejrzała się w lustrze i wróciła na salę. Poprosiła ojca, żeby został z nią w Nowym Jorku, jeszcze raz przemyślał, co chce zrobić ze swoim życiem, pozwolił jej wychowywać dzieci w religii, którą ona wybierze, a pewnego dnia się z nią ożenił. Albo żeby po prostu z nią zamieszkał.

- Emmy! - wołał teraz do mnie ojciec. - Skąd się tu wzięłaś? Chodź tu. Chcę cię ucałować na przywitanie, moja mała ślicznotko.

Nie cierpię, kiedy nazywa mnie małą ślicznotką. Jakim cudem mierzy sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a jego jedyna córka zaledwie sto sześćdziesiąt? Zerknęłam na Berringera, żeby się zorientować, czy to słyszał, ale był już tak wciągnięty w rozmowy z chłopakami z liceum, że zupełnie o mnie zapomniał.

Podeszłam do ojca.

- O co chodzi? - zapytałam, kiedy nachylił się do mnie, żeby mnie uściskać na przywitanie.

Wskazał na swoją koszulę.

- Chłopaki mówią na mnie Pan Łagodny. Coś w tym jest, prawda?

- Coś w tym jest - potwierdziłam.

Spojrzał w dół na koszulkę i powiódł palcem wzdłuż napisu PAN ŁAGODNY.

- Coś w tym jest.

Przekazałam krótką wiadomość od matki, że kładzie się do łóżka, a on rzucił mi spojrzenie, w którym dostrzegłam więcej niż zaniepokojenie tym, co powiedziałam, jakby zrobił coś złego, a przecież tak nie było. Jego niepokój wynikał po prostu z tego, że tak rzadko się zdarzało, żeby nie byli razem. Tak się rzecz miała z moimi rodzicami. Wciąż byli w sobie bardzo zakochani. Przez ponad trzydzieści lat. Byli jedynym przykładem pozytywnej odpowiedzi na pytanie, które zadałam w samochodzie Joshowi i Berringerowi, komu udało się być szczęśliwym w małżeństwie. Kto jest wciąż z wzajemnością zakochany? Problem polega na tym, że czasem nam się wydaje, że nie liczy się to, co dotyczy naszych rodziców.

- Czy chciała, żebym już wrócił do domu?

- Ależ nie. Powiedziała, powiedz tylko tacie, że mam zamiar nakarmić

Moynihan-Richardsów, a potem będę udawała, że poszłam spać. Słowo honoru. Na froncie zachodnim panuje całkowity spokój.

Teraz już bardziej uspokojony z ulgą zatarł dłonie.

- No to jak, na drugą nogę? - zwrócił się do obecnych podniesionym, a tak naprawdę krzykliwym głosem. - Wypijemy na drugą nogę, chłopcy?

Ruszył do baru, ale potknął się i stracił ze stołu dwa piwa.

- Hola, Panie Łagodny - powiedziałam i spróbowałam z powrotem go posadzić. - Pozwól, że ja to zrobię, dobrze?

- Dziękuję ci, dziecinko. Nie nawykłem do picia - powiedział. Wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka. Jego dłoń była wilgotna i rozgrzana od alkoholu. - Czujesz się dziś szczęśliwa? - zapytał.

- Tak, jestem szczęśliwa.

Spojrzał na mnie, jakby starał się odgadnąć, czy mówię prawdę, i nie działać zgodnie z tym, co odgadł. Mój ojciec miał w sobie jakiś delikatny niepokój, który przejął od mojej matki, taką żydowską

troskę o to, że czułby się zawiedziony, gdybym nie była zupełnie szczęśliwa. Tak samo traktował Josha, więc wiedziałam, co będzie dalej. Rozejrzał się i zatrzymał wzrok w miejscu, gdzie stał Josh i rozmawiał z kolegą ze studiów. Josh śmiejąc się, zaciskał i otwierał lewą dłoń. Zgadywałam, że żartowali na temat obrączki, która miała się tam wkrótce znaleźć. Zgadywałam, że żartowali z tego wszystkiego, co miało się wkrótce zdarzyć.

Ojciec uśmiechnął się do niego, jakby uzyskał potrzebną informację. Kusiło mnie, by powiedzieć mu prawdę, że wygląda na to, że sprawy niezadługo się skomplikują. Wiedziałam jednak, że nasz tata nie byłby w stanie znieść takich wiadomości. Specjalizował się w sprawianiu ludziom przyjemności. A Josh był taki sam, miał to po nim. Działał na zasadzie instynktu, jeszcze silniejszego od genu sprawiania ludziom przyjemności, nad-opiekuńczości wobec Josha i mnie. Gdyby był zmuszony do konfrontacji z tą sytuacją, te dwie jego skłonności musiałyby wziąć się za łby, a ja bym się martwiła, czy się w tym nie spali. Nie byłam przygotowana na takie widowisko.

- Będą naprawdę szczęśliwi, co? Meryl i Josh, ma się rozumieć - powiedział, zwracając się do mnie. - Meryl potrafi go uszczęśliwić, nie uważasz?

Musnęłam czubek jego głowy.

- Prawdopodobnie - zgodziłam się.

Z pewnością nie zwracałam bacznej uwagi na to, co się działo w tawernie, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłam, że dwie dwudziestokilkuletnie kobiety pijące przy barze chardonnay są mi znane i to aż za dobrze. Jak mogłam to przegapić, patrząc z tyłu na ich głowy? Te dwie doskonale wyprostowane głowy. Powinnam była przynajmniej uświadomić sobie, że je znam. Ale musiałam stanąć tuż obok nich przy barze, żeby zrozumieć, że to nie kto inny, tylko Stacey Morgan i jej przyboczna Sheila Beth Gold. Dwie dziewczyny, z którymi robiłam maturę, najwyraźniej do dziś bliskie przyjaciółki, teraz jeszcze ładniejsze niż dawniej. Wyglądały nawet na znacznie bar-

dziej związane ze sobą niż dziesięć lat temu. W szkole średniej mogłam niemal uchodzić za ich przyjaciółkę, bo chodziłyśmy na te same prywatki, obracałyśmy się w tym samym kręgu znajomych, na lunchach siadałyśmy blisko siebie pod ścianą szkolnej kafeterii. Teraz jednak wysyłały wyraźne sygnały zwiastujące zagrożenie. Gotowe obwieszczać, gdzie dokładnie znajdują się na drodze kariery od gwiazd szkolnego boiska do pięknych twarzy biznesu. Gdybym była wciąż z Mattem, uznałyby moje „filmowe fantazje” za niegroźne dziwactwo, które minie pewnego dnia. A skoro nie miałam nawet Matta, a zatem odpowiedniego oparcia, cóż, nie mogłam liczyć, że zdobędę ich uznanie swoim nieskończonym projektem o życiu żon rybaków

Niepostrzeżenie próbowałam się wycofać, zanim mnie dostrzegły, ale, co się okazało mottem wieczoru, było już za późno.

- O Boże, toż to Emmy Everett! - zakrzyknęła Stacey. Wyciągnęła rękę i chwyciła moje ramię. - Sheila, popatrz! Kurczę, Emmy Everett. Nie do wiary. Jak się masz, dziewczyno?

- Halo, Stacey - odpowiedziałam i pochyliwszy się, poklepałam ją po ramieniu. To był niezręczny gest, taki niby-uścisk. Lepiej byłoby, gdybym nie wykonała żadnego gestu. - Cześć, Sheila - powiedziałam.

- Co tutaj robisz? - zapytały jednym głosem. Uśmiechnęłam się, korzystając z przewagi czasu, jaką dało mi to

pytanie, i spróbowałam zmobilizować własną wewnętrzną armię. Mogłam wyjść bez szwanku z tej konwersacji. Oczywiście, że mogłam. Musiałam tylko się nie poddawać.

- Prawdę mówiąc, to wieczór kawalerski mojego brata - oznajmiłam.

- Och, rzeczywiście! - zawołała Stacey. - Josh żeni się w ten weekend, prawda?

Wiedziałam. Chyba mama mi powiedziała. - Skierowała spojrzenie na Josha siedzącego przy stole. - Jak myślisz, czy jeszcze nie za późno, żeby mu powiedzieć, jak się w nim kochałam w szkolnych czasach?

- Może i nie - odpowiedziałam.

Spojrzała na mnie zmieszana, a wtedy Sheila, starając się odzyskać pole, posłała mi olśniewający uśmiech.

- No cóż — wyjaśniła — powinnyśmy być właśnie w drodze do Hampton, ale zanim się zebrałyśmy, zrobił się okropny korek. Więc zdecydowałyśmy spędzić noc tutaj i wyjechać jutro z samego rana... Pewnie złapiemy busik od razu z centrum, zamiast iść stąd całą drogę do samochodu.

- A więc stuprocentowo spóźniony refleks, tak? - podsumowałam. - Przynajmniej będziecie miały samochód na plaży.

- Przynajmniej będziemy miały samochód na plaży - powtórzyły jak echo.

Zwróciłam się do barmana:

- Czy mogę prosić o podanie następnej kolejki tequila? - zapytałam. - I tego, co zostanie w butelce? To, co zostanie, w zupełności wystarczy.

Czekały, aż barman zacznie kolejno nalewać drinki, jakby go miało interesować, o czym mówimy, podczas gdy prawdopodobnie w ogóle go to nie obchodziło. Ja także nie chciałam tego słuchać, ale nie miałam wyjścia.

- A więc - powiedziała Stacey - ostatni raz, kiedy się widziałyśmy, panno Emmy, miałaś właśnie wyjść za mąż. Wcześniej się zdecydowałaś! Wiesz, chodzi mi o to, że zawsze uważałam, że ważniejsza jest praca zawodowa. Ale im bardziej przygnębiający są faceci

wstylunie-mogę-ci-nic-obeć-póki-jest-choćby-jedna-modelka-w--domku-nr-8, z którymi mam do czynienia w Nowym Jorku, tym częściej myślę, że wcześniej powinnam była się tak urządzić jak ty. Co z tego, że jestem dziewczyną numer trzy dla faceta numer dwa w wielkiej firmie prawniczej w Nowym Jorku? Potrzebny mi jest ktoś, z kim będę myć zęby. Jak się nazywa ten program telewizyjny nadawany przez dwie minuty, w którym jakaś blondynka to powiedziała? Ze marzy o kimś, z kim będzie szczotkować zęby. Mniejsza o to... tak tylko gadam. A tak naprawdę chciałybyśmy się dowiedzieć, co u ciebie słychać? Jak ma na imię twój mąż? Matthew? Studiował architekturę, prawda? Powiedz nam, jak ci się układa małżeńskie życie z ekskluzywnym architektem?

Stacey wzięła głęboki oddech, co mi uświadomiło, że ja przez cały czas jej tyrady ani razu nie odetchnęłam. Z całego serca chcia-



łam móc im powiedzieć, że nie jestem żoną Matta, ale że jestem osobą szczęśliwą. Zwłaszcza że Stacey znów zaczęła nadawać z promiennym uśmiechem, żebym nie miała wątpliwości, że nie ma żadnych problemów, którymi warto by się przejmować. Wcale się nie obawiała, że mogłaby nie znaleźć partnera. To naprawdę nie było jej zmartwienie. Była dziewczyną numer trzy faceta numer dwa w największej nowojorskiej firmie. Na tym polegało doświadczane przez nią nieszczęście. Cokolwiek bym odpowiedziała i tak by ją to utwierdziło w przekonaniu, że jej sytuacja jest najlepsza z możliwych, w ogóle jedyna, i że powinna być z tego bardzo zadowolona.

Upchnęłam ciaśniej włosy za uszami, zbierając siły.

- No cóż, właściwie - powiedziałam, wzruszając ramionami - powinnaś zapytać o to jakąś mężatkę. Bo ja nie jestem mężatką.

- Ojejku, Emmy, okropnie mi przykro - odezwała się Sheila i chwyciła mnie za nadgarstek. - Tak mi przykro.

Starłam się uwolnić od niej.

- Nic się nie stało - odpowiedziałam.

- Ale skąd. Stało się, jasne, że się stało - powiedziała na to Stacey, a Sheila potwierdziła, z ożywieniem kiwając głową. - To się czasami zdarza. Coś się zmienia! Ale najważniejsze, co jest teraz. Jak sobie radzisz, Emmy?

- Pracuję w sklepie ze sprzętem rybackim w Rhode Island - powiedziałam.

- Och. - Popatrzyły po sobie. - Hm.

Barman postawił przede mną tacę, na której stały kieliszki napełnione tequilą i butelka. Wzięłam tacę i odwróciłam się plecami do dziewczyn, zostawiając im czas do namysłu.

- Cóż, powinnam to zanieść do stołu - powiedziałam. - Ale nie martwcie się. Za chwilę wrócę po resztę.

Znów popatrzyły na siebie i zaczęły się śmiać, trochę zbyt głośno. Ale wydaje mi się, że trudno się czegoś innego spodziewać w odpowiedzi na marny dowcip albo kiedy się samemu wygląda jak jeden wielki żart.

Kiedy wróciłam do stołu, ojciec właśnie coś opowiadał. Ostrożnie postawiłam wódkę na środku stołu i usiadłam na krześle obok Berringera. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, po czym znów odwrócił się do ojca, który coś opowiadał, obejmując Josha. Zdażyłam zaledwie na sam koniec opowiadania, ale słyszałam je już przedtem. To była historia o tym, jak Josh po raz pierwszy, jeszcze w szkole podstawowej, wystąpił jako miotacz drużyny bejsbolowej. Josh miotał piłkę, nie dając szansy napastnikowi, a w ostatniej rundzie napastnikowi rywali udało się wybić ją poza boisko, co dało przeciwnikom punkty.

- Josh podbiegł do stanowiska gracza odbijającego piłki i złamał kij, bo był przekonany, że facet wypełnił go korkiem i dlatego mógł tak mocno uderzyć piłkę - ciągnął ojciec.

Roześmiali się wszyscy oprócz mnie. Byłam zbyt zajęta rozważaniem, czy wszystkie wieczory kawalerskie są równie zabawne jak ten. Berringer nachylił się do mnie.

- Czy to twoje koleżanki? - zapytał, wskazując na siedzące przy barze Stacey i Sheilę.

Wzruszyłam ramionami, sięgając mu przed nosem po kieliszek tequilii.

- Dlaczego pytasz?

- Wyglądałaś na zdenerwowaną.

Zamiast odpowiedzieć, wychyliłam kieliszek. I sięgnęłam po następny. Chciałam zapytać Berringera, czy pamięta Sheilę i Stacey, ale właściwie tylko dlatego, że byłam pewna, że ich nie pamięta. Pomyślałam, że zrobi mi się lżej. Ale zanim zdołałam to zrobić, nachylił się i zaczął mi szeptać do ucha.

- Kiedy mówię ludziom, że jestem szefem kuchni, patrzą na mnie z rozbawieniem i pytają, co takiego pociąga mnie w gotowaniu - powiedział. - Ale wiem, że jeśli powiem, że lubię przygotowywać jakieś naprawdę wyszukane potrawy, na przykład kaczkę z malinami w winnym sosie albo pieczone gołąbki z truflami, albo pasztet z gęsich wątróbek i co tam jeszcze, to przyjmą to ze zrozumieniem. Bo właśnie to chcą usłyszeć.

- Wobec tego co im mówisz?

- Mówię, że lubię przyrządzać masło orzechowe i galaretkę - odparł.

Zaczęłam się śmiać, próbując nie zwracać uwagi na to, że czuję zimny dreszcz na plecach, a jego wargi wciąż przy moim uchu. Odsunęłam się i popatrzyłam na niego.

- Chcesz mi coś dać do zrozumienia, Berringer? Wciąż się do mnie uśmiechał.

- Wszystko, co chcesz - powiedział.

- Czy poznałeś Elizabeth? - Ponieważ nie odpowiadał, uściśliłam: - Elizabeth Josha?

- Emmy, myślę, że powinnaś o tym rozmawiać raczej z Joshem, nie ze mną.

Przechyliłam się nad stołem w stronę brata, który właśnie szybkim ruchem wychylał kolejny kieliszek tequila. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce, zrobił się czerwony.

- Josh jest teraz zajęty - powiedziałam.

Berringer potrząsnął głową, nie podnosząc wzroku. Jestem pewna, że już się nie uśmiechał.

- I co? - zapytałam. - Jest fantastyczna?

Znow rzucił mi niechętnie spojrzenie i słabo potwierdził.

- Jest całkiem niezła - dodał.

Spuściłam wzrok na swój pusty kieliszek i pomyślałam o Meryl. Minęło zaledwie kilka tygodni, jak będąc w Nowym Jorku na ostatniej przymiarce ślubnej sukni, przyjechała samochodem do Hilton w południowym Connecticut, żeby zjeść ze mną lunch. Wtedy Meryl opowiedziała mi o świetnym filmie dokumentalnym, który ostatnio widziała w Los Angeles. Był to film o reżyserze filmowym, który tak się zachwycił jakąś starą powieścią, że ruszył w podróż po kraju, żeby odnaleźć jej autora, o którym nikt nie słyszał od ponad dwudziestu lat. Mówiła o tym z wielkim przejęciem i uparła się, że koniecznie jeszcze tego dnia musimy razem obejrzeć ten film. Wobec tego następane półtorej godziny spędziłyśmy w samochodzie, podróżując do Northampton w Massachusetts, gdzie jest piękne stare kino, jedyne w Nowej Anglii, w którym wyświetlali ten film. Od bardzo, bardzo dawna nie spędziłam czasu równie cudownie

jak tego dnia. Najłatwiej na świecie byłoby powiedzieć, że i ona jest cudowna.

- Problem w tym, że sprawy z Elizabeth nie powinny zajść tak daleko, jak zaszły, jeśli nie miał zamiaru zdecydować się na związek z nią - powiedział Berringer. - Josh jest tego świadomy. Teraz jest tego świadomy. I teraz chce postąpić właściwie. - Właściwie wobec kogo? - zapytałam.

Nie odpowiedział, ale nie chciałam mu odpuścić. Chciałam go zapytać, co miał na myśli: małżeństwo z Meryl czy powiedzenie jej prawdy o Elizabeth? Nie byłam jednak pewna, czy Berringer znał odpowiedź na to pytanie. Nie miałam również pewności, czy dla mnie, dla większości z nas, zachowanie się we właściwy sposób byłoby w tym wypadku równie proste, gdyby miało usprawiedliwiać zrobienie tego, co się powinno zrobić. Bardziej mi zależało na tym, żeby wyciągnąć z Berringera, z którą z kobiet jego zdaniem Josh czuje się bardziej związany. Wiedziałam jednak, że nigdy mi tego nie powie. Raczej powiedziałaby, że nikt mu nie dał prawa, żeby to oceniać. I pewnie miałby rację. Mimo to wiedziałam, że ma własne zdanie na ten temat. Znał Josha lepiej niż ktokolwiek inny, może nawet lepiej niż ja. I doskonale rozumiał, jak Josh może, a jak nie może postąpić.

- Elizabeth zajmuje się hodowlą - rzucił. - Hoduje ogromne psy, wiesz.

- Berringer - powiedziałam wolno, bo tequila zaczęła już mi uderzać do głowy. - Zaczynam myśleć, że nie wiem.

Przypuszczalnie historia ich znajomości miała mniej więcej taki przebieg: Meryl przeniosła się do Los Angeles, kiedy Josh był na ostatnim roku medycyny. Kilka razy w miesiącu Josh jako wolontariusz odbywał praktykę w bezpłatnej klinice w Springfield w Massachusetts. Podczas przerwy obiadowej odwiedził centrum wystawowe, gdzie właśnie odbywał się pokaz ogromnych psów. Elizabeth wystawiała tam dwa psy ze swojej hodowli. Kiedyś, dawno temu, Josh mi powiedział, że wyznaje teorię, że na związek dwojga osób ma wpływ

to, co się wydarzy w ciągu pierwszych pięciu minut ich pierwszego spotkania. A wszystko, co dzieje się potem, to są już tylko drobiazgi. Należy to rozumieć następująco: wiesz już, jak bardzo jesteś zakochany i co instynktownie czujesz do tej drugiej osoby. Jeśli wasza znajomość zacznie się od tego, że jedno z was pospieszy drugiemu na ratunek, bo los przeciął wasze drogi na przykład w wypadku samochodowym, to w przyszłości w różnych sytuacjach i przez cały czas trwania związku oboje zachowacie te role, ratującego i uratowanego. Albo inaczej: jeśli tak się zdarzy, że od pierwszej chwili nie obdarzysz tej drugiej osoby zaufaniem, to przez cały czas taka będzie twoja wobec niej instynktowna i samopotwierdzająca się reakcja, bez względu na to, jak byłaby ci ta osoba życzliwa.

- Jakie było ich pierwsze pięć minut? - zapytałam teraz Berringera.

- Czas się zatrzymał - odparł.

Mniej więcej pod koniec wieczoru, ale jeszcze nie wtedy, kiedy barman dyskretnie ogłosił, że pora na strzebiennego, ojciec wstał z miejsca, zadzwonił łyżeczką w kieliszek i wniósł krótki toast za Josha. Bez przydługich dykteryjek, bez łzawych wspomnień. Zwyczajne życzenia prawdziwego szczęścia. W tym czasie Josh miał już nieźle w czubie i mogłabym przysiąc, że choć patrzył na ojca, skupienie się na tym, co mówił, sprawiało mu trudność. Ale kiedy ojciec skończył, Josh również wstał i go uściskał.

- Za najszcześniejszy weekend w twoim życiu - powiedział ojciec podejrzenie grubym i załamującym się głosem.

- Ludzie, mam dość. Chodźmy stąd - zwróciłam się do Berringera.

Wezwałam już taksówki dla reszty gości. Upewniłam się również, że rachunek został uregulowany. Berringer skinął twierdząco głową, ale zanim udało się nam wstać z miejsc, ojciec znów wywołał mnie po imieniu, tym razem głośniejszym niż poprzednio.

Z wolna rozejrzałam się dookoła. Wszyscy patrzyli na mnie.

- A ty co? - Uśmiechnął się, podnosząc kieliszek. - Nie chcesz wznieść toastu?

Berringer podchwycił moje spojrzenie i nie odwrócił wzroku. Popatrzyłam na siedzących wokół stołu chłopców, których ledwie znałam. A w każdym razie teraz już ich nie znałam. A potem spojrzałam na Josha. Unikał mojego wzroku. Cóż o nim wiedziałam? Wszystko, co mi przychodziło do głowy, to to, że miał jakieś inne życie, o którym do tej pory nawet mi nie wspomniał. Czego jeszcze o nim nie wiedziałam? Czego jeszcze nie wiedziałam o człowieku, o którym sądziłam, że wiem absolutnie wszystko?

Swój toast weselny potraktowałam bardzo poważnie. Przeczytałam z pół tuzina książek o ślubnych zwyczajach. Dowiedziałam się, co oznaczają i z jakich tradycji się wywodzą. Zaplanowałam sobie, że te najdziwaczniejsze drobiazgi włączę do swojego przemówienia. Ale teraz to nie miało znaczenia. Przysięgam na wszystko, że nie mogłam sobie teraz żadnego z nich przypomnieć.

- Śmiało, Em - zachęcał mnie ojciec. - Powiedz coś. Josh uśmiechnął się do mnie i mrugnął.

- Nie musi nic mówić, tato. Daj spokój.

Chciałam odwzajemnić uśmiech, chociaż czułam się okropnie. Wtedy poczułam na plecach dłoń Berringera.

- Wiecie co? - odezwał się. - Właśnie się dowiedziałem od Emmy, że jeszcze pracuje nad swoją mową. Nie będzie jej dla was marnować, chłopaki.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, z wielką wdzięcznością, która mnie samą zdumiała. Zdumiała nas oboje.

- Zachowa ją na wesele - dodał.

Męska część Everettów była na tyle pijana, że wracając do domu, musieliśmy się inaczej podzielić prowadzeniem samochodów. Josh spał na tylnym siedzeniu samochodu Berringera, a ja wolniutko jechałam za nimi samochodem taty. Tata zasnął natychmiast, gdy tylko zasiadł w samochodzie na miejscu pasażera. Spał już mocno, zanim zdążyłam wyjechać z parkingu. Ukradkiem zerkałam, jak lekko pochrapuje przez otwarte usta, i żałowałam, że w ogóle wyszłam dziś wieczór, bo siedziałby teraz w samochodzie Berringera, a ja zostałabym w domu i próbowała nadać kształt mojemu filmowemu projektowi. Albo skorzystałabym ze spokoju w domu i poszła spać, zamiast wciąż myśleć o tym wszystkim, co powiedział Josh. Ktoś za mną zatrąbił. Spojrzałam we wsteczne lusterko. Kierowca oślepił mnie światłami, migąło czerwone światełko jego prawego kierunkowskazu. Być może to spowodowało, że zamiast skręcić w Heathcote Road, prowadzącą do domu rodziców na Drake, skierowałam się prosto na Mamaroneck Road. Nikt nie jechał za mną, nikogo nie było przede mną. Jadąc wzdłuż kortów tenisowych, minęłam ogromny kościół i gimnazjum. Wszystkie światła po lewej stronie były zapalone, z wyjątkiem samotnej latarni ulicznej, która migąła z uporem godnym lepszej sprawy. Zdawało mi się, że nie wiem, gdzie jestem, ale jednak wiedziałam. Zorientowałam się od razu, kiedy dotarłam do Cushman Road i znajomego skrzyżowania w prawo. Potem skręciłam w lewo w Willow i dotarłam do małego zaułka z placikiem, który znałam na pamięć. Objechałam placik i zatrzymałam samochód przed właściwym ogrodem na tyłach domu. Od tyłu wszystko wyglądało tak samo. Trzy

poziomy kolonialnych okien zwieńczone małym poddaszem. Prostokątny ogród z huśtawkami, zjeżdżalnią i zepsutymi zabawkami, należącymi do małego braciszka Matta.

Wyłączyłam silnik i usiadłam wygodnie, żeby odetchnąć. W domu nie paliły się żadne światła. Nawet światło na tylnym ganku było zgaszone. Zdałam sobie sprawę, że rodzice Matta musieli wyjechać na weekend, być może do domu w Maine. Mogło też być tak, że w domu ktoś był i teraz smacznie spał. Ale raczej nie. Najpewniej wyjechali. A pokój Matta w korytarzu na dole musiał być pusty.

Ileż to czasu spędziliśmy razem w tym pokoju. Często przebywałam tam popołudniami, nawet kiedy Matta nie było, kiedy nie mógł przyjechać do Scarsdale, a ja nie mogłam pojechać do Nowego Jorku. Czerpałam spokój z obcowania z jego rzeczami. Tu odrabiałam lekcje albo zwyczajnie spędzałam wolny czas. Czułam się tak, jakby był ze mną. Kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, przyjeżdżał do domu w każdy wtorkowy wieczór i wtedy u niego zostawałam. To się już stało naszym zwyczajem: wspólne weekendy w mieście, a wtorki w Scarsdale. Wstawaliśmy o piątej rano, więc do mojego wyjścia do szkoły mieliśmy jeszcze trochę czasu. Matt przynosił z kuchni kawę w termosie, poranną gazetę i pakował się z powrotem do łóżka.

Jakaś część mnie chciała nacisnąć dzwonek albo wślizgnąć się przez okno do środka, żeby choć przez chwilę znów pobyc w tym pokoju. Nie dlatego, że chciałabym się poczuć jakoś inaczej, ale dlatego, że chciałam znów poczuć choć przez chwilę to co wtedy. Przynależać do czegoś więcej niż tylko do samej siebie. Miał grube prześcieradła i miękką błękitną kołdrę. Dlaczego kolor ma dla mnie jakieś znaczenie? Dlaczego to właśnie pamiętam? Przecież koloru tak naprawdę się nie czuje. Niczego nie można poczuć w pełni, dopóki jakaś część nas nie przyzna, że to coś się zdarzyło.

Pokręciłam głową i ponownie włączyłam silnik. Wcale nie potrzebowałam tu być. Potrzebowałam tylko własnego łóżka i snu. Może jeszcze chciałam zapukać w ścianę sypialni, żeby sprawdzić, czy Josh się nie obudził i czy mnie słyszy. No i czy nie chciałby pogadać.

Niespodziewanie tata otworzył oczy i popatrzył na mnie. Ale ja już wycofywałam samochód z zaułka.



- Wszystko w porządku? - zapytał.
- W jak najlepszym, tato.
- Gdzie jesteśmy?
- Pod domem Matta - odparłam.
- Pod domem Matta? - Wydał się dezorientowany, a jego oczy same się zamknęły. Wiedziałam, że w sekundę znów odpłynął w sen.
- Cóż - powiedziałam. - Już nigdy więcej.

Kiedy wróciliśmy do domu, samochód Berringera stał na podjeździe. Wniosłam do domu swoje torby, również tę z nagraniami rozmów z żonami rybaków. Nalałam szklankę lodowatej wody i postawiłam ją na podłodze obok kanapy, na której zalegał nieprzytomny tata. Potem rzuciłam okiem na Josha, spał całkowicie ubrany na swoim nieposłanym łóżku.

- Co za chlew - powiedziałam głośno, chociaż nie wyglądało na to, żeby ktoś był na tyle trzeźwy, żeby mnie usłyszeć.

Napełniłam wodą następną szklankę i wyszłam na zewnątrz. Na tylnych schodkach znalazłam Berringera, który tam siedział, wpatrywał się w ogród. Namiot na jutrzejszą uroczystość był już ustawiony, a cztery prawie dwumetrowe bambusowe latarnie mocno wkopane w ziemię po każdej jego stronie. Berringer gapił się na to wszystko w towarzystwie pustej miseczki po płatkach zbożowych.

Podaliśmy mu wodę. Uśmiechnął się w podziękowaniu i zanim zaczął mówić, wypił potężny łyk wody, opróżniając większą część szklanki.

- Boję się, że męska część Everettów będzie mieć jutro ciężki dzień - powiedział. - Zostawiłem twojemu tacie liścik w kuchni na stole, żeby wypił rano jedno piwo. Sposób na kaca. Klin klinem, tylko to pomaga.

Odsunęłam na bok pustą miseczkę i usiadłam. Wciąż było niewiarygodnie ciepło, ciężkie powietrze oblepiało skórę. Zamieszałam łyżeczką w resztkę mleka.

- Jakże to były płatki? - zapytałam, wskazując na miseczkę.
- Cheeriosy miodowo-orzechowe - odpowiedział. - Zazwyczaj wieczorami takie jadam.
- A jakie jesz rano?

- Czasami Special K. Przeważnie w niedziele. Uśmiechnęłam się do niego, odkładając łyżeczkę. Czułam w głowie uderzenia własnego serca, powieki zaczęły mi ciążyć.

- Wcale nie jestem pewna, czy powinnam była prowadzić samochód - zauważyłam.

- Widzę to teraz, siedząc nieruchomo.

- Taa, cóż - powiedział. - Ja z całą pewnością pójdę stąd do domu na piechotę.

- W ten upał?

- Jutro będzie jeszcze gorzej.

- To prawda - przyznałam. - Czy to jednak nie dziwne? Ze możesz pójść pieszo do domu? Ze nasze domy jeszcze tu są? Przez cały ten czas od naszego wyjazdu?

- No taa, to domy naszych rodziców.

- Wciąż jeszcze... poświęcam sporo czasu, starając się oderwać od tego miejsca, a czasami zastanawiam się, czy to nie jest jedyne miejsce, do którego będę musiała naprawdę wrócić. Rozumiesz to? Czy to nie jest jedyne miejsce, które będę zawsze uważała za prawdziwy dom?

Podał mi szklanekę z wodą.

- Napij się - powiedział.

Wzięłam od niego wodę i roześmiałam się. Odwrócił się i spojrzał na mnie, pochylając głowę. Czułam się dziwnie, kiedy tak na mnie patrzył z tej perspektywy. Jakby starał się dostrzec coś, co niekoniecznie chciałam ujawnić. To mnie zdenerwowało.

- A więc - uśmiechnął się - opowiedz mi coś więcej o twoim dokumencie. Musisz teraz dużo wiedzieć o połowach, co?

W brzuchu poczułam ściskanie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Opowiadając o swoim życiu, zazwyczaj uciekałam się do półprawd. Ale teraz czułabym się z tym źle, bo zwykłam mu mówić tylko prawdę. Może dlatego że był kimś, kto sam zdawał się nie mieć wielkich trudności z mówieniem prawdy. Co jednak mogłam mu powiedzieć? Ze im więcej czasu poświęcam na gromadzenie materiałów, tym bardziej oddala się zakończenie tej pracy? Ze im więcej czasu na to poświęcam, tym więcej mam wątpliwości i nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego robię właśnie to, a nie co innego?

- Berringer, myślę, że akurat teraz mamy poważniejsze sprawy do obgadania. Choćby Josh - zauważyłam. - To tylko przykład.

- Aha... - powiedział, kiwając głową jakby ze zrozumieniem.

- Panienska wykręca się Joshem, bo nie chce rozmawiać o sobie.

Puściłam to mimo uszu, chociaż zdawałam sobie sprawę, że się nie mylił.

- Po prostu czegoś nie rozumiem - nie dawałam za wygraną.

- Skoro uważasz, że Josh jest taki zachwycony Elizabeth, że tworzą taką cudowną parę, czy co tam jeszcze, dlaczego mu tego nie powiesz? Skoro najważniejsze jest, żeby coś z tym zrobić?

- To już przeszłość. Gdyby miał coś z tym zrobić, już by zrobił.

- A to niby dlaczego? - zapytałam. - Chcesz, żeby popełnił życiowy błąd?

- Dlaczego sądzisz, że to byłby błąd?

Zagapiłam się w przestrzeń, nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć. Nie miałam gotowej odpowiedzi. W jednej chwili nie miałam wątpliwości, że Josh powinien ożenić się z Meryl i że każda inna decyzja byłaby ogromnym błędem, a minutę później zdawałam sobie sprawę z tego, że nie wiem wystarczająco dużo, żeby tak sądzić. Jedyne, czego byłam pewna, bo na własnej skórze przekonałam się o skutkach bezczynności, to to, że Josh sam musi postanowić o swoim przyszłym życiu, a nie zdawać się na los.

Berringer odstawił pustą szklanke.

- Może to wcale nie są błędy - odezwał się.

Spojrzałam na niego w nagłym przyplwywie złości. Oczywiście, błędy są możliwe.

Zawsze można popełnić błąd. Przez całe życie boję się, że popełnię błąd.

- A ty nie masz żadnych błędów na koncie? - zapytałam.

Ale zaledwie zdążyłam wymówić te słowa, pożałowałam, że padły, bo uświadomiłam sobie, jak okrutnie zabrzmiały. Wiedziałam, że nie były w ogóle do niego skierowane, prędzej do mnie albo do Josha, albo jeszcze do kogoś, kto nie miał zamiaru mnie słuchać.

- Berringer - powiedziałam - przepraszam cię. Irytuję się, bo nie umiem sobie z tym wszystkim poradzić. Ale wcale tak nie myślę. Naprawdę.

- Owszem, myślisz, ale w tym nie ma nic złego - odpowiedział. Patrzył teraz wprost na mnie, ale tak, jakby mnie nie widział. Potem wstał.

- Zaczekaj. Chcesz to tak zostawić? - zapytałam. - Nie chcę, żebyś tak teraz wyszedł. Nachylił się i pocałował mnie w czoło, a potem nachylił się niżej. Pomyślałam, że chce mnie jeszcze raz pocałować, tym razem pocałować naprawdę, w usta, ale nie zrobił tego. Tylko przeciągle na mnie popatrzył.

- Nie zostawiam tego tak - powiedział. A potem wyszedł.

Prawdopodobnie w dużej mierze dlatego, że ten weselny weekend zaczął się tak kiepsko, po wyjściu Berringera opadły mnie te wszystkie przesady związane ze ślubem, o których się naczytałam, przygotowując weselny toast dla Josha. Nie mogłam się uwolnić od myśli o okropnych nieszczęściach, które miały grozić za zerwanie narzeczeństwa i zmianę decyzji.

Okazuje się, że ludzie wierzyli w to, że ktoś, kto był zaręczony więcej niż jeden raz, skazuje sam siebie na potępienie. W siedemnastym wieku kandydaci na przyszłych mężów tak bali się tego fatum, że zanim zdecydowali się na oświadczyzny, szukali jakichś specjalnych znaków, potwierdzających słuszność decyzji. W dniach poprzedzających oświadczyzny ujrzenie zakonnika albo kobiety ciężarnej miało źle wróżyć przyszłemu związkowi. Z kolei widok gołębia był oczywistą dobrą wróżbą. Obowiązywały drobiazgowo i dokładnie określone zasady, a ludzie ich przestrzegali. Dzięki temu wiedzieli, jak postępować, żeby znaleźć właściwego partnera na resztę życia. Z pewnością było to znacznie bardziej konkretne niż poleganie na własnych uczuciach.

Dawniej stan narzeczeństwa niemal się nie różnił od stanu małżeńskiego. Złamanie danego słowa, próba wycofania się z zaręczyn, skazywało winnego na bolesne towarzyskie wykluczenie. Było takim samym złem jak rozwód. A czasem nawet czymś jeszcze gorszym.

A jak jest teraz? Dzisiaj? Czy zerwanie narzeczeństwa przeraża nas tak samo jak niegdyś? Jeśli nawet nasi współcześni nie są rów-

nie surowi jak w przeszłości, to czy ktoś, kto zerwie zaręczyny, nie będzie znacznie surowiej oceniony przez środowisko niż ktoś, kto pomimo wielu wątpliwości wytrwa przy swoich pierwotnych zamiarach?

Zaczęłam, nie spiesząc się, wchodzić na górę. Jutro miała się odbyć uroczysta kolacja zapowiadająca ślub. Do samego ślubu zostało mniej niż czterdzieści osiem godzin. Nim miną siedemdziesiąt dwie godziny, będzie po wszystkim. Meryl i Josh udadzą się w drogę na Hawaje, a stamtąd wrócą do Los Angeles. Berringer wyjedzie do San Francisco, a ja wrócę do Rhode Island. Tak się to wszystko zakończy. Nikt nie zostanie skazany na potępienie.

Dlaczego zatem minęłam drzwi do mojego pokoju? Dlaczego poszłam dalej, do pokoju Josha? Dlaczego, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi, powoli osunęłam się na podłogę przy szafie w jego pokoju? Kiedy oczy przywykły do mroku, zobaczyłam, że wciąż leżał na zasłanym łóżku, zakrywając oczy ramionami. Ale dostrzegłam, że teraz nie śpi. Dobierałam słowa bardzo starannie, bo chciałam, żeby słuchał. Nawet jeśli nie miał na to ochoty. Chciałam, żeby mnie wysłuchał.

- Widzisz, Josh, rzecz w tym - powiedziałam - że rozumiem, dlaczego powiedziałeś mi o Elizabeth.

- Emmy - odezwał się - czy musimy to załatwiać właśnie teraz? Kiedy otwieram oczy, widzę cię w siedmiu wydaniach.

Przyciągnęłam kolana mocniej do piersi.

- Musimy, a ty dobrze wiesz, że nie mogę tego tak zostawić - powiedziałam. - Bo gdybym ja znalazła się w takiej sytuacji, ty byś mi nie odpuścił. W każdym razie dopóki byś nie wiedział, że ze mną jest wszystko w porządku.

W świetle wpadającym przez okno jego pierś unosiła się i opadała. Przymknęłam oczy, mnie również lekko kręciło się w głowie. Chciałam zakończyć tę rozmowę. No dobrze, chciałam, żeby to się skończyło, tu i teraz.

- Dobrze się czujesz?

- Niezupełnie - odpowiedział. Przerwałam, ale tylko na chwilę.

- Czy nie uważasz, że powinieneś się z nią zobaczyć? - zapytałam. - Czy to jest jeszcze możliwe?

- Ona jest w Pascoag.

Nie byłam pewna, czy ta odpowiedź miała znaczyć tak, czy nie.

- Pascoag w Rhode Island - dodał. - To na północnym koniuszku stanu. Dokładnie przeciwnym niż twój.

Milczałam. Północny koniuszek był prawdopodobnie odległy o godzinę drogi ode mnie, gdzieś po drugiej stronie Providence. Zaczęłam w myśli dokonywać obliczeń. Jeśli mieszkała na północy, to trzeba tam jechać przynajmniej trzy, może nawet cztery godziny, czyli sama droga tam i z powrotem zajęłaby większą część jutrzejszego dnia.

- Znasz historię nazwy Pascoag? Jest świetna. Wiesz, na wschód od Pascoag ciągnie się klif i kiedyś przez klif prowadziła jedyna droga do miasteczka. Ale niestety klif całkowicie opanowały węże, naprawdę ogromne węże wielkości boa. I trzeba było przejść (*pass*) przez te węże. Więc stąd... *pass coag*.

Spojrzałam w dół i pokręciłam głową. Wiedziałam, co teraz nastąpi, wiedziałam, dlaczego mi opowiedział tę historię. Wiedziałam, że wie, że jestem łasa na takie ciekawostki. Wiedziałam to, jeszcze zanim się zdecydowałam przyznać, że znam tę historię.

- Byłoby mi dużo łatwiej, gdybyś ze mną pojechała, Emmy - wykrztusił wreszcie.

- Nie jestem pewna, czy to by pomogło, Josh. Zakrył oczy dłońmi i już prawie zasypiając, powiedział:

- Pomogłoby.

Spuściłam wzrok, mnie również zaczęły się zamykać oczy. Gdybym była inną osobą, zasnąłabym tu na miejscu. Sweter podłożyłabym sobie pod głowę, zwinęłabym się w kłębek i po prostu bym odpłynęła. A potem, może jutro, ustąpiłoby to uczucie przymusu. Josh zamknąłby się w sobie, na swój zwykły sposób. Ukryłby wszystko to, co teraz wypłynęło na wierzch, te wszystkie uczucia, do których nie ma odwagi się przyznać. Z tego powodu, bardziej niż z jakiegoś innego, przemogłam w sobie chęć snu.

- Zatem - powiedziałam - pojedźmy tam.

## **Część druga**

Tydzień po zaręczynach z Mattem moi rodzice, w przyływie szczególnej hojności, zaprosili nas z tej okazji na kolację i wręczyli dwa bilety na samolot do Paryża. Domyśliłam się bez trudu, że to mama wybrała Paryż. Musiała zapamiętać, co opowiadałam jakieś cztery lata wcześniej, kiedy wróciliśmy z Mattem z naszej pierwszej wspólnej podróży do Paryża. Opowiadałam jej, że to tam po raz pierwszy rozmawialiśmy o naszym przyszłym ślubie. Co więcej, opowiedziałam, jak mocno to mnie poruszyło i że poważnie wzmocniło naszą więź. Zdarzyło się tam coś, co trudno uchwycić i nazwać, co jednak dało mi wtedy pewność, że Matt jest tym, z kim powinnam spędzić życie, pewność, że bez względu na to, co przyniesie przyszłość, on będzie jej częścią. Moja matka to zapamiętała i chciała uczcić. Już w taksówce, którą tego wieczoru wracaliśmy po kolacji do naszego mieszkania, Matt zapytał, czy rodzice się nie obrażą, jeśli te bilety na lot do Paryża zamienimy i polecimy gdzie indziej. Do Pragi albo do Wiednia.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy się jakoś wyśmienie bawili w Paryżu - powiedział. - Wiesz, co mam na myśli? Nic mi się jakoś nie wbiło w pamięć. Cóż mogłam do tego dodać? Są chwile, w których czujesz, że coś cię powala i że już nigdy się po tym nie podniesiesz, nigdy już nie będzie tak jak przedtem. To była jedna z takich chwil.

- Kobiety mają lepszą pamięć niż mężczyźni - dowodził, kiedy próbowałam mu przypomnieć naszą rozmowę o ślubie, przywołać poranek pod wieżą Eiffla, wieczór w niewielkiej kafejce, wszystko, wszystko, co razem robiliśmy i że wtedy zdawał się bardzo tym wzruszony.



Tego się obawiałam najbardziej: że już nie był nami tak przejęty, że coś między nami bezpowrotnie się zmieniło. A potem na każdym kroku szukałam potwierdzenia tych obaw: w tym, że już nie zasypiał zwrócony do mnie twarzą, albo w tym, że przestał pytać mnie o rzeczy, które przedtem go interesowały, w tym, że już nie czuł potrzeby, by mówić mi o sprawach, które były dla niego ważne. Z początku sądziłam, że to tylko moje urojenia. Albo że jestem przewrażliwiona. Tym bardziej że zdarzały się czasem jakieś niespodzianki. A to zorganizował kolację walentynkową w łóżku, a to zostawił kwiat słonecznika pod drzwiami wejściowymi albo podał mi rękę na parkingu bez uprzedniego rozglądania się wokół. Ale wyczekiwanie na te drobne sukcesy było jeszcze smutniejsze. Dlatego że były tak rzadkie i raczej wyglądały na akty zadośćuczynienia za coś, o czym nie miał odwagi mi powiedzieć.

A mimo to czekałam na nie. Czekałam blisko rok; przez całe zaręczyny miałam nadzieję, że w swoim narzeczonym zobaczę znów Matta takiego, jakiego sądziłam, że znam. Ale im dłużej czekałam, tym dobitniej do mnie docierało, że utraciliśmy coś niezwykle cennego, czego niczym nie da się zastąpić, i że stało się to prawdopodobnie jeszcze przed pamiętną jazdą taksówką, gdy po raz pierwszy ten brak zauważyłam. Kiedy to zrozumiałam, stanęłam przed niezmiennie tak samo trudnym, więc zazwyczaj odsuwanym pytaniem. Pytaniem o to, z czego w życiu jestem gotowa zrezygnować, żeby zatrzymać przy sobie Matta, a tym samym nie być zmuszoną do zmierzenia się z czymś, co wydawało mi się niemożliwością: z innym życiem, życiem bez niego.

A teraz nie mogłam pomóc Joshowi. Mogłam się tylko martwić o to, w jakie życie wkroczy albo przed jakim umknie. Może to nie była moja sprawa, ale Josh był mi zbyt bliski, żebym mogła o tym nie myśleć, nie próbować pomóc mu odnaleźć jakiś sens w tym wszystkim. Przynajmniej nadać jego wyborom więcej sensu, niż mnie się udało we własnym życiu.

Niewyłączony alarm budzika zadzwonił szósty raz tego rana, domagając się ode mnie, żebym chcąc nie chcąc, wreszcie się obudziła. Była 6.34 rano. Od czternastu minut powinniśmy być w drodze,

a w głowie wciąż czułam dudnienie od nadmiaru tequili wypitej przed kilkoma godzinami. Jakby nie dość było tego kłopotu, termometr za oknem, zawieszony tam przez ojca mniej więcej w czasie moich dziesiątych urodzin, wskazywał dwadzieścia jeden stopni Celsjusza. Do siódmej brakowało pół godziny, a na dworze już było ponad dwadzieścia stopni!

Wyłączyłam budzik i podniosłam się z łóżka.

- Jak to możliwe? - zastanawiałam się, pukając w termometr, by jakoś na niego wpłynąć. Ale trzymał się mocno.

- Do kogo mówisz? - zapytał Josh. Stał w drzwiach mojego pokoju, ubrany w dżinsy i białą koszulę z długimi rękawami, na którą nałożył koszulkę z krótkimi rękawami i napisem WORD. W ręku trzymał kluczyki do samochodu.

- Może powinieneś się przebrać - powiedziałam, wskazując termometr. - Wygląda na to, że dziś dojdzie do tysiąca stopni.

- Zaryzykuje - odpowiedział. - Gotowa?

Stałam boso przy swoim łóżku w podartej koszulce, w której zwykłam sypiać, i właściwie mogłam tylko zapytać, czy wyglądam, jakbym była gotowa. Ale Josh mówił do mnie ściszym głosem i wiedziałam, że boi się obudzić rodziców.

Wobec tego podniosłam rękę, żeby mu dać znać, że potrzebuję jeszcze minuty.

Josh pokiwał głową na zgodę i zniknął w korytarzu. Otworzyłam szafę w poszukiwaniu jak najlżejszego ubrania. Taszcząc do domu kasety z nagraniami żon rybaków, zostawiłam w samochodzie wszystko oprócz plecaka, sądziłam bowiem, że dziś rano ubiorę się w to, co znajdę w swojej starej szafie. Wybór był, delikatnie mówiąc, skromny. Zdecydowałam się na żółtą plażową sukienkę, parę starych kłapek i wygnieciony kowbojski kapelusz.

Stałam przed lustrem toaletki w kapeluszu na głowie i wiązałam kucyki. Nie prezentowałam się zachwycająco. Z braku snu miałam ziemiste policzki i podkrążone oczy.

- Wyglądam jak mała dziewczynka - powiedziałam do swego odbicia.

- Wyglądasz dobrze - powiedział Josh, ponownie zjawiając się nie wiadomo skąd w drzwiach mojego pokoju.

- Przestań - poprosiłam.
- Co mam przestać?
- Tak nieoczekiwanie się zjawiać.

Kiwnął na mnie, żebym szła za nim. Sięgnęłam po notes i ruszyłam, idąc za nim krok w krok z mojego pokoju, górnym korytarzem, w dół głównymi schodami i przez frontowe wejście. Nie odezwał się do mnie, dopóki nie znaleźliśmy się na dworze.

- Zostawiłem mamie i tacie liścik, że pojechaliśmy do Nowego Jorku i że spędzimy dzień z Meryl - powiedział, przyspieszając kroku. - Napisałem, że gdyby czegoś potrzebowali, mogą dzwonić na twoją komórkę.

Staralam się zachować spokój.

- A co powiedziałaś Meryl?

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi dokładnie o to, co powiedziałam. Co powiedziałaś Meryl? Ze dokąd jedziesz?

- Meryl będzie dziś bardzo zajęta swoimi sprawami - odpowiedział. - Wszyscy są w Nowym Jorku. Umówiła się z Bess i z weselną wodzirejką na dopięcie spraw organizacyjnych.

Jakimś dziwnym zrządzeniem losu Meryl wynajęła na weselnego wodzireja tę samą kobietę, która pomagała zaplanować i organizować mój ślub z Mattem. Tiffany Tinsdale. Tiffany Tinsdale, która pracowała w szeregowcu w Upper East Side; za niechlujstwo w nim powinna przeproszać każdego, kto przekroczy jego próg. A że wiedziała o tym doskonale, zawsze zostawiała na podłodze strzępek papieru, żeby go podnieść i przeprosić za bałagan. Szczerze zniechęciłam Tiffany Tinsdale.

Uczucie to było odwzajemnione. Żądała ode mnie, żebym przejmowała się rzeczami, które nie wydawały mi się tego warte: nakryciami, sukienkami druhen, prezentami pamiątkowymi dla gości. To wszystko nie ma dla mnie znaczenia w życiu codziennym, a sprawy z Mattem potoczyły się tak, że planowanie wesela zaczęłam odczuwać jak niewygodne przypomnienie, że nasz ślub staje się przedstawieniem o wygórowanych kosztach produkcji. A ja już nawet nie wiedziałam, dlaczego się w to wpakowałam.

Tiffany. Mogłam tylko czuć wdzięczność, że nie muszę się z nią spotykać w ten weekend. Kiedy Meryl uświadomiła sobie, że to ona pracowała nad zorganizowaniem mojego niedosłego wesela, zwolniła Tiffany i na jej miejsce wynajęła jakąś Bethany.

Spojrzałam uważnie na brata.

- Więc nie martwisz się - zapytałam - że Meryl może coś podejrzewać?

- Nie - odpowiedział.

Nie przestawałam na niego patrzeć, czekając, że jeszcze coś powie. Wiedziałam, że ma coś jeszcze do dodania, bo unikał mojego spojrzenia.

- Nagrałem jej wiadomość, że spędzę ten dzień z Berringerem i żeby do niego dzwoniła, jeśli będzie mnie potrzebowała, w porządku? I, Emmy, nie - mówił dalej, przewidując moje następne pytanie

- na pewno nie wpadnę.

To mi dało do myślenia. Najpierw, że się myli i że może wpaść. A potem, że się nie myli, bo robił to już przedtem tyle razy, że teraz umie wszystko zorganizować.

Odblokował drzwi samochodu. Usiadłam na siedzeniu pasażera i obserwowałam, jak Josh wślizguje się na fotel kierowcy.

- Wiesz, nie jestem pewna, czy mi się podoba to, co teraz robisz

- odezwałam się, kiedy zamknął drzwi.

- Cóż - odparł - jeśli cię to pocieszy, wcale nie jestem pewien, czy mnie się to podoba.

Najszybciej do Rhode Island z domu naszych rodziców jedzie się drogą numer 287, która następnie wpada na międzystanową 1-95. Potem już do końca, nigdzie nie zbaczając, pruje się przez całe Connecticut, jeden długi nudny skok. Jeśli wszystko szłoby zgodnie z planem, powinniśmy dotrzeć do mojego krańca Rhode Island w trzy godziny z kawaleczkiem, a do krańca Elizabeth - jak przypuszczam - około pięćdziesięciu minut później.

Kiedy wjechaliśmy na 287, opuściłam szybę i wystawiłam rękę za okno, pozwalając, żeby owiewał ją prąd powietrza. Wiedziałam, że z rana wszystko powinno wyglądać lepiej, a tymczasem ciągle czekałam,

że to lepiej nastąpi. Denerwowałam się na spotkanie z Elizabeth, denerwowałam się, że mi się nie spodoba, a jeszcze bardziej, że mi się spodoba. A najgorszy był niepokój wynikający z absurdalności wypełnionej pośpiechem sytuacji, który podskórnie odczuwałam bardziej niż cokolwiek innego. Niepokój, że gdy tylko się zatrzymamy, spadną na nas wszystkie rodzaje nieszczęść.

Podejrzywałam, że Josh musi się czuć podobnie. Prowadził dziwnie wolno, więc z lewej strony wyprzedzały nas samochody: dwa pasujące do siebie zielone saaby, sportowy samochód terenowy i minivan pełen dzieciaków, zapamiętałe do nas machających.

Josh również im pomachał.

- Pamiętasz - odezwał się - naszą letnią wyprawę samochodową do Arizony? Chyba byłem wtedy w siódmej klasie. A w takim razie, w której ty byłaś, w drugiej? To była chyba ostatnia nasza tak daleka wyprawa.

- Jestem pewna, że byliśmy jeszcze potem w Kolorado - powiedziałam.

- Kolorado nie jest tak daleko jak Arizona, Emmy.

- Aha.

Popatrzył na mnie tępym wzrokiem.

- Naprawdę tego nie wiesz?

- Josh! - wykrzyknęłam. - Czy w tej twojej dykteryjce o coś chodzi? A może chciałeś tylko sprawdzić moją znajomość geografii?

- Jaką znajomość geografii?

Ja także na niego popatrzyłam, a potem znów utkwiałam wzrok w drodze. Mały chłopiec z minivana zamaszycie gestykulował do mnie i pokazywał język. Też mu pokazałam język.

- Chodzi mi o to - powiedział Josh - że to chyba w Arizonie wymyśliłaś tę grę.

Polegała ona na tym, że krzyczałaś do tyłu przez okno „wilk”, jeśli nie rozpoznałaś samochodu, który jechał za nami. Jak się nazywała?

- Wilk.

- No właśnie. Wlk. I to było twórcze.

Przewróciłam oczami, dziwiąc się sama sobie, że dopiero teraz do mnie dotarło, że *to* się zbliża. Ale teraz już wiedziałam. Wiedzia-

łam, co teraz nastąpi. Josh wygłosi jakąś wersję przemówienia pod tytułem „nie powinnaś w ten sposób marnować swojego życia”. Powinnaś robić coś twórczego. Powinnaś coś robić.

- Wiesz, Josh - powiedziałam. - Naprawdę nie uważam, że to ty, akurat teraz, jesteś właściwą osobą, żeby mnie pouczać.

- Kto tu poucza? Wcale cię nie pouczam. Po prostu mówię. Zamknęłam oczy.

- Dobra, obudź mnie, jak skończysz mówić.

- Nigdy nie chciałaś o tym rozmawiać, Emmy. Jak możesz tak po prostu marnować swój czas gdzieś w Rhode Island. W ogóle nie starasz się z tym uporać. Nawet Meryl mówi...

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie teraz powołuje się na Meryl. Jak mógł pomyśleć, że to dobry pomysł? Zupełnie jakby całkowicie stracił poczucie rzeczywistości. Próbowałam zachować spokój.

- Powiedz mi szczerze - odezwałam się - dlaczego uważasz, że masz prawo decydować o moim życiu? Co cię do tego upoważnia? Jakieś własne wybitne sukcesy w życiu osobistym?

- Dojrzałość - odpowiedział. - Jestem lekarzem. Pokręciłam głową i odwróciłam się od niego. Naprawdę nie

miałam ochoty dalej o tym rozmawiać. Rozumiałam, że Josh nie chce, żebym była w Rhode Island, że nie chce, żebym robiła to, co robiłam albo czego nie robiłam. Ale według mnie mówiąc to, przekroczył pewną kruchą granicę. W Rhode Island robiłam dokładnie to samo, co mogłabym robić w Nowym Jorku albo w Los Angeles, albo gdziekolwiek indziej, jeśli o to chodzi. I dobrze wiedział, że tak było.

- Czy nie widziałeś tych wszystkich kaset z nagraniami w moim pokoju? -

zapytałam. - Czy film dokumentalny, nad którym pracuję, wcale się nie liczy?

- Racja, *dokument*. - W tonie jego głosu było to coś, przez co z całych sił starałam się przebić.

- To są fascynujące materiały, wiesz? Partnerzy tych kobiet spędzają poza domem więcej niż połowę swego życia. Nie ma ich przez cztery, sześć tygodni... czy wyobrażasz sobie, czym musi być małżeństwo

z kimś, kto wciąż cię opuszcza? Jak musi się czuć ktoś, kto nieustannie czeka, aż wróci partner? Naprawdę jest o czym pomyśleć.

- Chciałem powiedzieć - odparł - że naprawdę nie sędzę, że to jest szczególnie oryginalny temat.

- Nieszczególnie oryginalny?

- No tak.

Popatrzyłam na niego przeciągle.

- Zatem Wilk był genialny, ale obserwowanie szczególnie trudnych przejawów zastępczej podkultury nie jest zbyt twórcze?

Nie miał szans nawet spróbować mi odpowiedzieć, bo od razu podniosłam rękę, żeby go powstrzymać. Miałam dość i mówiąc całkiem szczerze, czułam, że to coś więcej niż tylko moje przewrażliwienie na punkcie tego filmu. To jego temat budził we mnie niepokój. To jasne, że Josh nie był w stanie zrozumieć wartości tej pracy. On nigdy na nikogo nie czekał. Nigdy go nikt nie opuścił. Był zbyt zajęty zatrzymywaniem wszystkich przy sobie.

Ale rzecz w tym, że nie doszukałam się niekończących się zastępów bratnich dusz również wśród badanych przeze mnie żon. Większość deklarowała, że nie lubią rozłąki z mężami, ale wcale tym samym nie mówiły, że czują się opuszczone albo porzucone. Być może moje kłopoty z tym materiałem właśnie stąd się brały.

Spodziewałam się usłyszeć, że one wszystkie czują się tak samo źle jak ja. Wtedy poczułabym się lepiej, bo nie byłabym w moim samopoczuciu osamotniona. Ale moja hipoteza się nie sprawdzała, a im więcej zbierałam materiału, tym trudniej było mi ją potwierdzić. Im bardziej starałam się wpasować żony rybaków w przyjęty z góry model, im bardziej rzutowały na nie własne problemy, tym trudniej było mi dostrzec to, czego bym mogła się od nich nauczyć. Dokładnie przed tygodniem pytałam Kate nr 2, co robi, kiedy jej mąż wypływa w morze.

- Co masz na myśli, pytając, co robisz? - odpowiedziała pytaniem. - Karmię kota.

Oglądam telewizję. Nalewam mniej zupy do wazy.

W tej odpowiedzi jest lekcja, której powinnam była sama sobie udzielić. Coś, do czego powinnam już dawno dojść.

- Tak czy siak - odezwał się Josh - nie wydaje mi się, żeby zbieranie takiej dokumentacji było akurat zajęciem dla ciebie. Czy to

w ogóle ma jakiś związek z tym, co naprawdę chciałabyś robić? Wiesz, żeby robić coś, co sprawia satysfakcję. Coś, co znajduje szczęśliwe zakończenie. Czy nie to jest twoim celem?

- Nie myślę o jakimś celu - odpowiedziałam, niezbyt zgodnie z prawdą. Do tego filmowego przedsięwzięcia dokumentalnego skłoniła mnie między innymi moja fascynacja ideą „hollywoodzkiego zakończenia”, które ludzie zawsze utożsamiają z happy endem. A mnie się wydaje, że zakończenia klasycznych filmów hollywoodzkich, takich jak *Casablanca*, *Absolwent*, *Chinatown*, bardzo często z trudem można by uznać za szczęśliwe. To prawdziwy melanż. Zawsze interesowało mnie robienie filmów dokumentalnych, tropienie rzeczywistych wydarzeń i historii, które miałyby happy end, jakiego nie znalazłabym gdzie indziej. Ale nie miałam zamiaru teraz o tym wspominać.

- Ale ja - powiedział Josh - nie mówię tylko o tym projekcie. Mówię o tym, że kiedyś byłaś zabawna. Zabawna, prawdziwa i twarda.

- Teraz jestem twardsza niż kiedykolwiek.

- Ani trochę - powiedział.

Przez cały czas jechaliśmy prawym pasem. Gdyby Josh nie zagapił się właśnie w tej chwili, zauważylibyśmy zjazd na drogę między-stanową. Trzeba więc było zjechać na następnym zjeździe i zawrócić. Straciliśmy pół godziny, a przynajmniej dwadzieścia minut.

Zacząłam mówić, ale mi przerwał.

- To tak, jakbyś czekała na Matta, albo coś w tym rodzaju - powiedział. - To tak, jakbyś tam tkwiła, bo czekasz, aż przyjedzie i cię stamtąd zabierze.

Poczułam, że coś okropnie mocno zaciska się wokół mojego gardła, paraliżuje mnie od środka, uniemożliwiając przełykanie. Utrudnia zrobienie czegokolwiek. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić Joshowi, żeby nie myślał, że oszalałam. Bo przez chwilę czułam, że oszaleję, gdy znów nawiedziła mnie ta powtarzająca się fantazja, że otwieram frontowe drzwi i widzę w nich Matta; stoi z ręką głęboko w kieszeni i patrzy na mnie. I jedziemy, nie w to miejsce, które opuściliśmy, ale tam, gdzie byliśmy trochę wcześniej. Tam, gdzie jeszcze wszystko dobrze się między nami układało.



Czy to, że Josh lubił Matta, coś znaczyło? Miałam ochotę mu o tym przypomnieć, ale wiedziałam, że Josh nie będzie chciał wysłuchiwać litanii rodzinnych wydarzeń, w jakich Matt uczestniczył: zawody ligi koszykówki, do której obaj należeli, nasze wspólne półmarato-ny, wyprawa do Chicago na urodziny naszej mamy. Dla Josha było teraz tylko to ważne, że Matt już nie był częścią naszej rodziny, obchodziło go wyłącznie to, czy ja się z tym pogodziłam raz na zawsze.

- Nie rozumiem tego, Emmy - powiedział Josh. - To ty go zostawiłaś, pamiętasz? Nawet jeśli potem nie zaszłaś zbyt daleko.

Miałam ochotę mu odpłacić i zapytać, jak daleko sam zaszedł, od czasu kiedy zerwał z Elizabeth. Nie mógł zająć zbyt daleko, skoro teraz, w przeddzień własnego ślubu, był w drodze na spotkanie z nią.

Miałam ochotę się rozplakać. Josh się nie mylił. Nie byłam twarda, już nie.

Wystarczyło powiedzieć mi parę słów, trafić w czułe miejsce i zamieniałam się w rozciapciany kłębek emocji. Ale też wystarczyło, że ktoś mnie przyjaźnie poklepał, a już tryskałam energią.

Josh spojrzął na mnie i chociaż odwróciłam wzrok, musiał zdać sobie sprawę, że posunął się za daleko, bo dostrzegłam, że się przygarbił i szybko zmienił ton.

- Widzisz - powiedział - nie chcę wyjść na jakiegoś palanta. Po prostu nie podoba mi się, że tkwisz w takiej stagnacji. Mogłabyś zajmować się tysiącem różnych spraw. Wróć do szkoły filmowej albo zamieszkał na jakiś czas w Londynie. Kiedyś lubiłaś Londyn, pamiętasz? Dlaczego tam nie poszukasz pracy? Albo przeprowadź się gdziekolwiek i rozejrzyj się za jakąś prawdziwą pracą. Chcę tylko powiedzieć. .. że masz przed sobą wiele możliwości, nie tylko jedną drogę.

Udało mi się przełknąć, oczyścić gardło.

- Cóż, miło to słyszeć, Josh - powiedziałam. - Bo właśnie znów przegapiłeś nasz zjazd.

Trochę po dziewiątej zjechaliśmy z autostrady do przydrożnego baru, żeby zjeść śniadanie i napić się kawy. Byliśmy zaledwie piętnaście minut na południe od Narragansett, niecałe sto kilometrów od Pas-coag. Nie chciałam jednak robić postoju ani kilometr bliżej miejsca, gdzie mieszkałam. A dokładniej, nie chciałam robić postoju tam, gdzie mieszkałam. Musiałabym zabrać Josha do jedyne miejsca w Narragansett, gdzie można było coś zjeść. Do Dad's Breakfast Shop, maleńkiej, składającej się z jednego pomieszczenia knajpki przy ulicy, na której mieszkałam. Na ścianach jaskrawe kwieciste malowidła, długa lada i codziennie od rana te same osoby zamawiające te same zestawy dań: numer 1 (dwa racuchy, trzy jajka i sok); numer 2 (kotlet siekany z peklowanej wołowiny z cebulą i duża kawa) albo numer 3 (bananowe gofry z bitą śmietaną i mus jabłkowy).

Wyobraziłam sobie Josha w drzwiach knajpki. Musiałabym wtedy przeżywać połączenie nadziei i obawy, że natknę się na kogoś, kto do mnie zagada, dając

świadczenie, że przynajmniej moja tutejsza sytuacja przypomina normalne życie. Tak czy siak, oboje nie moglibyśmy nie być rozczarowani.

Natomiast anonimowy przydrożny bar, do którego zajechaliśmy, był pełen ludzi, których nie miałam powodu znać. Usiedliśmy w narożnym boksie. Josh zamówił półmisek jajek i polędwicy z indyka. Oznajmiłam, że nie jestem bardzo głodna, ale mimo to zjadłam najpierw połowę jego porcji, a potem jeszcze zamówiłam sobie placuszki z malinami. Ostatnio jadłam coś wieczorem przed pokazem sztucznych ogni. A podczas pokazu zjadłam jednego hot doga. I zdawało mi się, że to było wieki temu.

Dokładnie w chwili, gdy podano jedzenie, zadzwonił mój telefon komórkowy. Na ekraniku zamigotało MAMA. Pokazałam Joshowi telefon, żeby mógł zobaczyć, kto dzwoni. Mieliśmy kłopoty. Byłam tego pewna. Byłam pewna, że ona wie, że coś nie gra.

- Odbierz - powiedział.

- To ty odbierz. - Podałam mu telefon.

- Nie ma mowy. - Odsunął aparat w moją stronę. - Nie przesadzaj. Odbierz telefon i dowiedz się, czego chce. Na pewno chce ci tylko powiedzieć, że catering się spóźnia albo jacyś goście w ostatniej chwili dali znać, że nie przyjdą. Albo że zostawiłaś w swoim pokoju okropny bałagan.

Rozbrzmiewał już czwarty dzwonek. Josh nic więcej nie powiedział, ale wciąż na mnie patrzył, czekając, bym zrobiła to, co mówił. Z niechęcią na niego spojrzałam i w końcu odebrałam telefon.

Zanim zdążyłam powiedzieć halo, mama była już w połowie zdania. Mówiła szeptem:

- ... Moynihan-Richardsowie pieką kurczaka na grillu, który w ogrodzie postawiła firma cateringowa. Widzę to przez kuchenne okno.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak w zielonym dresie, wciśnięta w kąt, żeby pozostać niezauważona, wychyla się przez okno przy zasłonie odsuniętej tylko na tyle, żeby mieć widok na grill.

- Zmyślasz - powiedziałam.

- Czy mogłabym zmyślić coś takiego? I czy mogłabyś mi z łaski swojej powiedzieć, skąd wytrzasnęli tego kurczaka? Bo ja im nie dałam.

Nie miałam pojęcia, co jej odpowiedzieć.

- Kto je kurczaka na śniadanie? Zakryłam dłonią mikrofon.

- Musisz z nią porozmawiać - bezgłośnie wyszeptałam do Josha. - Błagam.

Potrząsnął głową i wskazał na męską toaletę. Po czym podniósł się i udał w tamtą stronę. Zdjęłam dłoń z mikrofonu.

- Już nie wspomnę, że wasz ojciec jest w opłakanym stanie - mówiła dalej. - Coście mu dali do picia wczoraj wieczorem? Napił się piwa na śniadanie i wygaduje jakieś brednie na temat psich kudłów.

Psy. Brednie. Wolałam zapomnieć, dokąd z Joshem zmierzaliśmy. Będziemy tam za godzinę, może za mniej niż godzinę, i ktoś może wiedzieć, co nas potem czeka? Któż może wiedzieć, co tam na niego czeka?

- Dziś po południu oboje powinniście się trzymać daleko stąd, okej? Jeśli się da, nie wracajcie przynajmniej do piątej. Im mniej jest tu ludzi, tym lepiej.

Odetchnęłam głęboko zadowolona z takiego obrotu spraw. Nasza całodniowa nieobecność w domu, którą byłoby trudno ukryć, nie będzie wzbudzała niczyich podejrzeń. Po prostu zastosowaliśmy się do poleceń.

- A teraz powiedz, co tam u was? - zapytała. - Czy wszystko w porządku? Jak Meryl się trzyma?

- Och, dobrze, znasz Meryl - wykrztusiłam. - Stara się nie zwracać uwagi na te sprawy.

- Wiesz, to zabawne - powiedziała. - Dokładnie to samo powiedziała Meryl, kiedy tu do was dzwoniła kilka minut temu.

Poczułam, że oczy otwierają mi się szeroko ze zdumienia. Całkowita panika. Wiedziała, że Meryl z nami nie ma. Wiedziała! Popatrzyłam w stronę łazienki, ale Josh zniknął w środku. Rozważałam, czy się nie rozłączyć, udając potem, że połączenie zostało przerwane. Ale zadzwoniłaby jeszcze raz. Byłam pewna, że to zrobi. Wiedziałam, że jeśli zechce się dodzwonić, zostawi i dwadzieścia wiadomości w mojej skrzynce głosowej.

- Nie mieści mi się w głowie, że mnie okłamaliście - powiedziała. Nie wydało mi się, by nadeszła właściwa chwila, żeby oznajmić, że to Josh zostawił liścik, Josh skłamał. Ale chciałam. Chciałam uwolnić się od kłopotu. Miałam dwadzieścia sześć lat na karku, a wciąż byłam skarżypyta.

- Ale wiesz, co ci powiem? To nie ma znaczenia - ciągnęła. - Nie musicie mi nic mówić. Bo i tak już wiem. Co wy sobie wyobrażacie? To mój syn. To jasne, że wiedziałabym o czymś takim. I nie prawcie mi tych waszych uprzejmości, że Josh nie chciał mnie martwić. Rodziłam go przez dwadzieścia jeden i pół godziny i od tego czasu martwię się przez większość życia.

Odsunęłam swój, teraz już pusty talerz, bo zapach resztek syropu zaczął przyprawiać mnie o mdłości.

- Nie przesadzaj z porównaniami - poprosiłam.

- Rzecz w tym - powiedziała - że gdyby Josh nie chciał mnie martwić, nie jeździłby tak brawurowo.

- Brawurowo?

- No wiesz, na harleyu. Pędząc po autostradzie. Spojrzałam na słuchawkę, jakby mogła mi wytłumaczyć, w czym rzecz.

- O kogo chodzi? - zapytałam.

- Chcę tylko powiedzieć, Emmy, że któregoś wieczoru razem oglądaliśmy *Erin Brockovich*, ten film z Julią Roberts. Widziałam twarz Josha, widziałam, jak się wpatrywał w tego motocyklistę, grającego jej chłopaka, kiedy mówił o silnikach harleya i o tym, z jaką troską obchodzi się z jednym z nich; zupełnie jakby to był człowiek. A po mnie się spodziewał, że będę zachwycona, że tak inteligentnie potrafi o tym mówić. Dobrze wiedziałam, co sobie myślał. Kiedy będę miał taki sam motor? I pozwól, że ci coś powiem. To mi wcale nie imponowało.

Josh wrócił do stołu i rzucił mi pełne niedowierzania spojrzenie, dziwiąc się, że wciąż rozmawiam.

Położyłam palec na ustach, dając mu znak, żeby milczał.

- Tylko jedno pytanie. Chyba nie masz zamiaru z nim jechać, prawda? Wiesz, jak to się nazywa? Przyzwolenie. Powinnaś spróbować go powstrzymać. Bo jemu się zdaje, że to jest jego ostatnia szansa. Bóg jeden wie, że Meryl mu nie chciała na to pozwolić. Ale ciebie posłucha. Ciebie posłucha prędzej niż mnie.

Josh wpatrywał się we mnie.

- O co chodzi? - bezgłośnie wyszeptał. - Co ona mówi?

- Słucham cię, mamó - powiedziałam, nie spuszczać oczu z Josha.

- To dobrze. Bo ciebie posłucha, jeśli mu powiesz, żeby tego nie robił.

Przekroczyliśmy granicę Pascoag około jedenastej przed południem, a niedługo potem minęliśmy znak prowadzący do Hodowli Hamiltonów. Słońce mocno paliło, wszystkie szyby w samochodzie były całkowicie opuszczone, a nawiew nastawiony na nas. Tuż za znakiem kierującym do Hamiltonów, małą błękitną strzałką, Josh skręcił w lewo w długą zakurzoną drogę prowadzącą do celu. Wszystko wokół było we władaniu drzew: grube konary i długie, połamane gałęzie, kłody na wąskiej drodze. Ale w końcu dotarliśmy do drugiej niebieskiej strzałki, która skierowała nas w lewo, a potem do trzeciej wskazującej na prawo. I zanim się zorientowałam, znaleźliśmy się na obszernej przesiece i pod wysokim łukowatym sklepieniem wjechaliśmy na szeroką otwartą przestrzeń. Niebo opadało na hektary ziemi, pagórki i las wyglądający z tej odległości jak czasza spadochronu.

Po lewej stronie dostrzegłam duże, otoczone parkanem pole, na którym nisko zawieszony łańcuchy dzieliły teren na psie zagrody i wyznaczały białe wybiegi dla psów. Po prawej stronie znajdowały się obszerne zabudowania, a za nimi otulone mgłą jezioro. Na powitanie wszystkie psy wybiegły z głośnym ujadaniem. Pierwszy raz w życiu miałam okazję zobaczyć bullmastiffa i w ogóle tyle wielkich psów naraz. Przypominały nieco małe konie, broniące swego królestwa.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Josha.

- To tutaj mieszka? - zapytałam.

- Tak, tu mieszka - odparł z dumą, kiwając przy tym głową, jakby to była jego zasługa, jakby to był również jego dom.

Spodziewałam się, że teraz, kiedy dotarliśmy na miejsce, będzie jeszcze bardziej zdenerwowany. Tymczasem po raz pierwszy w ciągu

całego weekendu na twarzy Josha pojawił się uśmiech. Prawdziwy uśmiech. Po prostu mój brat siedział, kiwał głową i uśmiechał się. I wyglądał na całkowicie rozluźnionego.

- Hej - powiedziałam. - Wiesz co? Może bym się na chwilę ulotniła? Wrócę do miasteczka, żeby napić się kawy albo coś w tym rodzaju. Wdziałam tam miło wyglądającą cukiernię. Pojadę tam, zjem pączka i chwilę poczekam.

- Nie ma potrzeby, żebyś tam jechała - powiedział. Ale już na mnie nie patrzył. Otwierał drzwi i wysiadał z samochodu. Nawet nie wiem, czy dotarło do niego to, co proponowałam.

Wtedy usłyszałam wołanie i zobaczyłam, że z domu wychodzi młoda kobieta i uspokaja psy. Nosiła workowate džinsy i biały podkoszulek bez rękawów. Długie blond włosy zaplecione były w warkocz. Nawet z daleka widziałam, że nie może mieć wiele więcej niż dwadzieścia lat. Ruszyła w stronę samochodu, a kiedy rozpoznała wysiadającego Josha, zaczęła biec. Josh również puścił się biegiem, a kiedy się spotkali, wziął ją w ramiona i przytulił.

Nie wiedziałam, co mam robić, więc również wysiadłam z samochodu i ruszyłam do nich. Z bliska mogłam się przekonać, że źle ją oceniłam, Elizabeth sporo brakowało do dwudziestki. Miała piętnaście, szesnaście, najwyżej siedemnaście lat, jasnoniebieskie oczy i młodą skórę. Od razu poczułam, że zdarzyło się coś nierealnego. Tak naprawdę wcale mnie nie było w Rhode Island wśród ogromnych psów, z piękną lalkowatą Elizabeth i Joshem, który przy niej wyglądał na starego rozpustnika. Zatrzymałam się o kilka kroków od nich i skrzyżowałam ramiona na piersi, stojąc niezbyt zgrabnie na krawędziach stóp.

Wtedy Josh przedstawił nas sobie.

- Emmy - powiedział - przedstawiam ci Grace Hamilton, znaną także jako Księżniczka Grace.

Księżniczka Grace roześmiała się i wyciągnęła do mnie rękę.

- Bardzo mi miło cię poznać - powiedziała.

Uścisnęłam jej dłoń i chciałam powiedzieć, że mnie również miło ją poznać, ale przez moje gardło przedarł się tylko jakiś bełkot, którego końcówka przypominała jedynie „poznać cię”.

Josh wciąż się do niej uśmiechał, najwyraźniej zachwycony jej śmiechem.

- Grace jest córką Elizabeth - dodał.

Córka Elizabeth. *Jej* córka. Poczułam, że nabieram tchu, nieświadoma tego, że dotąd wstrzymywałam oddech. To nie była Elizabeth. Poczułam ogromną ulgę, że to zupełnie nie to, co w pierwszej chwili pomyślałam. Ułga była tak głęboka i całkowita, że potrzebowałam dobrej chwili, zanim dotarły do mnie konsekwencje tej informacji. Elizabeth ma córkę. Właśnie ścisnęłam jej dłoń. A to również oznaczało, że sytuacja i tak skomplikowana skomplikowała się jeszcze bardziej. Nie musiałam sobie jednak zbyt długo zaprzętać tym głowy, bo właśnie otworzyły się wahadłowe drzwi frontowe i w takich samych dzinsach, z takim samym warkoczem wyszła zza nich starsza wersja Grace i zmierzała wprost do nas. Elizabeth. Była ciemniejsza niż córka, miała bystrzejsze spojrzenie i oliwkową cerę. Zdecydowanie nie była w tak klasyczny sposób ładna jak Grace. Nie była również tak ładna jak Meryl, ale w sposobie, w jaki się nosiła, było coś szczególnego, jakaś przykuwająca uwagę pewność siebie. Miało się niemal wrażenie, że cię zaraz czegoś nauczy.

Być może z tego powodu przeciwnie niż Grace na widok Josha nie puściła się biegiem. Stała w miejscu. Również Josh się zatrzymał. Jediną poruszającą się osobą była Grace, która rozgorączkowana przenosiła wzrok w przód i w tył, to na Josha, to na Elizabeth.

Chwyciła Josha za ramię, ale myślę, że gdyby się zastanowiła, raczej by go zostawiła samemu sobie. Najwyraźniej patrzyła na mamę, starając się odczytać z jej twarzy, jak ma się teraz zachować. Podobnie Josh, który nawet w obliczu tego dziwnego układu, niczym kompletnie oniemiały dureń wciąż miał na twarzy uśmiech od ucha do ucha.

- Wtajcie - powiedziała.

- Wtaj - odparł Josh.

Potem spojrzała na mnie i jej twarz nieco się rozluźniła, zmarszczki wokół ust się wygładziły. I wtedy zobaczyłam coś, co mi w pierwszej



chwili o mało nie umknęło, zobaczyłam, że uśmiech ją zmienia, że jest naprawdę ładna.

Nie wiedziałam co, ale czułam, że muszę coś zrobić. Rozłożyłam więc ramiona i nieśmiało jej pomachałam.

Odwzajemniła mi pozdrowienie.

- Cześć, Emmy - powiedziała.

- Tak, dziękuję - odparłam, co miało niewiele sensu i podobnie zabrzmiało.

Potem zwróciła się do Josha i przez moment, tylko przez ułamek sekundy, mogłam powiedzieć, że jest szczęśliwa, widząc go tu przed sobą. Niemal równie szczęśliwa, jak on był szczęśliwy, że tu jest.

- Powinieneś przestawić samochód za dom - powiedziała. - Za małą chwilę przyjadą oglądać nowy miot. - I mówiąc to, już się oddalała.

- Ta mała chwila to ile? - rzucił za nią Josh. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Czy się gdzieś jeszcze spieszysz? Potrząsnął głową.

- Nie.

- Jesteś pewien?

Czekając, aż odpowie, miałam ochotę gdzieś się schować, gdziekolwiek.

- Jak najbardziej.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale w tym samym czasie pokiwała twierdząco głową. A potem, kiedy znów zaczęła się od niego oddalać, kierując się w stronę psich wybiegów, Josh odwrócił się na pięcie i zrobił dokładnie to, co powiedziała.

Dotąd tylko raz oglądałam hodowlę psów, z Mattem. Ostatnie letnie wakacje przed ukończeniem przez Matta collegeu spędzaliśmy gdzieś w Delaware, w domu przyjaciółki jego matki. Wszyscy pomagali remontować jej poddasze, a ja siedziałam z tyłu na werandzie z dzbankiem mrożonej herbaty. Gapiąc się przez okno, zauważyłam, że tylny ogród sąsiadów jest pełen psich zagród i torów prowadzących na otwartą przestrzeń. Obeszłam płot dzielący ogrody, by się dowiedzieć czegoś więcej. Okazało się, że para z sąsiedztwa zajmowała się hodowlą psów. Hodowali bardzo kosztowną miniaturową rasę terierów, pieski niemal na miarę lalek, które nawet jako dorosłe mieściły się w dłoni.

Na pierwszy rzut oka tutejsze bullmastiffy wydawały się dokładnym ich przeciwieństwem. Nigdy nie widziałam tak wielkich psów. Ważyły dobrze ponad pięćdziesiąt kilogramów, a waga niektórych dochodziła nawet do siedemdziesięciu. Wyglądały jak złe przerośnięte buldogi z wielkimi polikami. Czujne. W pierwszej chwili robiły lekko przerażające wrażenie. Nie, pierwsze wrażenie było więcej niż lekko przerażające. Po bliższym poznaniu wydawały się znacznie łagodniejsze. Przypomniałam sobie, że gdzieś przeczytałam, że bull-mastiffy właściwie wychowywane są zdecydowanie bardziej przyjazne niż teriery, a nawet że jest to najbardziej przyjazna rasa psów na świecie. Są najlepszymi przyjaciółmi swego pana, bronią go i są mu oddane. Każdy, kto miał takiego psa, musi przyznać, że dzięki niemu życie staje się bardziej autentyczne.

W drodze do zabudowań Grace wręczyła mi folder, w którym znalazłam te informacje. Folder był niebiesko-złoty i zadrukowany

smukłymi szarymi literami. Wyglądał tak znajomo, że nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już go gdzieś widziałam. Może widziałam go w bostońskim mieszkaniu Josha i wyrzuciłam, zapominając przedtem zapytać, skąd i dlaczego go przechowuje? Dlaczego miałabym uważać, że to coś ważnego? Dlaczego miałabym nie pomyśleć, że znalazł go po prostu za wycieraczką samochodu? Nie mogłam przypuszczać, że ten folder może mnie tutaj doprowadzić. Jednak kiedy już tu byłam, przeczytałam go starannie. Na razie musiałam brać pod uwagę wszystkie możliwości. Folder wyjaśniał, że hodowcy psów, a do nich należała Elizabeth, właściwie nie utrzymują się z hodowli. Jest to niemożliwe, chociaż pies z takiej hodowli kosztuje ponad tysiąc pięćset dolarów. Przy szczęściu i dużym nakładzie pracy można wyjść na swoje i nie dokładać do tego przedsięwzięcia. Z taką nadzieją się to robi. Z nadzieją, że można się będzie opiekować psami, wychowywać je, pokazywać na wystawach i umieszczać w prawdziwie przyjaznych im domach. Na odwrocie folderu zamieszczono fotografię Elizabeth i jej krótki życiorys, z którego dowiedziałam się, że jest lekarzem weterynarii. Nie wspomniano o tym, że dla Elizabeth hodowla stała się całym życiem, od kiedy jako dziewiętnastolatka poznała ojca Grace. I teraz, chociaż minęło wiele lat, jak ją opuścił, takie życie wciąż dawało jej zadowolenie. Co tydzień, od poniedziałku do środy, jeździła do Providence, gdzie ma gabinet weterynaryjny, i przyjmowała pacjentów. A także rodziców swoich pacjentów. Resztę czasu spędzała tutaj. O tym dowiedziałam się dopiero później. Chodząc po farmie, jednego byłam pewna: wszystko tu wyglądało jak nie z tego świata. Ale to ja sama często tak postrzegałam rzeczywistość, miałam skłonność do idealizowania tego, co nie było mi znajome. Jakbym oglądała świat przez zamglone soczewki: przez okno wpada cukierkowy i mieniący się wszystkimi barwami widok farmy, która jest wyposażona w magiczne właściwości i zarazem bardziej konkretna niż jakieś inne znane mi miejsce. Podążyłam za Grace do kuchni, która wyglądała, jakby stanowiła część wnętrza jachtu. Było w niej mnóstwo ciemnego drewna, fotografii i stary adapter na czarne płyty. Wszędzie stały świece kwia-

towe. Wszystko to było bardzo ładne, ale w kuchni panował trochę dziwny zapach, jakby coś się przypalało.

- Przepraszam za ten zapach - powiedziała, jakby w odpowiedzi na moje myśli. - Wczoraj wieczorem robiłam pracę z przyrody. Klej z mąki kartoflanej.

- I jak ci się udało?

- Fantastycznie - odpowiedziała - jeśli przyjmiemy, że klej niekoniecznie musi kleić. Uśmiechnęłam się do niej, przypuszczalnie serdeczniej, niż miałam zamiar. Josh i Elizabeth poszli gdzieś razem na spacer i nie miałam pojęcia, kiedy wrócą.

Zostałyśmy z Grace same, przynajmniej na razie. Ale wcale nie byłam niezadowolona z takiego biegu rzeczy. Nie przypuszczałam, żeby ich rozmowa mogła być bardzo przyjemna, i rozumiałam, że nasza obecność niespecjalnie by im pomogła. Jedno spojrzenie na Elizabeth wystarczyło, żebym domyśliła się, że doskonale wiedziała, co Josh miał w planach na ten weekend. Pytanie dotyczyło raczej tego, czy wiedziała również i to, że Josh się tu przedtem pokaże, i czy, jeśli już, to cokolwiek zmieni.

Grace otworzyła lodówkę i zaczęła wyjmować z niej produkty, jarzyny i mięso oraz gruby bochen chleba.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy przygotować lunch - powiedziała. - Co powiesz na sandwicze z polędwicą z indyka?

Wciąż w żołądku czułam polędwicę. Co jednak miałybyśmy robić, jeśli nie zajmiemy się przygotowaniem lunchu? Siedzieć tu i rozmawiać o Elizabeth i Joshu? Mam ją wypytywać o szczegóły, które oprócz dwóch: Josh jutro się żeni; jeszcze ciągle jest tutaj, i tak nie mają już żadnego znaczenia.

- Polędwica z indyka brzmi smakowicie - powiedziałam.

- Świetnie. - Grace uśmiechnęła się do mnie. Potem podała mi paczkę polędwicy i dużą żółtą paprykę. - Więc jechaliście dziś od rana aż z Nowego Jorku? Chodzi mi o to, czy zrobiliście całą drogę za jednym zamachem?

Otworzyłam opakowanie pokrojonej polędwicy i zaczęłam rozdzielać plastry.

Właśnie miałam powiedzieć, że zajęło nam to mniej niż cztery godziny, to wcale niezły czas, kiedy znów zaczęła mówić:

- Bo kiedy raz jechałam z Joshem, trafiliśmy na okropny korek koło New Haven. To był karambol około dziesięciu ciężarówek. I przez to wsiąkliśmy. Jechaliśmy do teatru w Nowym Jorku i spóźniliśmy się na przedstawienie. W końcu nasza wyprawa ograniczyła się do cheeseburgerów.

Znieruchomiałam, a polędwica w dłoniach zawisała w powietrzu.

- Pojechaliście tylko we dwoje? - zapytałam, zanim zdołałam się powstrzymać. Cholera. Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, poczułam się okropnie. Ale wiadomość, że planowali we dwoje wspólną podróż do Nowego Jorku, była dla mnie jak wielka kartka zawieszona dla pamięci przypominająca, jakbym w ogóle tego potrzebowała, jak daleko zaszły sprawy z Elizabeth. Jakie to wszystko było zawikłane. Zabrał jej córkę do Nowego Jorku. Odwiózł ją tu do domu. Albo wrócił tu z nią do domu. Na górze w łazience sąsiadującej z sypialnią jej matki stał prawdopodobnie krem do golenia, którego tylko on używał. I prawdopodobnie miał tam też szczotkę do zębów.

Grace zamknęła lodówkę i sięgnęła do kredensu, skąd wyjęła deskę i dwa wielkie noże.

- To był naprawdę dobry cheeseburger - powiedziała niemal ze skruchą. Staralam się czym prędzej zmienić wyraz twarzy, bo nie chciałam, żeby poczuła, że ją osądzam. Jedynej osoby, którą miałam prawo sądzić, nie było w tym pomieszczeniu, a i jego właściwie nie osądzałam. No, może trochę. Ale prawdopodobnie to i tak nic nie mogło zmienić.

- Widzisz - mówiła dalej, z deską i nożami w ręku - może powinniśmy przyjąć zasadę, że nie rozmawiamy o żadnym z nich. W przeciwnym razie ja mogę powiedzieć coś, czego wolałabyś nie usłyszeć, a ty nie przestaniesz patrzeć na mnie w sposób świadczący o tym, że niewiele o mnie wiesz. Cokolwiek Josh ci o mnie powiedział, to tak naprawdę nie wystarczy, żeby mnie poznać. A ja tylko będę się z tym źle czuła.

Pokiwałam głową na zgodę. Nie potrzebowałam, żeby szesnastolatka starała się poprawić moje samopoczucie. A z całą pewnością

nie chciałam, żeby się okazało, że lepiej niż ja radzi sobie z sensownym wyjaśnianiem sytuacji.

- Uważam, że to dobry pomysł - potwierdziłam.

Grace uśmiechnęła się, po czym wręczyła mi deskę do krojenia i nóż. Nachyliłam się nad blatem i zabrałam do krojenia, starając się robić dokładnie to, o co prosiła.

Każdy plasterek miał ten sam rozmiar, odpowiedni do włożenia do sandwicza.

Okazało się, że to, iż mogę skupić się na czymś, jest bardzo ważne, bo kiedy spojrzałam przez okno, zobaczyłam tam coś, czego wcale nie chciałam oglądać:

Josh i Elizabeth daleko na wzgórzu. Nie mogłam nic na to poradzić. Patrzyłam na nich. Widziałam ich w oddali, jak siedzą naprzeciw siebie ze skrzyżowanymi nogami. Blisko, ale się nie dotykając.

Josh pochylał się do przodu i w skupieniu słuchał tego, co mówi Elizabeth. To, co mnie jednak w tym widoku najbardziej zdziwiło, nie miało nic wspólnego z Elizabeth. Chodziło o Josha. Siedząc tam, wyglądał starzej, no może słowo „starzej” nie jest najtrafniejsze. Wyglądał, jakby dokonał wielkiego wysiłku. W jego twarzy czegoś brakowało. Brakowało jego zwykłej pewności siebie, rodzaju nieobecności, która, jeśli nawet nie zawsze umiałam ją nazwać, sprawiała, że zawsze wydawał mi się nie całkiem dorosły.

Metyl lubiła żartować, że bycie z Joshem w mniejszym stopniu przypominało randkę z lekarzem, a w większym posiadanie dziecka. Zajmowała się praniem, sprzątaniami, opieką. Ale nigdy nie miała nic przeciwko temu, raczej przeciwnie. A Elizabeth miała już własne dziecko, miała się kim opiekować. Teraz patrząc tak z oddali na Josha i Elizabeth, patrząc, jak się ku niej pochyla, jak jest skupiony, miałam poczucie, że mimo całego zagmatwania sytuacji Josh w obecności Elizabeth inaczej wygląda, inaczej się porusza. Że przy niej chce pełnić rolę opiekuna. I nie mogłam się nie zastanawiać, czy to nie był jeden z powodów, że znalazł się w takiej sytuacji. Chciał sprostać wymaganiom, jakie Elizabeth stawiała swemu partnerowi, i zarazem bał się, że nie sprawdzi się w tej roli.

Odwrociłam się do Grace, która zaczęła podsmażać polędwicę. - Jak ci tu jest? - zapytałam.

- Dobrze - odparła.

- Dobrze - powtórzyłam.

Kiedy porzuciłam Matta, to Josh pojechał do Nowego Jorku i zabrał resztę moich rzeczy: ubrania, albumy z fotografiami, ulubione książki i płyty. To on przywiózł mi to wszystko do Rhode Island i pomógł się tam zagospodarować. Nie zadawał żadnych pytań. Nie wtedy. W żaden sposób mnie nie osądzał. Po prostu ze mną był tak długo, aż mu powiedziałam, że może już spokojnie wyjechać. Czy miałam prawo go teraz osądzać?

- Hej - powiedziała Grace - podaj mi z lodówki masło orzechowe, dobrze? Muszę trochę posmarować patelnię.

- Używasz masła orzechowego do smażenia? - zdziwiłam się.

- No cóż, skończył się nam olej, a dopiero jutro pojedziemy zrobić duże zakupy. W tej sytuacji mam do wyboru albo to, albo niekle-jący klej - odparła, wzruszając ramionami.

- Mam wybierać? - zapytałam. Potwierdziła.

- To właśnie próbuję ci powiedzieć.

Skończywszy przygotowania do lunchu, usiadłyśmy z Grace naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Przed sobą miałyśmy na talerzach monstrualnej wielkości sandwicze i ogromne porcje frytek z patatów. Połykając wielkie kęsy kanapki, Grace wyjaśniała mi, że chociaż ma dopiero szesnaście lat, skończyła już szkołę średnią, bo Elizabeth pozwoliła jej przeskoczyć pierwszą i ósmą klasę, a jesienią zaczyna studia na University of Rhode Island. Ma zamiar studiować biologię morza. Została przyjęta na rozszerzony kurs dla wybitnie uzdolnionych studentów i przyznano jej stypendium naukowe na dowolny rodzaj studiów.

- Tymczasem dojeżdżam z domu - powiedziała - i jeszcze się nie wciągnęłam w te wszystkie sprawy związane z college 'em i studiowaniem.

- Taak, rozumiem, że musisz się tam czuć nietęgo - uśmiechnęłam się do niej. Wzruszyła ramionami.

- Nie, chyba tego chcę. Tylko czuję, że nauka lepiej mi idzie poza szkołą, rozumiesz? Wem, że to brzmi idiotycznie, ale wydaje mi się, że więcej się tutaj nauczę albo jeżdżąc nad ocean. Ale mama mówi, że trzeba skończyć studia, i wiem, że ma rację.

Kiwając ze zrozumieniem głową, wzięłam się do swojego sandwi-cza, ale jednocześnie starałam się nie za bardzo angażować w rozmowę. Nie miałam zamiaru podważać tego, co zaszczerpiła jej Elizabeth, chociaż aż za dobrze rozumiałam, o co chodziło Grace. W szkole jakoś mi szło. Wywiązywałam się z tego, co było konieczne, żeby zaliczyć kolejną klasę. Nigdy jednak nie zamierzałam nauczyć się tego wszystkiego, czego ode mnie wymagano. I faktycznie, zawsze, kiedy miałam jakieś konkretne zadanie do wykonania, byłam okropnie zajęta czym się dało, tylko nie tym. Kiedy w szkole średniej dostałam polecenie zebrania i przygotowania dokumentów imigracyjnych, moje poszukiwania skończyły się na udokumentowaniu budowy windy. Wyprawa w pierwszej klasie liceum w świat psychologii Pawłowa obróciła się w zbiór informacji o tańcach towarzyskich w Chinach. Potrafiłam coś starannie zbadać tylko wtedy, kiedy wymagano ode mnie zbadania czegoś innego.

Te myśli naprowadziły mnie na temat, którego opracowania teraz się podjęłam. Czego miałam nadzieję dowiedzieć się, prowadząc rozmowy z żonami rybaków wypływających w morze. Uparcie szukałam potwierdzenia swoich oczekiwań, że moje rozmówczynie ujawnią jeden charakterystyczny model reakcji. Mogłam się więc obawiać, że z tego powodu umknie mi coś naprawdę godnego uwagi.

Skierowałam wzrok na Grace.

- Wiesz, jeśli trudno ci dojeżdżać, możesz spokojnie zamieszkać u mnie. Mieszkam niedaleko URI - powiedziałam. - To najwyżej jakieś piętnaście minut samochodem.

- Taa? - bąknęła, kiwając głową w sposób, który mi uświadomił, że to nie było dla niej nic nowego. Josh musiał jej powiedzieć. Grzebałam przy swoim sandwiczu, starając się o Joshu nie myśleć. Ani

o tym, co jej jeszcze powiedział, ani tym bardziej nie martwić się tym, jak sobie radzi w rozmowie z Elizabeth. Czy coś postanowili i czegoś nie postanowili?



Grace również odłożyła sandwicza, a na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec.

- Trochę się niepokoję o to, czy poznam nowych przyjaciół itd. Może mogłabyś mnie wprowadzić, pokazać, gdzie i jak się tam spędza wolny czas.

- Och, mogłabym, gdybym coś o tym wiedziała.

- Nie chodzisz się bawić?

- Nie znam ludzi.

Uśmiechnęła się, a potem wstała i zaczęła wycierać stół.

- Wiesz - powiedziała - twój brat kiedyś żartował, że jeśli się nie mówi o szkole, nie musi się do niej chodzić. I że wystarczy nie zwracać uwagi na kogoś, kto mówi, że muszę się przygotować do szkoły.

Właśnie wstawałam, żeby jej pomóc posprzątać, ale zatrzymałam się, po prostu zamarłam. Musiałam dziwnie na nią spojrzeć, a nawet przestraszyć swoim spojrzeniem. Ale przypuszczalnie pomyślała tylko, że to z powodu naszej umowy, że nie rozmawiamy o nich, a ona ją złamała. Ale to, przynajmniej już dla mnie, nie miało znaczenia. Jak mogłam jej wytłumaczyć, że dzieją się rzeczy, na które zupełnie nie jestem przygotowana?

Starłam się szybko odzyskać równowagę, więc chwyciłam się pierwszego skojarzenia, jakie przyszło mi do głowy.

- Wdę tam jezioro - powiedziałam, wskazując w nieokreślonym kierunku. - Z odległości wygląda trochę jak papier do pakowania prezentów. Wiesz, taki błyszczący. Zawsze go źle zawijam, błyszczącą stroną do środka. Czy z bliska też przypomina błyszczący papier?

- Może troszkę. - Parsknęła śmiechem, który mi uświadomił, że wcale go nie przypomina. - Ale możemy przejść się tam i usiąść na brzegu, jeśli masz ochotę. Przy okazji weźmiemy ze sobą jakieś psy.

- Ale nie takie wielkie - powiedziałam, zanim pomyślałam. - Więc, co? Chodźmy tam.

Z folderu, który wręczyła mi Grace, dowiedziałam się, że w każdym miocie bullmastiffów jest pies alfa, zazwyczaj urodzony jako pierwszy, który zawsze jest obrońcą pozostałych szczeniaków. One zaś trzymają się blisko niego, tulą do niego i go naśladują. Jest

w miocie również niedorostek, przeciwieństwo alfy: najmniejszy, najsłabszy, najbardziej wystraszony z całego rodzeństwa. Jak na ironię właśnie tego szczeniaka uważa się za najbardziej agresywnego z całego miotu, bo najsilniej przejawia skłonność do gryzienia opiekunów, jakby starał się dowieść, że jest naprawdę groźny.

To, że przeczytałam o tym w drodze do psich zagród, najwyraźniej nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Kiedy tam dotarliśmy i tak moją uwagę przyciągnął najmniejszy piesek z miotu. Hannibal. Najwyraźniej imię przysparzało mu męstwa. Grace, przeciwnie, sięgnęła po największego Sama, szczeniaka alfa w tym miocie. Hannibal miał wszystkie cechy Sama: taką samą czekoladową sierść, takie same ciężkie szczęki, wszystko takie samo, tyle że znacznie pomniejszone. Może właśnie dlatego, wbrew wszystkim oczywistościom, nie widziałam nic złego w tym, żeby sięgnąć do kojca Hannibala i wyjąć go stamtąd. Zanim Grace zdążyła mnie powstrzymać, mój nowy kumpel Hanny odwdzieczył się za wyróżnienie, zatapiając w moim przegubie mleczne zęby i wyrwijając zeń pokaźny kawałek skóry.

- O cholera - zawołałam i rzuciłam szczenię na ziemię. - Ugryzł mnie.

Grace podbiegła, żeby ocenić szkody. Odwróciłam dłoń, by w całej krasie pokazać ranę. Spodziewałam się, że na skórze nadgarstka zobaczę mały czerwony półksiężyc. A ujrzałam jedynie niewielkie zadrapanie.

- To wcale źle nie wygląda - orzekła Grace, sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej plaster z opatrunkiem. - Mogło być znacznie gorzej. Z naganą popatrzyła w dół na Hannibala. - Nieładnie! - skarciła go.

- Czy on cię rozumie? - zapytałam, dmuchając na swoją „ranę”. Grace podniosła Hannibala i klepnęła go po łbie.

- Trzeba ją często głaskać. Potrzebuje tego, żeby się nauczyć, że to niczym jej nie grozi.

Popatrzyłam znad opatrunku na nadgarstku.

- On jest nią?

Grace potwierdziła skinieniem i sięgnęła znów do kieszeni, tym razem po owsiane ciasteczko.

Potrząsnęłam odmownie głową, kiedy chciała mi je wręczyć.

- Myślę, że tymczasem mi wystarczy - powiedziałam.

- Nie - odparła Grace. - Daj to Hannibalowi. Jeśli ją nakarmisz, będzie bardziej ufna. Sama myśl, żeby zbliżyć znów dłoń do jej mordki, nie była dla mnie zbyt pociągająca. Mimo to, kierowana wskazówkami Grace, zbliżyłam ciasteczko na otwartej dłoni do warg Hannibala, pozwoliłam, żeby je zlizowała, i pogłaskałam jej łebek wolną dłonią.

- W zasadzie niedorostki wymagają więcej troski niż pozostałe szczeniaki i trzeba im poświęcać więcej czasu - wyjaśniła. - A na pewno nie mniej. Bo wtedy można narobić sobie kłopotów.

Wyjęłam dłoń z kojca.

- Z większością ludzi, których znam, jest zupełnie tak samo - powiedziałam.

Ruszyliśmy w stronę jeziora; Hannibal w ramionach Grace i Sam ciągnący się za mną na smyczy. Grace wyglądała na bardziej zadowoloną, albo przynajmniej czuła się swobodniej, kiedy miała koło siebie psy. Nad jeziorem usiadła na brzegu, zdjęła buty i zanurzyła stopy w wodzie. Zrobiłam to samo. Obrzydliwy żar był mniej dokuczliwy, kiedy się zamoczyło nogi w wodzie. Doświadczając po raz pierwszy tego dnia chłodu na plecach, od razu poczułam się spokojniejsza i szczęśliwsza.

- Chcesz poznać mój sekret? - zapytała Grace. - Właściwie to nie jest prawdziwy sekret, ale może chcesz wiedzieć, dlaczego tak trudno mi stąd wyjechać?

- Masz chłopaka - podpowiedziałam jej. - To jest powód?

- Jak na to wpadłaś?

- Nie jestem jeszcze taka stara.

- Jesteś dość stara - orzekła.

- Jestem - odpowiedziałam. Objęłam głowę dłońmi i zaczęłam nią potrząsać. - Jak do tego doszło?

Grace roześmiała się. Patrzyłam na nią z uśmiechem. Kiedy zaczęłam się spotykać z Mattem, byłam niewiele od niej starsza. Pamiętam to bardzo dokładnie. Pamiętam uczucie, które towarzyszyło naszym pierwszym randkom, to niewiarygodne uczucie, że nigdy nic takiego dotąd mi się nie przydarzyło. Chciałam opowiadać o tym każdemu, kto był gotów słuchać: matce, przyjacielom, listonoszowi. Nawet jeśli nie umiałam trafnie wyrazić swoich uczuć słowami, uważałam, że samo rozmawianie o Matcie czyniło nasz związek bardziej realnym i w jakiś sposób trwałszym. I w pewnym sensie to mi się udało.

- Chodzi o to, że on jest w szkole rok niżej ode mnie - powiedziała Grace. - Musi tu zostać jeszcze rok, ale cały problem w tym, że w ogóle nie chce iść na studia, nawet gdyby mógł. Chyba że do miejscowego college'u, który jest beznadziejny.

College nazywał się Baruch albo Baraque, albo jakoś podobnie. Zauważyłam jego kampus, kiedy tu jechaliśmy. Cały kampus składał się z trzech niewielkich budynków i kolistego podjazdu. Nie widać było, czy ma dostęp do oceanu.

- On chce tu zostać i chce, żeby wszystko było po staremu. Do jego rodziny należą dwie miejscowe kwiaciarnie. Jedna tutaj, a druga w sąsiednim miasteczku. I to mu wystarcza. Może się tym zajmować do końca życia i będzie zadowolony. Chce się tym zajmować do końca życia.

- A ty, czego ty chcesz? - zapytałam.

- Chcę, żeby był szczęśliwy - odparła.

Popatrzyłam w dół na wodę. Sam był na samym brzegu, brodził w wodzie. Hannibal z głową przy moim boku zajmowała się kopaniem dołka. Wyciągnęłam ostrożnie dłoń, żeby ją pogłaskać. Kiedy byłam na trzecim roku studiów, Matt doszedł do finału w konkursie na staż w bardzo atrakcyjnej chicagowskiej pracowni architektonicznej. Przyjąłby go, gdyby go wybrali, wcale się nie oglądając na to, że wówczas nie moglibyśmy być razem. Wtedy po raz pierwszy zważyłam, czy dobrze zrobiłam, decydując się studiować w NYU, zamiast wyjechać na studia do Kalifornii, jak pierwotnie planowałam. Nie miałam nic przeciwko jego stażowi, ale dla mnie samej łatwe i oczywiste były rozwiązania pozwalające mi być blisko niego i również dla niego zadowolające. Przez wszystkie lata, które potem razem spędziliśmy, nie rozumiałam, dlaczego nasze rozstania nigdy nie były dla niego specjalnie trudne. Musiało dużo wody upłynąć, zanim dotarło do mnie, że skoro ja się tym przejmowałam, on już nie musiał.

To się często potwierdza. Przywiązanie jednego partnera daje wolność temu drugiemu.

- Może coś wymyślimy, jeśli zostanę tu przez pierwszy rok i będę dojeżdżać, rozumiesz? Zobacz, że college nie jest taki straszny. I może w przyszłym roku zechce pójść ze mną na studia. - Grace potrząsnęła głową prawie ze złością. - Myślę, że ludzie po prostu zapominają, jak to jest być naprawdę zakochanym, wiesz? Że to jest wtedy jedyne, co się na świecie liczy. Po prostu nie chcę się pogodzić z tym, że to nie jest najważniejsze w życiu. Wiesz, o co mi chodzi?

Wiedziała aż za dobrze, co miała na myśli, a przez to trudniej było mi ubrać w słowa to, co chciałam jej powiedzieć. A chciałam powiedzieć, że nie zawsze to jest wszystko. Miłość. Chociaż co ja

O tym wiem? Mnie i Mattowi nie udało się nie dlatego, że go w ten sposób kochałam. Nie udało się nam, bo on przestał mnie kochać w ten sposób. A tak naprawdę, dlaczego to się skończyło? Zdecydowałam się zerwać nasz związek, bo zbyt mnie przerażało to, w co miał się zmienić, to, co musiało nastąpić. Stalibyśmy się jakąś rozwodnioną wersją nas, jakimi byliśmy na początku. A co nastąpiło zamiast tego? Pojawiłam się ja, znieruchomiała, do niczego bez niego niezdolna. Rozwodniona wersja mnie, jaką kiedyś byłam.

- Czy miałś w liceum chłopaka, tak na poważnie? - zapytała Grace. Zanurzała dłonie w wodzie i wilgotnymi dłońmi dla ochłody głaskała Sama.

- Można tak powiedzieć, w pewnym sensie. Spojrzała na mnie zmieszana.

- W tym sensie, że to było coś poważnego?

- W tym sensie, że to było w liceum - wykręciłam się. - On już był w collegeu, kiedy się poznaliśmy. To długa historia.

- A jak się skończyła? - pytała dalej, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, zmarszczyła czoło, a w jej oczach pojawiło się napięcie.

I jestem pewna, że już nie myślała o mnie i o Mattie. Myślała o tym, czy i jak może uniknąć tego, co zdarzyło się mnie i Mattowi.

- Tęsknisz za nim? - wyszeptała. *Każdego dnia*, miałam ochotę powiedzieć.

- Wiesz, w każdym razie nie porównywałabym tego - powiedziałam. - Wygląda na to, że z nami było całkiem inaczej. Zaczęło się od tego, że chciałam tylko, żeby był zadowolony.

Oblizła wargi, przymierzając się do śmiechu.

- Mężczyzna. Rzeczywiście wpadłam, prawda? - powiedziała.

- Wdzisz - wyjaśniłam - tak naprawdę tego nigdy się nie wie. Nikt ci tego nie powie. Wszystko może się między wami wspaniale układać. Będziecie tu nad jeziorem obchodzić twoje siedemnaste urodziny. Bez względu na to, co zrobisz albo czego nie zrobisz. Tak już nieraz bywało.

- Tak już bywało - powtórzyła. - Tak już nieraz bywało... Żałuję, że go nie znasz. Ale wiesz co? Kwaciarnia jest jakieś piętnaście minut stąd. Mogłybyśmy tam wpaść. Albo zadzwoniłabym po niego, żeby tu przyjechał. Jestem pewna, że będzie chciał cię poznać. Jestem pewna, że będzie chciał poznać siostrę Josha...

Josh. A gdzie on się podział? W tym mieszkaniu udało mi się o nim zapomnieć. Zapomniałam, choćby tylko na parę minut, o tym, co było dla niego teraz sprawą życia i śmierci. Może właśnie dlatego, że tu byłam, nawet bez niego mogłam sobie uświadomić, o jak wielką stawkę szła gra. Spojrzałam na zegarek. Była prawie druga. Jeśli zaraz wyjedziemy, wrócimy do domu na czas i zdążymy się przygotować do wieczornej kolacji. Jeśli to tego chciał. Ale jeśli nie wyjedziemy natychmiast, to się nam raczej nie uda.

- Och, przepraszam. Nieważne - powiedziała. - To z pewnością nie jest odpowiedni moment na prezentację.

- Nie, to ja przepraszam. Chętnie go poznam. Chodzi tylko o to, że nie wiem, gdzie przepadł Josh.

- Kto to wie? - powiedziała. Po czym wruszyła ramionami i wytarła mokre dłonie o dżinsy. - A poza tym, jeśli ci kogoś przedstawię, to czy będziesz coś o nim wiedziała? Poznałaś dziś moją mamę

I co o niej wiesz? Wem, że tak naprawdę to niewiele. Ale coś ci powiem, szczerze, chcesz? Jeśli ci powiem, że Josh i moja mama są właśnie tak bardzo w sobie zakochani, czy z tego powodu dostaniesz mdłości? - zapytała. - Czy uznasz, że to tak cukierkowe, że się nie powstrzymasz przed puszczeniem pawia?

Uśmiechnęłam się.

- Nie mam zamiaru puszczać pawia.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- Bo oni zawsze to robią, wiesz, kiedy myślą, że już śpię - oznajmiła. - Schodzą tu do jeziora i tańczą na brzegu. Nawet nie mają ze sobą muzyki. Nic, ani odtwarzacza CD, ani radia. I tylko tańczą. I wiem o wszystkich innych rzeczach. Wiem, że on od dawna ma dziewczynę. Wem, że nawet nie umie sobie wyobrazić, że mógłby ją opuścić. Wiem, że nie był w tym z mamą szczerzy. Wszystko wiem. Ale co z tym tańcem? Zwłaszcza że im to razem tak dobrze wychodzi. Chcę powiedzieć, że naprawdę dobrze. Jakby słyszeli tę samą melodię albo coś w tym rodzaju.

Popatrzyłam na jezioro. Świat, który znałam, odpłynął w dal. Wszystko, co się z nim wiązało, odpłynęło w dal, stało się urojeniem i fałszem. Wedziałam, że z wrzaskiem znów się tu wkrótce zjawi. Ale teraz starałam się ten powrót przez chwilę powstrzymać, tylko przez jedną chwilę. Zatem pamiętałam. Zatem, cokolwiek by się stało, nie odważyłabym się powiedzieć, że to nie była prawda.

- Po prostu nie rozumiem, jak to możliwe, żeby w ich głowach była ta sama melodia - powiedziała. - Bo jak mogliby ją słyszeć, gdyby to nie była miłość?

Josh i Elizabeth wrócili ze spaceru kilka minut po naszym powrocie do kuchni.

Elizabeth pojawiła się we frontowych drzwiach pierwsza, Josh tuż za nią. Nie miał już na sobie koszuli z długimi rękawami, a na niej tej z krótkimi; był w samej koszulce z krótkimi rękawami. Nie rozmawiali ze sobą. Próbowalam ocenić sytuację, ale nie miałam żadnych punktów odniesienia. Nie odczułam, że coś złego wisi w powietrzu, dlatego że milczeli. Nie wyglądali również na ludzi, którzy się rozstają.

- Hej, dziewczyny - powiedział Josh i poklepał mnie po plecach, zmierzając na koniec stołu, przy którym siedziała Grace. - Jak minął dzień?

Próbował uśmiechać się do mnie. Próbowalam odpowiedzieć mu uśmiechem, ale zdaje mi się, że moja próba była jeszcze mniej udana niż jego.

- Hannibal zaatakowała Emmy - powiedziała Grace, kiedy Josh klapnął na krzesło obok niej.

- Nic ci nie jest? - Josh odwrócił się do mnie, ale to Elizabeth natychmiast do mnie podeszła, żeby zobaczyć, co się stało.

Wyciągnęłam dłoń i pokazałam.

- Naprawdę nic mi nie jest. Ledwo mnie drasnęła - powiedziałam. Nie było łatwo znaleźć tę ranę.

Elizabeth zwróciła się do Grace.

- To wcale nie jest śmieszne, nie ma z czego żartować, Grace - powiedziała.

Grace spojrzała spod oka na matkę i odwróciła się do Josha.

- Jest troszeczkę śmieszne - zwróciła się do niego. - Nie uważasz?

- No jasne - odpowiedział.

A potem złapał jej krzesło za tylne nogi i przyciągnął do swojego. W pierwszej chwili zdawało mi się, że przeżywam *déjà vu* albo coś w tym rodzaju, tak znajoma wydała mi się ta scena. Potrzebowałam chwili, żeby sobie uprzytomnić, że nasz tata zwykle od tego zaczynał, kiedy nam coś tłumaczył. Tak jak wtedy, kiedy poparzyłam dłoń

O gorący grill. Przez cały dzień mu o tym nie powiedziałam, bo wiedziałam, że zbliżanie się do grilla jest zakazane, i bałam się, że oberwę. W taki sam sposób na nas patrzył, w szczególny sposób, który dawał nam pewność, że wciąż nas kocha, bez względu na to, co za chwilę powie. Josh ściszył głos i nie słyszałam, co mówi, ale Grace delikatnie kiwała głową, wyraźnie się z nim zgadzając.

Ten widok zrobił na mnie wrażenie, rozgrzał trochę moje serce. Bo przez tę chwilę nie mogłam tego nie dostrzec, nawet jeśli nie było mi łatwo to przyznać. Nie chodziło o to, którą kobietę ostatecznie wybierze Josh. Chodziło o to, którego *Josh* wybierze Josh. Wszystko byłoby zupełnie inaczej, gdyby istniała jakaś wersja zbliżona do tej, którą miałam przed oczami.

Nie wiedziałam, co mam teraz ze sobą zrobić. Elizabeth, która również przez chwilę obserwowała *Josh* i Grace, wyszła z kuchni. Poszłam więc za nią do salonu.

Siedziała na kanapie. Usiadłam obok, z początku niepewnie, na samym brzegu kanapy. W powietrzu nie unosiło się nic z atmosfery prezentacji: *to jest Elizabeth, to jest Emmy*. I nic tego nie przypominało. Nic także nie wskazywało na to, że to odpowiedni moment na pogawędkę. Byłam przekonana, że Elizabeth najchętniej posiedziałyby w milczeniu, ale ja jeszcze do tego nie dojrzałam.

- Masz wspaniałą córkę - zaczęłam. - Wykapana ty. Jestem pewna, że o tym wiesz. Jasne, że wiesz, że jest do ciebie podobna, i pewnie wiesz, że jest wspaniała...

- Ona też cię polubiła - weszła mi w słowo. - Wiem, co mówię.

- Tak myślisz? Miło to słyszeć. - I naprawdę tak było. Ale dziwne było, że do tego doszło; jak można po tak krótkim czasie czuć, że się o kimś wie wszystko, co najważniejsze. Domyślałam się, że miało to związek z jakąś odmianą pięciominutowej teorii *Josh*a. Coś w rodzaju: czy można znać kogoś od zawsze, a nigdy go lub jej nie poznać; czas nie może już być jedyną miarą tego, jak wiele uwagi komuś poświęcamy.

Popatrzyłam na swoje nogi i zaczęłam wygładzać marszczącą się wokół nich sukienkę.

Wtedy Elizabeth spojrzała na mnie.

- Josh powiedział, że pracujesz nad filmem o żonach rybaków wypływających w morze, tak?

- Tak, to prawda.

- Powiedział, że masz jakieś kłopoty z doprowadzeniem go do końca.



Zebrałam się w sobie i popatrzyłam na nią.

- Można tak powiedzieć.

- Kiedyś przy kolacji zamieniłyśmy się z Grace ciasteczkami z wróżbą, bo jej wróżba mówiła, że „Nie można skończyć tego, czego się nie powinno zaczynać”. Wpadła w taką panikę, że sprawdziłyśmy wszystkie przypadki, w których ta wróżba się nie sprawdzała. Związki z innymi ludźmi, zajęcia, a nawet filmy, których nie da się obejrzeć do końca. Są setki takich przypadków. Ale chociaż z zasady nie korzystam z porad tkwiących w ciasteczkach z wróżbą, muszę przyznać, że im bardziej starałyśmy się dowieść fałszu jakiegoś argumentu, tym bardziej się przekonywałam, że może być w nim racja.

Nic na to nie powiedziałam. Ale na swój użytek pomyślałam: za to mogłabym cię znieubić. Czyż nie tego chciałam? Dopiero ją poznałam; czy ktoś ją prosił, żeby filozofowała na temat mojego życia? Tylko że patrząc na nią, zupełnie nie odnosiłam wrażenia, że chce mi prawić kazania. Raczej, że szczerze chce mi pomóc coś przemyśleć.

- Jak daleko zaszłaś z tym filmem? - zapytała. Pokręciłam głową.

- Nie na tyle daleko, żebym już wiedziała, co z tego wyniknie - powiedziałam. - Ale za daleko, żeby to przerwać.

Znów się uśmiechnęła tym samym tkliwym uśmiechem, którym obdarzyła mnie przedtem na dworze, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że to była pierwsza trudna rzecz, jaką jej powiedziałam. Pierwsza konkretna rzecz. W ten sposób prawda wydała się miłsza.

- Zatem to nie z powodu filmu mieszkasz w Narragansett? - zapytała.

Zaczęłam znów coś poprawiać przy sukience, zastanawiając się, co mam odpowiedzieć. Mogłabym powiedzieć, że mieszkam w Narragansett, bo lubię to miejsce. Chęć mieszkania w pięknej okolicy by zrozumiała. Niestety to nie zabrzmiałoby prawdziwie.

- Tak naprawdę to dobrze nie wiem - odparłam.

Spojrzała na mnie i nic nie powiedziała, ale pod jej wzrokiem przestałam majstrować przy sukience, poczułam się lepiej, jakbym wcale nie musiała się przy niej denerwować. Jakby już wszystko o mnie wiedziała. I nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że może już mnie trochę pokochała, ponieważ tak bardzo kochała Josha. I może ja sama musiałam ją pokochać z tego samego powodu.

- Wiem, że to nie moja sprawa - powiedziała. - Ale bądź miła w ten weekend dla swojego brata. Możesz być na niego zła o to wszystko, ale poczekaj z tym do przyszłego tygodnia. Albo nawet do jeszcze następnego. W ten weekend postaraj się nim trochę zaopiekować. Potrzebuje cię.

- Okej - zgodziłam się. Po czym powiedziałam coś, co mnie samą zdumiało: - Czy dlatego, że ty będziesz się na niego gniewać?

- Nie myślę, żeby można się było na kogoś gniewać, dopóki ci nie zalezie za skórę. Nie sądzę, żeby można sobie było pozwolić na taki luksus. Myślę, że tylko się nam zdaje, że możemy się na kogoś wściec, ale naprawdę robi się co innego.

- To znaczy co?

- Czeka się.

Spojrzałam na nią w nadziei, że da wyraz swoim uczuciom, ale nie sprawiała wrażenia osoby, która by się rozrzutnie czymkolwiek dzieliła. Dostrzegłam jednak w jej oczach tę pewność siebie, jakby wiedziała, jak się sprawy potoczą, jakby to wiedziała od zawsze i że to tylko kwestia czasu, a i Josh się w tym zorientuje. Mogłam się tylko zastanawiać się, czy tym właśnie jest miłość, wiarą w to, że w końcu partner stanie na wysokości zadania i że to wciąż będzie miało znaczenie. Wszedł Josh, a my obie poderwałyśmy się, jakby nas na czymś przyłapał. Grace mignęła za Joshem w kuchennych drzwiach, po czym weszła i stanęła przy matce. Pomyślałam, że to dla mnie wskazówka, żeby stanąć przy Joshu, ale nie miałam na to ochoty. Chciałam zostać tu, gdzie stałam. Chciałam zjeść tu kolację. Chciałam pójść popływać w jeziorze. Okej, dobrze, może nie miałam ochoty pójść pływać w jeziorze, ale to była znacznie lepsza alternatywa. Ale Josh posłał mi spojrzenie, które zdawało się mówić, że już czas, żebyśmy się zbierali. Wobec tego pokiwałam głową na znak, że się zgadzam, bo prawdę mówiąc, czy miałam inny wybór?

- Potem porozmawiamy - powiedział, zwracając się do Elizabeth, ale nawet nie drgnęła i nie ruszyła się z miejsca, w którym stałyśmy.

- W porządku - powiedziała. Jeśli jednak się nie myliłam, a myślę, że nie, powiedziała to tak, jakby mu nie wierzyła. A może nie tyle mu nie wierzyła, ile późniejsza rozmowa nie miała już dla niej znaczenia. Ten moment już przeminął, dzisiaj, a on nic nie zrobił i oboje byli tego świadomi. To było tylko to, co się robi później.

Ruszyłam za Joshem na dwór, ale jeszcze się zatrzymałam i odwróciłam.

Odwróciłam się, żeby na nie spojrzeć. „Nie do wiary, jak tu jest cudownie - powiedziałam. - Bardzo mi się tu podoba. Może nigdzie jeszcze mi się tak nie podobało”.

Oczywiście nie powiedziałam tego na głos, tylko do samej siebie.

Ale Elizabeth zrobiła to za mnie.

- Cieszę się, że cię poznałam, Emmy - powiedziała.

- Ja też się bardzo cieszę - odparłam.

Potem odwróciłam się do Grace i popatrzyłam na nią. Miałam chęć podbiec i objąć ją, powtórzyć, że będzie moim najmiłym gościem, jeśli zechce zrobić sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe, że pokażę jej URI i okolice, że zaproszę paru znajomych, jeśli to ją zachęci. Chciałam powiedzieć, że chociaż dopiero się poznałyśmy, bardzo jestem ciekawa, jak się potoczą jej sprawy z chłopakiem, na uczelni i w ogóle wszystko. Chcę to wiedzieć i to od razu.

Ale kiedy podniosła wzrok i nasze oczy się spotkały, posłała mi na pożegnanie spokojny znak kciukiem; i to wydało się słuszniejsze.

Przekazałam jej więc w odpowiedzi taki sam znak, jakbym wiedziała, jak to robić, i uznałam, że to jest i moje pożegnanie.

W samochodzie Josh nie mówił nic.

Podał mi kluczyki i zajął miejsce pasażera. Przez całą powrotną drogę pólleżał, odchyliwszy oparcie fotela. Skręciłam w prawo w zakurzoną drogę, potem dwukrotnie w lewo i opuściliśmy posiadłość. Skierowaliśmy się w stronę autostrady. Wszystko było wciąż lekko przymglone i oblane żarem. Ani razu nie spojrzałam w lusterko wsteczne ani na Josha. Tymczasem migacz, zepsuty migacz w moim samochodzie, znów się włączył i bez przerwy migał, grając mi na nerwach.

- Nie masz zamiaru go wyłączyć? - odezwał się rozzłoszczony Josh.

- Próbowałam już - odpowiedziałam, przytrzymując trochę mocniej kierownicę, ale bez skutku.

Autostrada międzystanowa pięła się po naszej prawej stronie. Właśnie miałam na nią wjechać. Na dobre czy na złe coraz bardziej oddalaliśmy się od tego miejsca. Miałam dotrzeć do domu i przysiąc matce, że nie zrobił nic złego, że mu na to nie pozwoliłam. Chciałam wziąć prysznic. Wciąż czekałam, że Josh mnie zagadnie, że coś powie. Ale tego nie zrobił. Kiedy już znaleźliśmy się na autostradzie, kiedy przed nami była już tylko autostrada międzystanowa, pogodziłam się z tym, że to ja muszę przerwać milczenie.

- Uprawiałeś z nią dzisiaj seks? - zapytałam.

- Co? - potrząsnął głową z oburzeniem. - A w ogóle co to ma do rzeczy, Emmy?

- Cóż, chciałam wiedzieć, Josh - odpowiedziałam. Ale to nie była prawda. Wcale nie chciałam wiedzieć, czy to się zdarzyło. Właściwie nie. To było po prostu jedyne, co przyszło mi do głowy, jedyne konkret, który mógł mi dać wskazówkę, jakie zamiary miał Josh.

Siedział wpatrzony w okno.

- Nie.

- Nie, nie robiłeś tego? Czy nie, nie mam zamiaru ci odpowiedzieć?

- Emmy, potrzebuję chwili dla siebie, okej? Potrzebuję jakichś sześćdziesięciu sekund, żeby się pozbierać do kupy.

Miałam ochotę powiedzieć, że ma na to prawie trzysta kilometrów, które mu dadzą o wiele więcej sekund, ale to by go mogło narazić na znacznie surowszą krytykę niż moja. A co ważniejsze, jeśli teraz by ze mną nie porozmawiał, mógłby w ogóle zrezygnować z rozmowy. Mógłby to również po prostu zostawić tak, jak jest, sądząc, że na wszystko już za późno.

- Wdzisz - nie dawałam za wygraną - skoro nie ma już nic do powiedzenia ani do zrobienia, to jaki sens był w tym, żebym jechała dziś z tobą samochodem przez osiem godzin i poznawała dwie naprawdę ciekawe kobiety, które z pewnością wiele dla ciebie znaczą, bo w ich obecności stajesz się całkiem innym człowiekiem? A teraz muszę jechać do Scarsdale i jakoś sobie z tym wszystkim poradzić. Wobec tego wolałabym wiedzieć, co ty o tym wszystkim myślisz. Mogę zaczekać, aż będziesz gotowy.

- Wcale nie chcesz wiedzieć, co myślę - oznajmił. - Po prostu chcesz się na mnie położyć bez względu na to, co powiem. I może nawet powinnaś to zrobić. Może popełniłem błąd, przywożąc cię tu dzisiaj. Ale teraz zechciej skupić się wyłącznie na dowiezieniu nas do domu, żebyśmy zdążyli na dzisiejszą kolację.

Otworzyłam usta, żeby go zapytać, czy wciąż ma zamiar wziąć udział w tej kolacji, jakby to mogło cokolwiek naprawić. Ale zanim wymówiłam słowo, zanim mogliśmy, w taki czy inny sposób, rozwinąć ten temat, zauważyłam za nami miganie policyjnego koguta. Zerknęłam na deskę rozdzielczą. Przekroczyłam dozwoloną prędkość ledwie o kilka kilometrów. Mniej niż o pięć.

- To nie może chodzić o nas - powiedziałam.

Jednak z chwili na chwilę było coraz bardziej oczywiste, że na pewno chodzi o nas. Samochód policji stanowej z wirującym kogutem siedział nam na ogonie, a dodatkowo włączył syrenę, czekając na naszą reakcję.

- No nie, chyba sobie żartujesz — krzyknął Josh, patrząc w lusterko wsteczne. A potem zwrócił się ku mnie i posłał mi niechętnie spojrzenie.

- No i co? - powiedziałam, wrzucając luz. - To nie moja wina.

- A czy to ja prowadzę? - irytował się Josh. - Ja?

Potrząsnęłam głową i powoli opuściłam szybę. Obok samochodu stał jeden z najstarszych policjantów wszystkich sił policyjnych całego świata. Miał kręcone białe wąsy, nosił aparat słuchowy oraz czapkę funkcjonariusza policji, że nie wspomnę o niemodnych okularach przeciwsłonecznych wiszących na sznurku u jego szyi. W jego wyposażeniu brakowało tylko inwalidzkiego balkonika.

- Funkcjonariusz policji Z. - przedstawił się, wskazując na plakietkę na swojej kurtce, która wielkimi brązowymi literami głosiła: FUNKCJONARIUSZ Z. - Poproszę panią o dokumenty.

Josh pochylił się nade mną i podał mi dowód rejestracyjny.

- Czy można wiedzieć, dlaczego nas pan zatrzymał, panie władzo? Podałam prawo jazdy. Zauważyłam, że Z. starannie je studiuje, i zrozumiałam, że robi w pamięci jakieś obliczenia. Czy nie byłam za młoda, żeby prowadzić samochód? Tu, na autostradzie?

- Proszę wybaczyć - powiedział Z., sięgając po walkie-talkie, które nagle zaczęło coś mamrotać.

Skorzystałam z chwili przerwy i odwróciłam się do Josha, żeby coś do niego powiedzieć. Ale policjant powstrzymał mnie gestem dłoni.

- Tylko nie to - zaprotestował.

Z. odwiesił walkie-talkie i znów zajął się nami.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego - powiedział, zwracając mi prawo jazdy - że pani migacz wciąż miga? I to od kilkunastu kilometrów?

- Wiem, panie władzo - odpowiedziałam. - Bardzo przepraszam. Naprawimy to, jak tylko dotrzemy do domu.

- A gdzie mieszkacie, moja droga? - zapytał Z.

- W Nowym Jorku.

Josh zamknął oczy i zaczął powoli potrząsać głową.

- Nie ma mowy, żeby ten pojazd pojechał aż do Nowego Jorku - orzekł policjant. - To byłaby wielka nieodpowiedzialność.

Zwróciłam się do Josha, który, byłam tego pewna, właśnie zaczął sobie wyobrażać, jak szwendamy się po autostradzie, dzwoniemy do Berringera i czekamy trzy godziny z kawalkiem, aż po nas przyjedzie.

I wtedy stało się dla mnie jasne, że to się mogło przytrafić tylko dzisiaj. Tak się dać idiotycznie złapać policjantowi Z., i to z powodu głównianego migacza!

Zrozumiałam, że opatrność jest jedynie dostarczycielką takich chwil jak ta i tylko w tej jednej chwili, kiedy potrzebujesz czegoś zupełnie innego.

- Och, przepraszam, panie władzo - znów się odezwałam. - Czy ja powiedziałam Nowy Jork? Miałam na myśli następny zjazd. Mieszkamy przy następnym zjeździe. We pan, studiuje na tutejszym University of Rhode Island. I teraz nie jadę do domu. To nieporozumienie, proszę pana. Chciałam powiedzieć, że uda się nam porządnie naprawić migacz, dopiero jak dojedziemy do domu. Ale dziś nocujemy w Rhode Island. Jesteśmy tu od tygodnia. Przyrzekam, że zjedziemy z autostrady następnym zjazdem.

Z. popatrzył z niedowierzaniem, ale mimo to powolnym ruchem zwrócił mi dokumenty.

- Obawiam się, że będę musiał was eskortować aż do zjazdu. Po prostu, żeby mieć pewność, że się wam nie zachce skorzystać z okazji.

- Bardzo dobrze, panie władzo - powiedziałam. - Więcej niż dobrze, doskonale.

Z. ruszył do swego samochodu, a ja właśnie miałam powiedzieć Joshowi, że wrócimy na drogę międzystanową zjazdem oddalonym stąd o trzy zjazdy i że to nie zabierze nam nawet dwudziestu minut, kiedy policjant zawrócił.

- I żebyśmy was nie złapał gdzieś dalej na międzystanowej - powiedział. - Mam kolegów wzdłuż całej autostrady. Wiercie, że pożałujecie, jeśli tak się stanie.

Po tym nieuchronnie zniechęcającym oświadczeniu Z. udał się w drogę powrotną do swego pojazdu, skinąwszy nam głową na pożegnanie. Josh wyjął mapy ze schowka.

- I co teraz? - zapytałam.

- Teraz - odparł, wyjmując z leżącego na podłodze stosu jedną z map - mam nadzieję, że znasz jakieś boczne drogi.

- Boczne drogi? Josh, bocznymi drogami w żaden sposób nie uda się nam dotrzeć na czas do domu. Ledwo zdążymy, jadąc autostradą.

Nie odpowiedział, tylko potrząsał wściekle głową wpatrzony w mapę.

Wycofałam samochód z powrotem na drogę, mając przed sobą samochód policjanta Z.

- Przepraszam cię - powiedziałam. - Ale przecież to nie moja wina. To nie ja musiałam wybrać się dziś w tę podróż. To wszystko nie ma ze mną nic wspólnego. Odwrócił mapę na drugą stronę. Teraz trzymał ją do góry nogami.

- Emmy, staram się skupić na mapie - powiedział. - Muszę się zastanowić, co robić. *Bez żartów*, miałam ochotę powiedzieć. Ale powstrzymałam się. Upuścił mapę na podłogę.

- Wiesz co? - rzucił. - Kiedy już zjedziesz z autostrady, daj mi poprowadzić, okej? Lepiej się poczuję. Będziesz mnie pilotować.

Zgodziłam się na to, ale wiedziałam, że nie będzie potrzeby pilotowania. Jedyna droga powrotna do Nowego Jorku, oprócz między-stanowej, prowadziła przez Narragansett, a wcale nie miałam ochoty właśnie teraz tamtędy jechać. A jednak wykonałam pierwszy konieczny skręt w lewo, który miał nas wprowadzić na długą drogę do Boston Neck Road, która z kolei łączyła się z drogą nr 1. Zatrzymałam samochód i przesiadłam się na fotel pasażera. Josh usiadł za kierownicą i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wkrótce po lewej stronie pojawiła się plaża i ocean oraz restauracja Little Clam na maleńkim moście Narragansett. Przez okno wypatrywałam drugiej drogi, bo tu niedaleko mieszkałam, przed Little Clam i tuż za moście. W cudzym domu i z cudzymi rzeczami. W oknach nie świeciło się światło, nawet okno nie było otwarte, nikogo nie było w domu.

- Czy jest tu ktoś, do kogo mogłabyś zadzwonić? - zapytał Josh. - Może pożyczylby nam samochód na weekend?

Zrobiłam w myślach przegląd osób, które znałam na tyle dobrze, żeby do nich zadzwonić. Mój szef Bobby: częścią układu w jego odnowionym małżeństwie był zakaz sprowadzania do domu niespodziewanych gości; nieposiadający samochodu Martinowie z sąsiedniego domu; sto siedem żon rybaków, z których żadnej nie chciałam niepokoić. Cierpliwie znosząc wszystkie moje pytania, zawsze starały się dowiedzieć o mnie czegoś więcej, niż tylko ogólne dane biograficzne, który-



mi je raczyłam. Nie miałam ochoty zaczynać od przedstawiania mojego brata i wyjaśniania, skąd się tu wzięliśmy w przeddzień jego ślubu.

Jedyną osobą, z którą mogłam wiązać jakieś realne nadzieje, był Cooper.

Wprawdzie nie mogłam go uważać za przyjaciela, ale nie był nieznajomy, zwłaszcza teraz, kiedy rzuciła go dziewczyna i często przychodził do sklepu. Byłam zupełnie pewna, że niespecjalnie mnie lubił. Wydaje mi się raczej, że żywił nadzieję, że mógłby mnie polubić, gdyby mnie lepiej poznał.

- Znam jednego faceta - powiedziałam. - Mieszka zaraz za budynkiem liceum. Jeśli chcesz, możemy do niego podjechać.

Musieliśmy podjechać do Coopera, ponieważ nie mogłam do niego zadzwonić, bo nie znałam jego numeru. Ale do tego, oczywiście, już nie chciałam się przyznać. Po prostu skierowałam Josha w lewo, a potem w prawo, aż pojawił się przed nami budynek Narragansett High School; niski, ceglany, z opustoszałym z powodu lata parkingiem i boiskiem futbolowym im. Arthura L. Stewarta. Dom Coopera stał zaraz za boiskiem po prawej stronie, mały walący się kolonialny domek.

Jednak gdy zajechaliśmy na miejsce, okazało się, że mamy kolejny drobny niefart. Od frontu tego, co było domem Coopera, widniała ogromna tablica „Na sprzedaż” przekreślona czerwoną naklejką „sprzedane”. Na podjeździe tkwił odwrócony do góry dnem pojemnik na śmieci. I sterta nieczytanych gazet. Samochodu Coopera nie było.

- To tutaj mieszka twój przyjaciel Cooper? - zapytał Josh, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że knykcie całkiem pobielały. Wiedziałam, że się boi na mnie spojrzeć. Wiedziałam, że się boi, że mu się wyrwie o jedno słowo za dużo.

- Najwyraźniej - odparłam - już tu nie mieszka.

Josh szybko wycofał samochód z podjazdu i skierował się na zachód. Był zbyt wściekły, żeby mnie choćby zapytać, którądy ma teraz jechać. Był na mnie zbyt wściekły, żeby mnie pytać o cokolwiek.

Odwróciłam się i zapatrzyłam w okno. Znów przestałam się odzywać. Jechaliśmy w milczeniu aż do chwili, kiedy mijaliśmy sklepik ze sprzętem rybackim, którego widok, z niewyjaśnionych względów, podniósł mnie na duchu. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zaprosić

Josha do środka i pokazać mu sklep. Każdy, kto tam wchodził, musiał się przekonać, kim jestem. A gdybyśmy tam chwilę posiedzieli, najpewniej przyszłaby mnie odwiedzić któraś z żon. Jednak nie mogliśmy tam teraz z Joshem zajechać, tak bez powodu, a przynajmniej nie po to, żebym go mogła przekonać, że życie, które tu pędzę, wcale nie jest takie złe. Myślę, że oboje zanadto przejmowaliśmy się teraz tym, jakie życie on prowadzi.

Odwrociłam się i ostrożnie popatrzyłam na niego. Jeszcze nic nie powiedziałam, a już czułam niepokój z powodu pytania, które miałam zamiar mu zadać.

- Co jej powiedziałaś, Josh? Co powiedziałaś Grace, kiedy wróciliście z Elizabeth ze spaceru? W kuchni. Byłaś bardzo poważny. Zatem co jej powiedziałaś?

Nie przestawał wpatrywać się w drogę.

- Powiedziałem jej, że niedługo wrócę - odpowiedział. - Powiedziałem jej, że niedługo się zobaczymy.

- A zobaczycie się? - pytałam dalej. Z początku nic nie odparł.

- Josh?

- Naprawdę mam taką nadzieję - wykrztusił.

Był tak wytrącony z równowagi, że odwróciłam się od niego i wbiłam wzrok w podłogę. I wtedy to zauważyłam. Błyszczące różowe zaproszenie. Na przyjęcie urodzinowe córki June. Przyjęcie urodzinowe Holly. Czy to naprawdę dopiero wczoraj mijałam June na parkingu za sklepem wędkarskim, gapiąc się na jej przeładowane kombi? I bezgłośnie wypowiedziałam życzenie, żeby wszystko tak się potoczyło, żebym ją dziś znów spotkała.

Teraz zaproszenie zachęcało mnie nową obietnicą, początkiem czegoś nowego.

- Wiesz co, Josh? - powiedziałam. - Skręć tu w lewo na światłach. Skręć w lewo i w prawo i podjedź pod pierwszy żółty dom. I zabierz swoje rzeczy.

- O czym ty mówisz?

- Chyba znalazłam sposób - odparłam - żebyśmy dotarli do domu.

Była dokładnie 7.30, kiedy wjeżdżaliśmy w Drake Road czerwonym volvem kombi należącym do June, a pół minuty później wjeżdżaliśmy na podjazd naszego rodzinnego domu. Dookoła parkowało już tyle samochodów, że nie udało nam się wystarczająco głęboko wjechać na podjazd i tył samochodu wystawał na ulicę. Stały tam: dwa volkswageny dostawcze z napisem „Kwiaty u Lydii”, jeden ogromny srebrny van i samochód dostawczy firmy cateringowej. Parkingowi, ubrani w białe smokingowe marynarki, byli już na miejscu. Para w szarym cadillacu powoli zmierzała w ich kierunku.

- Czy to jakieś żarty? - powiedział Josh, próbując się wycofać.

Przez całą drogę do domu omijał wzrokiem cały bałagan na tylnym siedzeniu i ogromniastego Pape Smerfa prawie zupełnie zasłaniającego tylną szybę.

Próbowałam go przesunąć, kiedy dotarliśmy do granicy Connecticut, ale jeszcze pogorszyłam sprawę.

- I co my teraz zrobimy? - zapytał Josh.

Już miałam mu odpowiedzieć, ale powstrzymałam się, bo zdałam sobie sprawę, że pytanie jest raczej retoryczne, a Josh już jedzie drogą przez skrzyżowanie do Wademanów, których ogród z tyłu posesji przylega do naszego. W dzieciństwie Josh pokazał mi ten skrót do naszej działki i z niej, ale do korzystania tylko w wyjątkowych wypadkach, do których należało wymykanie się późnym wieczorem i wślizgiwanie wczesnym rankiem. Trzeba było przejść za ich starym dębem, z nieśmiertelną huśtawką ze starej opony, chociaż dzieci wyprowadziły się ponad dziesięć lat temu, obok pomidorów pani Mason, przedrzeć się przez rząd krzaków, a potem przez drugi ich rząd oddzielający ich dom od naszego.

Razem przeprawialiśmy się tą drogą po raz pierwszy. Kiedy przebrnęliśmy przez ostatni odcinek, znaleźliśmy się na końcu naszego ogrodu, z pagórka mając widok na cały ogród.

Tego wieczoru kręciło się po nim mnóstwo ludzi, słychać było brzęk talerzy, a w jego centrum rozstawiony był prostokątny biały namiot, który z miejsca, gdzie stałam, wydawał się lekki i rozświetlony. Wyglądał prawie jak obłok na nocnym niebie.

Pod namiotem wszystko było już przygotowane. Stroiki z białych i herbacianych róż, delikatne białe obrusy, wszędzie jarzyły się

pływające świece. Przy stołach urzędowali kelnerzy; napełniali szklanki wodą i na nowo ustawiali wszystko to, co już stało w idealnym porządku.

Pochyliłam się, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Josh również się nachylił.

- Widzę, że Wademanowie już są - powiedziałam. - Wdzisz ich? Przy narożnym stole, rozmawiają z tatą.

Byli tam, wciśnięci w kąt. Pani Wademan wyglądała trochę jak pływająca świeca w dużej sukni na krynolinie. Tata stał tuż obok niej nachylony w stronę siedzącego pana Wademana.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają? - rzuciłam pytanie.

- O czym rozmawiają? A kogo to obchodzi? Kto się tak wcześnie zjawia na uroczystej kolacji? Tego naprawdę jestem ciekaw.

Wyraźnie tracił cierpliwość.

- Przynajmniej wiemy, że nie zrobią nam awantury, że blokujemy ich podjazd - zauważyłam.

- Nie zablokowałem im podjazdu.

- Ale go nie *nie* zablokowałeś. Josh odwrócił się do mnie.

- Masz jakieś propozycje? Co robimy?

Ugryzłam się w język, znów analizując sytuację. Większa część ogrodu była dla nas niedostępna. Wiedziałam, że musimy uciec, jeśli chcemy pozostać niezauważeni od wewnątrz. Tylko że to nie było łatwe. Pokonując małą zakręconą przestrzeń powstałą na lewo od namiotu, można się było dostać do drzwi, prowadzących wprost do salonu i kuchni, ale tam natknęlibyśmy się na ludzi. Drugą możliwość stanowiły bardziej odległe drzwi z prawej strony namiotu, ale aby się tam dostać, trzeba było przejść obok naszego taty. Narzucało się pytanie, czy mama jest gdzieś obok niego. Bo gra szła właśnie o to, żeby za wszelką cenę uniknąć z nią spotkania.

- Może powinniśmy się rozdzielić i rzucić biegiem do środka - zastanawiałam się. - Jeśli któreś z nas wpadnie wtedy na mamę, może powiedzieć, że to drugie bierze na górze prysznic. Musimy ją przekonać, że już od jakiegoś czasu jesteśmy w domu.

- Emmy, nie mam zamiaru nigdzie uciekać. To śmieszne. Czy myślisz, że aż tak się boję?

I zanim zdążyłam wyłożyć mu swoje racje, zanim zdołałam mu uświadomić, że starcie z mamą, i to teraz w tej brudnej koszulce, nie leży w jego interesie, zniknął. Wybrał rozwiązanie prawostronne. Zbiegał z pagórka wielkimi susami, zasłaniając głowę w czasie mijania taty. Nigdy nie widziałam, żeby poruszał się tak szybko. Pozostała lewa strona. Ale kiedy zdążyłam zejść z pagórka i zmierzałam na otwartą przestrzeń, usłyszałam mamę wołającą mnie po imieniu. Stała niecałe dwa metry za mną. Zatrzymałam się, nie wiedząc, co mam teraz zrobić.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy uciekać przede mną - powiedziała, tym samym podejmując za mnie decyzję.

Odwróciłam się i nieznacznie jej pomachałam. Ubrana była w długą srebrną obcisłą suknię i wiszące kolczyki. Włosy upięła w mały kok. W odpowiedzi pomachała mi mniej niż przyjaźnie. Uściskałam ją, gdy tylko się do mnie zbliżyła. A kiedy się odsunęła, przekonałam się, że wcale nie była zła. Nawet nie umiała udawać, że jest zła. To mi się w niej podobało.

- Nie wiem, gdzie byliście - powiedziała. - I nawet nie sędzę, że chciałabym się tego teraz dowiedzieć. Tata musiał zamówić dodatkowy klimatyzator, bo wciąż jest tu okropnie gorąco. Zamówił wielki klimatyzator, który ma nawiewać zimne powietrze do namiotu. Czy masz pojęcie, ile coś takiego kosztuje? Trzy tysiące dolarów! Czyste szaleństwo!

Pogłaskałam ją po twarzy, by ją trochę uspokoić, i powiedziałam:

- Wyglądasz przepięknie.

Mama również pogłaskała mnie po twarzy.

- Wyglądasz na trochę zmęczoną. - Wtedy spojrzała na mój nadgarstek. - Och, mój Boże! - zawołała. - Co się stało?

Podążyłam za jej wzrokiem do miejsca, gdzie Hannibal prawie mnie capnęła.

- Nic.

Przeciągnęła palcem wzdłuż niewidzialnego cięcia.

- To najwyraźniej nie jest nic - orzekła. - Czy według ciebie tak wygląda nic?

- Tak, w istocie.

- Co się dzieje, Emmy? Powiedz mi, proszę. Nie zdołam ci pomóc, póki nie zechcesz mi opowiedzieć, co się stało.

I właśnie wtedy poczułam, że bardzo chcę jej opowiedzieć. I to nie tylko dlatego, że nie chciałam być jedyną osobą zorientowaną w sytuacji Josha, ale także dlatego, że mama lepiej niż ja umiałaby mu pomóc, umiałaby wszystko naprawić. Nie mogłam jednak nie pomyśleć, że wcale nie wiem, czy Josh jest już gotowy do działań naprawczych. Być może, bez względu na to, co się stało, nie był wcale gotowy, żeby z tym skończyć. Jeszcze nie teraz.

- Okej, jeśli masz zamiar stać tutaj bez słowa, to proszę, żebyś przynajmniej przetarła przegub spirytusem i założyła nowy opatrunek. Są w łazience w szafce pod umywalką. Najlepiej załóż dwa, jeśli ci to nie będzie przeszkadzać. Co dwie warstwy to nie jedna. I przebierz się na wieczór.

Pokiwałam głową.

- Okej.

Pocałowała mnie w czoło i w zadrapany nadgarstek.

- Okej.

Ruszyłam w stronę domu.

- Och, Emmy. - Odwróciłam się. - Musisz wiedzieć, na wypadek gdyby pani Wademan pytała, powiedziałam jej, że Steven Spielberg jest zainteresowany kupnem twojego filmu o żonach rybaków, nad którym pracujesz.

- O czym ty mówisz? Wzruszyła ramionami.

- Chciała wiedzieć, co robisz w Rhode Island, więc jej powiedziałam.

- Mamo, Steven Spielberg nie jest zainteresowany kupnem moich materiałów.

- Cóż, z tego, co wiem, powinien się zainteresować. Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Czy ty nie oszalałaś?

- Czy nie jesteś dwie godziny spóźniona?

W tej sytuacji chyba nie miałam już nic do powiedzenia.

- A zanim pójdziesz na górę, bądź tak dobra, zajrzyj na dół do pokoju gościnnego i sprawdź, co robią Moynihan-Richardsowie? Upewnij się, proszę, że tam jest wszystko w porządku. Goście się już schodzą. Rozumiesz, co mówię? - Nachyliła się do mojego ucha i wyszeptała: - Naprawdę już mi wystarczy incydentów z drobiem.

- Domyślam się, mam - odpowiedziałam.

- Dziękuję ci - powiedziała. - I Em? Nie zaszkodzi, jeśli do zdjęć odrobinę się przypudrujesz - dodała. - Tylko odrobinę na policzkach. Nawet tata jest troszeczkę przypudrowany.

- Nie jest.

Pokiwała twierdząco głową.

- Odrobina różu - powiedziała.

- Mam, nie.

- Może i nie - zgodziła się. - Rzecz w tym, że zrobiłby to, gdybym go poprosiła.

Kiedy oboje z Joshem byliśmy mali, lubiliśmy się bawić kluczami na kółkach. W każdą sobotę ojciec zabierał nas do centrum handlowego Five Corners i w sklepie żelaznym pozwalał wybrać po kluczu, który dołączaliśmy do naszych kółek. Potem wracaliśmy do domu i ganiałliśmy z latarkami na dół do piwnicy i pralni, udając, że uczestniczymy w tajnej operacji, a nasze klucze w razie potrzeby otworzą każde drzwi.

Przypomniałam sobie o tym, schodząc na dół do pokoju gościnnego, by zobaczyć, co słychać u Moynihan-Richardsów. Sprawdziłam, że nie palą się tam górne światła. Nie paliły się górne światła i klimatyzacja była wyłączona, a po dokładniejszej inspekcji zdawało mi się, że nikogo tam nie ma. Przekreśliłam wyłącznik, tylko żeby się upewnić, ale po Moynihan-Richardsach nie było śladu, jeśli nie liczyć stojącej tam zapakowanej czarnej walizeczki z powrzuconymi do środka ubraniami.

Wyobraziłam sobie, że wyslizgnęli się w nocny mrok, zabierając tylko klucze, ponieważ nieoczekiwanie zmienili zdanie. Nie chcieli narazić się na te wszystkie niewypowiedziane, lecz wiszące w powietrzu pytania, których spodziewali się dzisiejszego wieczoru. Zapewne

każdy chciałby się dowiedzieć, dlaczego dwoje dosyć znanych profesorów zdecydowało się oddać dziecko do adopcji. Trudno było uwierzyć w wyjaśnienia Meryl, że po prostu nie wierzyli, że sprostają obowiązkowi wychowania dziecka. Coś mi jednak mówiło, że ta niewiara nie była całkiem bezpodstawna.

- Profesorze Moynihan-Richards? - zawołałam w tę dziwną pustkę. - Pani Moynihan-Richards?

Nie było odpowiedzi.

- Mama prosiła tylko, żeby przekazać, że wszyscy na przyjęciu czekamy na państwa. Proszę przyjść na górę, kiedy będziecie państwo gotowi. - No świetnie. Mówiłam, a tam nikogo nie było. - Zresztą róbcie państwo, co chcecie. Sami decydujcie - dodałam.

Ruszyłam z powrotem na górę, dokładnie zamykając za sobą drzwi, ale przedtem, na wypadek, gdyby to im pomogło się ujawnić, zgasiłam również światło, spuszczaając za sobą zasłonę ciemności.

W swoim pokoju zastałam Meryl, która stojąc przed wielkim ściennym lustrem z czterema grubymi okrągłymi lokówkami we włosach, nakładała makijaż. Była już w sukni: mała czarna koronkowa do pół uda. Wyglądała wspaniale. Za jej plecami na łóżku siedział Josh i złożony dłońmi na kolanach, patrzył na jej odbicie w lustrze. Nakładała błyszczak na wargi i była tak bardzo skupiona na tej czynności, że pomyślałam, że nie zauważyła mojego wejścia.

Zaczęłam się niepostrzeżenie wycofywać z pokoju, ale wtedy, kiedy jedną nogą byłam jeszcze w drzwiach, Meryl odwróciła się w moją stronę.

- Hej, ty - zawołała, machając ręką trzymającą błyszczak. - Uciekasz, nawet nie mówiąc mi cześć? Wiem, że nie jestem najbardziej wymarzoną panną młodą, ale jednak. Czy nie zasługuję na nieco uwagi?

- Jasne, odparłam - kręcąc za plecami dłońmi. - Jasne, że zasługujesz. Chciałam się przywitać. Muszę tylko skoczyć do łazienki. Muszę tam szybko lecieć.



Spojrzałam na Josha, który patrzył na mnie tak przepraszaście, że niemal mu wybaczyłam, że mnie w to wszystko wciągnął. Potem znów skierowałam wzrok na Meryl, która, nawet w lokówkach i nie do końca umalowana, wyglądała niesamowicie wytwornie i wdzięcznie. Przez całe lata próbowała mi wpoić wszystko to, co jej przychodziło naturalnie i z łatwością: uczyła mnie myć włosy w szamponie dla koni, pozwalać partnerowi prowadzić się w tańcu, jeść ostrygi z muszli. Robiła dla mnie wszystko to, co powinna robić starsza siostra. I jak się jej dziś odpłacam? Co najmniej mijaniem się z prawdą, a na pewno nielojalnością. I jeszcze teraz wątpliwościami, czy miejsce Josha jest przy niej? Tego było już dla mnie za wiele. Przypomniawszy sobie kłamstwo, że chce mi się siusiu, zaczęłam prze-stępować z nogi na nogę.

- Całą wieczność siedzieliśmy w samochodzie - i ledwie zdążyłam wypowiedzieć te słowa, poczułam, jak oczy otwierają mi się na całą szerokość ze strachu, że mi się to wymykne, że Meryl nie wie, że gdzieś jeździliśmy. Ale ona tylko otworzyła ramiona na znak, że chce mnie uściskać. Naprawdę pomyślałam, że zaraz się pochoruję.

Ruszyłam jednak do niej.

- Josh opowiedział mi, jaką mieliście przygodę z funkcjonariuszem Z. w drodze powrotnej - oświadczyła Meryl, kiedy się uściskałyśmy. - Czy to naprawdę jego nazwisko? Wygląda na to, że mieliście dziś niezłą przygodę na drodze.

Zmieszana popatrzyłam na Josha. Dlaczego opowiedział jej o funkcjonariuszu Z.? Przede wszystkim z całą pewnością nie dlatego, że wyznał jej również, z jakiego powodu znaleźliśmy się w rejonie funkcjonariusza Z. Byłam jednak ciekawa, czy opowiadanie rzeczy graniczących z prawdą poprawiało mu samopoczucie?

Próbowałam zgadnąć, co mógł jej powiedzieć? Ze gdzie byliśmy? Może jeszcze w Rhode Island? Ale to ja, nie on. Może jej powiedział, że pojechał tam dziś ze mną, bo miałam jakieś kłopoty?

- Okropnie przepraszam, Meryl - zawołałam - że tak się spóźniliśmy. Nie mieliśmy takiego zamiaru. Nie wiedzieliśmy, że tak się stanie.

- Mój Boże - odpowiedziała - nie przepraszaj. Po prostu miałam nadzieję, że wrócicie wcześniej i będziemy mogli razem obejrzeć twoje filmy. Chcę koniecznie zobaczyć trochę tych wszystkich nagrań, o których tyle słyszałam. Założę się, że niektóre prowadzą do zaskakujących wniosków.

Spojrzałam w kąt pokoju, gdzie położyłam kasety z nagraniami, ale nie było tam torby na śmieci, w której je przywiozłam. Poczułam, że wpadam w panikę. Ale zanim zdążyłam się załamać, wzrok Meryl podążył za moim do tego samego kąta pokoju.

- Och, przeniosłam je. Przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć od razu, że to zrobiłam. Różni ludzie tu się kręcili, a nie chciałam, żeby coś się z nimi stało. Położyłam je w kącie w twojej łazience, żeby były bezpieczne. Pomyślałam, że tam będzie mniejszy ruch naziemny.

Potem znów spojrzała na Josha. Uśmiech znikł z jej twarzy, w oczach pojawiła się troska. A mnie znów zastanowiło, ile i co Meryl wie.

Ale Josh tylko potrząsnął głową.

- Nie rób tego - powiedział.

- Nie robić czego? - zapytałam.

Wciąż potrząsał głową, ze spuszczonej oczami. A Meryl znów na mnie patrzyła.

- Wdzisz, Josh chciał, żebym jeszcze ci tego nie mówiła - odezwała się. - Ale nie mogę. Nie mogę patrzeć na ciebie i nie powiedzieć ci. Nie mogę znieść tego, że nie wiesz, chociaż jestem pewna, że wolałabyś wiedzieć. Och, jeszcze pogarszam sprawę. Powinnam już to powiedzieć, prawda? Wiem, że powinnam.

Patrzyłam to na nią, to na niego. Sprawy toczyły się w takim tempie, że nie miałam pojęcia, o co chodzi. Było niemożliwe, a może było możliwe, że już powiedział Meryl o Elizabeth. Nie, to niemożliwe. Przyszłam na górę nie później niż pięć minut po nim. W takim czasie nie można wyjaśnić takiej sprawy, nawet bardzo się starając. Bo przecież byłoby więcej pytań niż odpowiedzi. Na to trzeba znacznie więcej czasu.

A wtedy Meryl wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

- Wpadłam dziś przypadkiem na Matta - powiedziała. Byłam pewna, że musiałam się przesłyszeć. Byłam tego tak pewna, że bez słowa wciąż na nią patrzyłam.

Ruchem głowy potwierdziła swoje słowa.

- Kilka godzin temu - dodała.

- Mojego Matta?

- Twojego Matta.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. W istocie nie miałam bladego pojęcia, co to mogło oznaczać. Tylko przed oczami ujrzałam, jak oboje jednocześnie idą tym samym odcinkiem Piątej Alei w pobliżu Union Square albo dochodzą do tego samego rogu przy Grand Central Terminal. Matt wychodzi na papierosa z pracowni architektonicznej, w której pracował w soboty. A Meryl właśnie wyłania się z dworca. A może znaleźli się w sąsiedztwie naszego starego mieszkania w West Village? Teraz już tylko mieszkania Matta w West Village. 285 West Street. Mały walący się szeregowiec wciśnięty między dwa luksusowe. Te ostatnie zamieszkane były tylko przez jedną rodzinę każdy, a każda z nich zajmowała przestrzeń, która w naszym domu podzielona była na dziesięć mieszkań.

Wspomnienie tego mieszkania było tak przemożne, że aż poczułam zapach holu: mieszanek wiśniówki i smażonej ryby. W dniu, w którym się tam wprowadziliśmy, spędziliśmy całą noc na paleniu świec zapachowych, wierząc, że uda nam się pozbyć tego zapachu, co jednak okazało się wysiłkiem beznadziejnym. Na suficie naszej sypialni Matt wymalował miniaturę układu słonecznego, w jednym jego rogu był pas Oriona, a w przeciwległym Wega - najmocniej świecąca gwiazda na letnim niebie. Nad nami zamieszkał olimpijski szybkobiegacz. Trenował wieczorami, wykonując tysiące podskoków dokładnie nad naszymi głowami. Nad tymi gwiazdami. Żyliśmy jak podczas małego trzęsienia ziemi.

- Chodź, usiądź na chwilę - zaproponował teraz Josh, przesuwał się na łóżku i robiąc miejsce na trzy takie osoby jak ja.

Meryl również ruszyła w stronę łóżka.

- Usiądźmy - powiedziała.

Ze sposobu, w jaki oboje na mnie patrzyli, mogłam wnosić, że zrobiłam coś strasznego. Kiedy Meryl wyciągnęła do mnie rękę, musiałam już być w drodze do drzwi. Byłam w drodze do drzwi i nawet sobie z tego nie zdając sprawy, znalazłam się za drzwiami.

- Usiądź tylko na chwilę tu na łóżku, dziecino - prosiła Meryl. - Wszystko ci wytłumaczę.

Nie zaczęła jeszcze mówić, a ja już uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę tego słuchać. Jeśli go dzisiaj widziała, jeśli widziała Matta, to

znaczy, że nic mu nie jest. Szedł dokądś, gdzie miał ochotę pójść. Cokolwiek by miała mi jeszcze do powiedzenia o tym przypadkowym spotkaniu: że się w kimś zakochał, że się przeprowadza na Alaskę albo że mnie nienawidzi, nie byłam w stanie tego słuchać.

- Wiecie co? Najpierw dajcie mi chwilkę. Dobrze? Zanim cokolwiek mi powiesz, naprawdę muszę pójść do łazienki. Ludzie, już wam to mówiłam. Naprawdę muszę iść.

A potem, tak szybko jak nigdy w życiu, pognałam do łazienki, mojej i Josha, i dokładnie zatrzasnęłam za sobą drzwi. Czy można tak przedstawić całe to zdarzenie, żeby nie wyglądało dramatycznie? Patrzyłam na gwiazdy. Przed oczami miałam wielkie białe bloki. Nic nie widziałam.

Starannie zatrzasnęłam drzwi łazienki, podciągnęłam kolana pod brodę, oparłam się plecami o framugę. Wyciągnęłam rękę i zablokowałam zamek. I wtedy je spostrzegłam. Starannie wciśnięte w najdalszy kąt. Mój worek z taśmami. Na górze zawiązany jasnoniebieską taśmą, niczym serce, a w nim to wszystko, wszystko, co posiadałam, albo dokładniej, wszystko, z czym nie umiałam sobie poradzić przez minione trzy lata. Co robił Matt przez te trzy lata? Czy w jego życiu były sprawy, projekty albo związki, albo jakaś ich kombinacja, których również nie potrafił doprowadzić do końca? Sprawy, których tak naprawdę nie potrafił rozpocząć? Odwróciłam się i sięgnęłam pod umywalkę. Głęboko w szafce, pod starym dywanikiem miałam ukryty mały zapasik papierosów, teraz liczący sobie cztery lata. A nawet prawie pięć. Ale to nie było ważne. Wiedziałam, że wciąż tam są. Wiedziałam, że wciąż tam są i czekają na taką chwilę jak ta.

Wyjęłam paczkę papierosów i zapalki. Zapaliłam papierosa i tak mocno się zaciągnęłam, że o mało nie zwymiotowałam. Ale paliłam dalej. Paliłam i czułam się to lepiej, to gorzej, aż byłam gotowa zapalić następnego.

Zanim to jednak zrobiłam, zmówiłam króciutką cichą modlitwę dziękczynną, że dzień dobiega końca. Może nie tyle szczęśliwie, co wreszcie. Bo nie było takiego powodu, który by mnie skłonił do opuszczenia łazienki, dopóki się nie przekonam, że tak się rzeczywiście stało.

## **Część trzecia**

Jedyna uroczysta kolacja organizowana w przeddzień ślubu, w jakiej brałam udział w Rhode Island, została wydana na cześć jedyne go syna Diane nr 1, Briana. Nie mając w tym czasie jeszcze trzydziestu lat, żenił się po raz czwarty. Podejrzywałam, że zaproszenie na tę uroczystość dostałam, ponieważ w miasteczku niełatwo było o osoby, które nie byłyby zaprzyjaźnione z jedną z jego trzech poprzednich żon. Jednak powód zaproszenia nie był dla mnie ważny. Cieszyłam się, że brałam w nim udział. Było to przyjęcie z perkusją, bo Diane gdzieś przeczytała, że kolacji wydawanej w przeddzień ślubu musi towarzyszyć wielki hałas; miało to jakoby zapewnić szczęście przyszłym małżonkom. Preczytała też, że przyjęcie w wigilię ślubu odgania od młodych złe duchy, które tylko czyhają, żeby zapanować nad ich losem i zniweczyć nadzieje na szczęśliwe życie. Zgodnie z tą koncepcją zabawie powinien towarzyszyć hałas i zgiełk, a im głośniejszy, tym lepiej. Najwidoczniej złe duchy panicznie się bały podobnego chaosu. Dlatego zapewne mąż Diane, Brian senior, spędził większą część nocy na waleniu z całych sił w prowizorycznie skonstruowany karaibski bęben.

- Nie możemy przegapić żadnej okazji - powiedziała Diane, potrząsając głową. - Nie stać nas będzie na kolejny ślub, jeśli i tym razem się nie uda.

Gdyby hałas towarzyszący uroczystości miał być rzeczywistym wskaźnikiem przyszłego szczęścia, to pechowo dla Josha i Meryl już od samego początku ich szanse na szczęśliwy start były co najmniej wątpliwe. Nie było bębnow, ani prowizorycznych, ani żadnych innych, żadnych hałaśliwych zabawek, żadnej godnej uwagi wrzawy.

Mieli to, co chcieli: samotny flecista dyskretnie przygrywający na uboczu, białe balony wypełnione helem wiszące pod sklepieniem namiotu i ogromne misy z pływającymi liliami w kolorze kości słoniowej.

Goście przechadzali się po ogrodzie w lekkich strojach i w niebieskich krawatach, poklepując się przyjaźnie po plecach i posyłając sobie całusy. W końcu odnaleźliśmy stoły, przy których wyznaczono nam miejsca, i zasiedliśmy do rodzinnej kolacji. Wszystko odbyło się tak, jak sobie Meryl zażyczyła. Podano wielkie półmiski z kurczakami z grilla przybranymi pikantnymi orzechami nerkowca, krewetkami i różnymi rodzajami sałaty. Black whisky i rosyjską wódkę nalewano z czubem do srebrnych czarek. A pośrodku każdego stołu stały otoczone wianuszkami herbacianych róż patery z truskawkami w czekoladzie.

Po kolacji moja matka stanęła przy wejściu do namiotu i poinformowała, że w wazach stojących na każdym stole znajdziemy opakowania z wilgotnymi serwetkami. Podniosła jedną i dokonała demonstracji, bardziej jak stewardesa niż pani domu.

Potem wskazała stojący w głębi bufet samoobsługowy z deserami, jakby można go było przegapić. Nigdy nie widzieliście tylu słodczy, ile tam zgromadzono: misie z lukrecji i żelatyny, cukierki malinowe, ciasteczka czekoladowe i ciągutki miętowe oraz krówki. Koszyczki pełne żelków i lukrowanych cynamonowych paluszków. Sześć rodzajów lodów.

- Częstujcie się - powiedziała.

Najpierw wyjęłam z wazy opakowanie z wilgotną serwetką. Było owinięte niebieską muślinową wstążką z kokardką.

To jakieś kpiny - myślałam, ale mimo to zawiązałam wstążkę wokół nadgarstka. Bess, mama Meryl, która siedziała naprzeciwko, mrugnęła do mnie, widząc, co robię.

A potem zrobiła to samo.

Przez większą część kolacji siedzieliśmy przy stole tylko we dwie. Jej mąż zaprzyjaźnił się z barmanem, moi rodzice i Meryl zajmowali się gośćmi, Josh w drugim końcu namiotu nieustannie oferował komuś pomoc, trzymając się najdalej jak można od każdego, kto

miałby ochotę szczerze z nim pogadać. A miejsca Moynihan-Richardsów pozostały przez cały wieczór puste.

- To tak wygląda, jakby dla nas obu coś się tutaj miało zacząć

- powiedziała, wskazując dumnie swój nadgarstek.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziałam.

Chwilkę pogadałyśmy o tym, że być może M-Rowie są gdzieś w pobliżu i obserwują wszystko z ukrycia albo że pani Moynihan-Richards nie czuła się dobrze i dlatego wrócili do pokoju gościnnego. Nie było wątpliwości, że nikt, a już na pewno nie Bess, zbytnio się tym nie przejmował.

- Powiedz mi, czy jesteś zdenerwowana przed jutrzejszym dniem?

- zapytała mnie Bess.

To pytanie zadała mi nie po raz pierwszy. I zaczęła się między nami mała przepychanka. Sprawa na tyle się skomplikowała, że już dawno przestałam sprawiać wrażenie, że dzisiejszy wieczór mnie cieszy. Zwłaszcza że myślami błędziłam niczym na pokazie slajdów z popsutego aparatu od jednego wydarzenia dzisiejszego dnia do innego. Na jednym z obrazów widziałam Elizabeth siedzącą na kanapie, a na innym Meryl stojącą w mojej sypialni. Miałam poczucie, że te dwa wydarzenia nie mogą istnieć w tym samym świecie. A przynajmniej nie powinny. Jestem pewna, że to właśnie pozwalało Josho-wi łatwo je od siebie odseparować i doceniać bohaterkę każdego z nich tak, jak na to zasługuje, ale w jej własnej przestrzeni. Najgorsze ze wszystkiego było dla mnie to, że wreszcie zrozumiałam, w jaki sposób to wszystko było możliwe.

- Jutro ma być upał, wiesz? - powiedziała Bess. - Jeszcze większy niż dziś. Ojciec Meryl słyszał, że ma być czterdzieści stopni! Cieszę się, że całą jutrzejszą uroczystość przenieśliśmy z ogrodu do wnętrza. Kto by wytrzymał w taki upał?

- Nikt - zgodziłam się.

- Nikt - powtórzyła, bawiąc się swoją wstążką. - A którą część jutrzejszego dnia uważasz za najbardziej ekscytującą?

I stało się. Podniosłam się z krzesła.

- Bess - powiedziałam - wybaczysz mi na chwilę? Pójdę po lody. Czy tobie też przynieść?



- Cukier to biała śmierć, kochanie - odrzekła. - Ale smacznego. Ruszyłam w stronę bufetu z lodami, mając na widoku konkretny plan na resztę wieczoru. Najpierw nałożę sobie dwie łyżki lodów waniliowych i jedną czekoladowych, a do tego dołożę dwa ciasteczka czekoladowe. Poszukam zacisznego miejsca, usiądę sobie i zjem całe lody tak wolno, jak to jest tylko możliwe. A potem nie zwracając niczyjej uwagi, opuszczę uroczystość. Wejdę do domu, zdejmę niewygodną sukienkę i położę się spać.

Tylko że mój świetnie przemyślany plan z miejsca wziął w łeb, kiedy zobaczyłam go stojącego tam, dokładnie przy barze. Owszem, postarzał się trochę, ale wyglądał prawie tak samo, te same wijące się rude włosy, miękki podbródek, wciąż niższy ode mnie o dobre pięć centymetrów. Justin Silverman. Świeży absolwent Northwestern Law School. Chłopak z pierwszej licealnej. Przyszły mąż.

Nie wiedziałam, co robić. Myśl o pogawędce z nim teraz, myśl o jakiegokolwiek rozmowie była dla mnie nie do zniesienia. Zwłaszcza z nim. Zwłaszcza pod bokiem mojej matki, która z pewnej odległości miała nas na oku, bardzo nieudolnie udając, że wcale na nas nie patrzy. Trochę za gwałtownie obróciłam się na pięcie i wpadłam na Berringera, uderzając głową w jego klatkę piersiową.

- Ostrożnie - powiedział, chwytając mnie za łokieć i pomagając mi złapać równowagę. - Uciekasz przed kimś?

Podniosłam głowę i pod dziwnym kątem popatrzyłam na jego podbródek. Miał na sobie niebieski krawat, ciemną sportową marynarkę i dżinsy.

W prawej dłoni trzymał duży plastikowy kubek.

- Świetnie wyglądasz - powiedziałam. Uśmiechnął się.

- Świetnie wyglądasz.

Podążyłam za jego wzrokiem w dół na moją sukienkę. Długa, czerwona sukienka bez pleców, ciasno zawiązana z tyłu na szyi. Mama kupiła ją, zanim przyjechałam. Chociaż znalazła ją na wyprzedazy, a wiem, że tak było, z całą pewnością kosztowała więcej, niż zarobiłam w ostatnim miesiącu w sklepiku ze sprzętem wędkarskim.

Berringer wyciągnął kubek w moim kierunku.

- Chrupki?

Sięgnęłam do środka. Były tam. Wypełniały kubek po brzegi. W kubek wetknięta była plastikowa łyżeczka.

- Przystojniaczku, jeśli mama zobaczy, że jesz tu teraz coś takiego, załamię się nerwowo.

- Czyżbyś właśnie nazwała mnie przystojniakiem? - zapytał.

- Może.

- Dobra, bądź pewna, że mam cały wachlarz sposobów na to, by uważała, że zawartość kubka pochodzi z jej bufetu z deserami lodowymi. Gdyby zaszła taka potrzeba, ma się rozumieć.

Patrzyłam, jak nabiera zbyt pełną łyżkę chrupek, dotykając wierzchem dłoni mleka.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

Od strony bufetu z lodami poczułam czyjeś spojrzenie skierowane na tył mojej głowy i ramiona. Zanim się nad tym zastanowiłam, zanim przypomniałam sobie, dlaczego nie mam ochoty go spotkać, stało się. Justin Silverman, balansując nad szpiczastym zakończeniem bufetu z lodowymi deserami, uśmiechał się w moją stronę i zachęcająco kiwał głową. Kiwnęłam mu w odpowiedzi i odwróciłam się znów do Berringera.

Wiedziałam, że wpadłam w pułapkę. Nie mogłam wrócić do stołu. Bess wciąż tam siedziała, a Meryl stała przy niej z aparatem fotograficznym na szyi. Potem zdjęła z szyi aparat i usiadła obok swojej mamy. Nie mogłam również udać się najkrótszą drogą do domu, bo na patio było mnóstwo ludzi, a dostępu do drzwi broniła moja mama.

- Wiesz, że Josh cię szuka... - odezwał się Berringer. - Jest przed domem od frontu, rozładowuje vana.

Josh. Całkiem inna historia. Nie podnosiłam wzroku. Z Berringerem również nie chciałam zostać. Nie miałam ochoty rozmawiać o dzisiejszym dniu, o Elizabeth i Grace, i o farmie. Nie chciałam mu o tym *nie* mówić. Ale zanim zdołałam grzecznie się wycofać, z przeciwka pomachała w naszą stronę dziewczyna. Wysoka, o ciemnej karnacji, przepiękna. Taka dziewczyna może wystąpić w samym jedwabnym szalu zawiązanym wokół szyi i się nie ośmieszy. Może się ubrać w spodnie do polo albo długi gruby warkocz. Dzisiejszego

wieczoru nosiła krótką beżową sukienkę i wysokie szpilki bez palców. I kierowała się wprost na nas.

- Czy to twoja dziewczyna? - zapytałam.

- Celia? - odpowiedział, machając jej w odpowiedzi wolną ręką. - Taa, to z całą pewnością Celia.

Poczułam, że robi mi się niedobrze. Może nawet bardziej niż trochę i może dlatego dotarł do mnie tylko fragment tego, co Berringer dalej mówił; coś o tym, że właściwie nie wie, czy Celia jest jego dziewczyną. Przecież mieszka prawie pięć tysięcy kilometrów od niego. I co z tego, że bywa w kraju. Ostatnie cztery miesiące spędziła w Manchesterze. I za tydzień znów tam wraca. Między nimi naprawdę panował pełny luz. W ich związku nie było żadnego napięcia.

- Chcę jednak, żebyś z nią porozmawiała - wyjaśniał. - Ona się pasjonuje filmem. Rozmawiałem z nią już o twojej przyszłości. Powiedziała, że jej stary znajomy jest niezależnym producentem filmowym i że mógłby pomóc zrealizować twój dokument, kiedy będzie gotowy. Wiesz, mógłby pomóc przy dystrybucji albo przynajmniej skontaktowałby cię z właściwymi osobami.

Pokiwałam głową, jakbym mówiła: to świetnie, nawet jeśli miałyby to na tym się skończyć. Choćby pomoc miała się sprowadzić jedynie do tego, że wpadłby na pomysł, jak mam ten projekt zakończyć. Ale i tego od niego nie chciałam. A już z całą pewnością żadnej pomocy nie chciałam od niej.

W tej sytuacji zaczęłam zbierać się do odejścia, starając się, żeby wyglądało to naturalnie. Ruszając, wygładziłam suknię i poprawiłam wstążkę na przegubie.

- Wiesz co, właściwie miałam przygotować deser lodowy dla Bess - powiedziałam. - Obiecałam jej, że przyniosę lody karmelowe. Prosiła o dużą porcję. I jeszcze jakieś rzeczy. Tam są jakieś inne dodatki...

Berringer pokazał przeciwny kierunek niż ten, do którego zmierzałam, ten, gdzie znajdował się bar z deserami.

- Zatem udajesz się w niewłaściwą stronę - powiedział tylko. Powiodłam wzrokiem za jego palcem i w tej samej chwili spostrzegłam, że Justin idzie do mnie.

- No tak, czy mógłbyś to zrobić za mnie, Berringer? Przygotujesz jej te lody? Ona siedzi tam - wskazałam na stół, od którego wstałam chwilę temu. - Dodaj dużo sosu karmelowego. I zrób też porcję dla Meryl, dobrze?

Berringer chwycił mnie za ramię. - Zaczekaj chwilkę. Josh cię szuka.

Nie wiedziałam, co mam na to powiedzieć. Akurat teraz zupełnie nie miałam ochoty spotykać się z Joshem, a zwłaszcza słuchać, że nie wie, co ma teraz zrobić. Bardzo chciałam wiedzieć, co robi, ale najwyraźniej była to jedyna rzecz, której nie był w stanie mi powiedzieć.

Kiedy tak milczałam, Berringer rzucił mi niechętnie spojrzenie.

- Emmy - powiedział. - Co ty wyprawiasz? Powinnaś być bardziej pomocna. -

Zaczął wdychać. - Trzeba brać pod uwagę również inne względy, nie tylko własne zdanie na temat tej sytuacji.

- Och, trzeba brać inne względy pod uwagę? Ojej! Jakżeby mogła o tym zapomnieć? - Rzuciłam mu najbardziej nieprzyjazne spojrzenie, na jakie było mnie stać. Berringer ze swoją amazonką. Cholerny zjadacz chrupków. - No cóż, naprawdę ostatni raz byłam aż nadto diabelnie pomocna. I wiesz co? Jeśli uważasz, że możesz zrobić to lepiej, to zrób tak, żeby następnym razem Josh do ciebie zadzwonił, kiedy będzie potrzebował kogoś, kto w przeddzień ślubu pojedzie z nim do Rhode Island na spotkanie z jego dodatkową dziewczyną i jej nastoletnią córką. I zabierz ze sobą Celię. Będzie mogła siedzieć koło kierowcy.

Powiedziawszy to, szykowałam się, żeby odejść jak burza. Tymczasem wcale mi się to nie udało, bo wpadłam wprost na Justina.

- Emmy - powiedział.

Przyglądałam mu się chwilę bez słowa. Miał na szyi jedwabny szalik, którego czerwień przekreślały białe ukośne paski, przez co przypominał kamizelkę ratunkową. Nawet nie dałam mu szansy powiedzieć cześć.

- Może przyjechałeś tu samochodem? - zapytałam. - Zaparkowałeś przed domem na ulicy?

- Tak, stoi na ulicy - potwierdził.

- Zatem chodźmy tam - powiedziałam.

Wzięłam go za rękę i ruszyłam z miejsca, pociągając go za sobą. Nawet się nie odwróciłam, bo doskonale wiedziałam, co tam zobaczę: zdezorientowanego Berringera patrzącego za mną ze złością w taki sam sposób, w jaki patrzyłabym na niego, gdyby starczyło mi odwagi, żeby zostać i dokończyć rozmowę, którą zaczął.

- Nic ci nie jest? - zapytał Justin, kiedy zmierzaliśmy przed dom, ja z przodu, a on kilka kroków za mną, starając się dotrzymać mi kroku.

- Dlaczego miałoby mi coś być? - odpowiedziałam pytaniem.

Zamiast odpowiedzieć, rzucił mi zdziwione spojrzenie. Ale odpuścił mi.

Najwyraźniej odpuścił, bo bez słowa pozwolił mi wsiąść do samochodu. I to tak szybko, jak tylko możliwe, ponieważ z mojego spojrzenia wyczytał, że i tak pojedę, z nim albo bez niego.

Tymczasem w innym miejscu przyjęcia Josh kończył przenosić kolejny karton wina z vana dostawcy do baru. Meryl wciąż siedziała z Bess przy stole, znad którego robiła mu zdjęcie, gdy stawiał karton na ziemi. Jak każdy wytrawny fotograf zawczasu dostrzegła w ciemności to, co następnie chwyciła szeroką soczewką aparatu. Chyba nie było możliwe, żeby uchwyciła desperacki wyraz jego twarzy, ale zaczęło do niej docierać z coraz większą jasnością i coraz większą pewnością, że coś się dzieje, coś poza głównym nurtem wydarzeń. A przede wszystkim docierało do niej, że raczej już się nie da nad tym przejść do porządku.

Wcale nie chciałam znaleźć się sam na sam w samochodzie z Justinem Silvermanem, to jasne. Ale kiedy bezwzględnie potrzebujesz ratunku, nie zawsze możesz mieć wpływ na to, kto cię uratuje. Natomiast oddalając się samochodem od domu, zaczynałam rozumieć, jak bardzo potrzebowałam, żeby mnie ktoś uratował. Staralam się nie patrzeć na Justina, który był zmieszany i nieco oszołomiony. W zawrotnym tempie opowiadał coś o zimach na środkowym zachodzie oraz o egzaminach na pierwszym roku, coś o tym, jak kiedyś dostał w posiadanie bar na krótką chwilę albo w nim przez krótką chwilę pracował, i rozważał, czy go nie przejąć. Dużo gadał o granicy między Illinois a Wsconsin. Jednak nie winiłam za to Justina. To wszystko była moja wina. To przeze mnie siedzieliśmy teraz w samochodzie, a on czuł, że musi mnie zabawiać, podtrzymywać rozmowę w tej dziwnej sytuacji.

Byłam pewna, że nie robił tego z sympatii do mnie. Miało to raczej związek z nim samym, z tym, czego my wszyscy, będąc w wieku stosownym do zawierania małżeństwa, stawaliśmy się świadkami. Wiedzieliśmy, jak może się odnaleźć podczas podobnych weekendów ślubnych kobieta bez partnera, która być może czuje się trochę osamotniona albo po prostu myśli, że jej zamążpójście jest sprawą odległą, rezygnuje z własnych zasad na rzecz większej elastyczności i przyspieszenia. Biorąc pod uwagę sprawę mojego niedoszłego ślubu i rozpaczliwe szaleństwo, z jakim go przywitałam, Justin przypuszczalnie sądził, że w ciągu następnej pół minuty zdoła schwytać szczęście.

- Powinam cię uprzedzić - rzuciłam, kiedy skręcał w lewo w stronę Scarsdale Village - że nie czuję się za dobrze i myślę, że mogę zarażać.

Odwrócił się w moją stronę, jakby chciał powiedzieć coś naprawdę ważnego, coś w rodzaju, że to mu nie przeszkadza, że się tym nie przejmuję. Chciał mnie pocałować. Czułam to. Czułam to, czułam, po trzykroć to czułam. Zanosilo się na dziwną i kłopotliwą sytuację. I co miałam zrobić z tym fantem?

- Jestem pewna, że się nie zarazisz, jeśli będziesz siedział w takiej odległości jak teraz - ciągnęłam. - Ale ryzyko istnieje, więc na wszelki wypadek chcę cię ostrzec. Po prostu chcę być z tobą szczerą.

Po raz pierwszy od czasu kiedy byliśmy sami, zupełnie zamilkł. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem, dopóki nie otworzył się przed nami widok na panoramę miasta. Prawie wszystkie lokale były już zamknięte. Świeciło się tylko w lodziarni Haagen-Dazs i w supermarkecie DeCicco.

- Emmy, czy wiesz, że jestem gejem?

- Co? Jesteś *gejem*? Potwierdził.

- Wolę określenie gejoamerykanin.

W konsternacji potrząsnęłam głową. Chciałam krzyknąć, żeby zwolnił, ale domyślałam się, że już było za późno, żeby zwolnić. Było już za późno na cokolwiek, raczej należało się spieszyć. Zbliżał się ślub Josha, a ceremonia godowa Berringera i Celi miała prawdopodobnie również wkrótce nastąpić, Matt był gdzieś w Nowym Jorku, a Meryl niecierpliwiła się, żeby mi o nim opowiedzieć, tymczasem ja siedziałam w samochodzie z przyjacielem, którego nie widziałam mniej więcej od czasu, kiedy zajmowała nas głównie nauka prowadzenia samochodu. I z nas dwojga to on miał dość odwagi, żeby zdobyć się na szczerłość.

- Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć - mówił dalej. - Nie dlatego, że musiałem ci o tym powiedzieć, ale sam nie wiem... denerwowałem się, że nie wiesz. I też nie dlatego, że tylko to o mnie warto wiedzieć. I właśnie dlatego tyle gadałem. Czy też tak robisz?

- Czy gadam jak najęta, kiedy jestem zdenerwowana? Tak, i jeszcze mam skłonność do wymyślania sobie chorób.

- Dziwnie się czuję, wracając tutaj, gdzie nikt o tym nie wie. To niesamowicie działa, wiesz? Daleko stąd prowadzisz zupełnie odmienne życie, po czym wracasz i udajesz, że to się w ogóle nie liczy. Udaje się, że się wciąż jest tą samą osobą, jaką się było przed wyjazdem stąd.

Pokiwałam głową, bo jeśli cokolwiek z tego rozumiałam, to właśnie to. Udawanie. Justin zdawał się rozumieć, kim był kiedyś i kim jest teraz. Natomiast ja, chociaż mogłam jakoś wyobrazić sobie, kim byłam kiedyś, z przekonującą pewnością nie umiałam powiedzieć, kim jestem obecnie. Czyjaś była narzeczoną, niezdecydowanym filmowcem? Wszystko to było wciąż zbyt określone przez to, kim już nie byłam.

- Domyślałam się, że twoja mama nie wie o tym, co? Bo wydaje mi się, że moja mama razem z twoją wymyśliły, że nas usidlą.

- Taa, cóż, oboje z mamą mamy skłonność do stosowania zasady: nie pytaj, to się nie dowiesz - odparł.

Potrząsnęłam głową.

- Powinnam ją sobie przyswoić.

Objechał parking supermarketu i zatrzymał samochód tuż przed lodziarnią.

- Rzecz w tym, że w Chicago jest facet. Wspaniały facet. Facet, który lada chwila będzie wspaniałym facetem w Nowym Jorku. Przynajmniej takie są plany. Ale nic z tego nie będzie, dopóki im nie powiem. Nie przyjedzie, dopóki wszyscy się nie dowiedzą, jak się sprawy mają.

- Lepiej to zrób, Skippy.

- Słusznie. Powiedz im. *Powiedz im*. Wiem, że zapomniałem o czymś.

Roześmiałam się, przypomniawszy sobie swoją listę spraw do załatwienia: dokończyć dokumentację (czy to w ogóle jest możliwe?), cało i zdrowo przebrnąć przez ten weekend, pomóc Joshowi zaprowadzić porządek w swoim życiu.

Wyłączył silnik.

- Wobec tego teraz, kiedy już wiesz, że nie mam zamiaru cię przelecieć, może zjemy deser bananowo-lodowy? Jeśli nie musisz tam wracać w ciągu najbliższych pięciu minut?

- Zdecydowanie nie muszę nigdzie wracać w ciągu najbliższych pięciu minut - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się do niego.



Odpowiedział mi uśmiechem. A potem otworzył drzwi samochodu i zaczął się śmiać.

- Gejoamerykanin. Czasem mam dość zabawne pomysły, nie uważasz?

- Zaczekaj — chwyciłam go za ramię, powstrzymując przed wyjściem z samochodu.

- Myślę, że mam lepszy pomysł.

Zamknął drzwi i ponownie włączył silnik.

- Doskonale. Powiedz mi tylko, dokąd jedziemy.

- Tędy - powiedziałam, wskazując jedyny kierunek, który mnie interesował.

Spośród około dwudziestu czterech tysięcy sklepów 7-Eleven istniejących w Stanach Zjednoczonych co roku wybierana jest dziesiątka najlepszych z list zbieranych przez centralę, a potem, jak się zdaje, podawana do wiadomości publicznej. A każdego roku mniej więcej piąte miejsce zdobywa 7-Eleven na rogu Popham i Garth, tuż za Scarsdale Village. Częściowo sukces tej właśnie Siódemki wynikał stąd, że uczniowie szkoły średniej w Scarsdale upodobili sobie ten lokal na miejsce spotkań. Każdego weekendowego wieczoru, a również w większość pozostałych, parking przed tym lokalem był wypełniony charakterystycznymi samochodami. Uczniowie palili papierosy, słuchali w samochodach muzyki, siedzieli na maskach. Wiele z tego mnie ominęło, w ogóle wiele mnie ominęło z końcówki mojej szkoły, bo byłam z Mattem.

Woleliśmy chodzić do miejsca, które było tylko nasze. Chodziliśmy do nocnej taniej knajpki na Central Avenue, gdzie mogliśmy zamawiać tanie wino, wręcz najtańsze, w małych buteleczkach, jakie serwują w samolotach. Woleliśmy spędzać czas tylko we dwoje, a nie z moimi przyjaciółmi. Przyjeżdżaliśmy tu nawet wtedy, kiedy przeniosłam się do Nowego Jorku i kiedy zamieszkaliśmy tam razem. Wciąż dzieliliśmy się sześciopakami małych samolotowych buteleczek i dużym gofrem z połową pojemnika syropu. Po prostu siadaliśmy tam i całą noc gadaliśmy o niczym, przez cały czas delikatnie dotykając się udami pod stołem. Całe wieki temu.

- Nie wierzę, że tu jesteśmy - powiedział Justin, minawszy jasną tablicę 7-Eleven, i zaparkował samochód obok starego automatu telefonicznego pod kamienną ścianą.

- To zbyt niesamowite, wiesz? To trochę zbyt niesamowite.

Patrzyłam przez okno i pochłaniałam widok wzrokiem. Wspaniale było znów tu być. Wszystko już zaplanowałam. Zamówimy dwa mrożone napoje, paczkę papierosów Parliament Lights i trochę panierowanych kielbasek. A potem usiądziemy w kącie parkingu, zapalimy papierosy i będziemy udawać, że znów mamy po szesnaście lat.

Poczułam, że już na samą myśl o tym na mojej twarzy rozkwita uśmiech. Pierwszy autentyczny uśmiech tego dnia. Mój dom i wszystko, co się w nim działo, mogło poczekać, już mnie tak nie przygniatało. Ale nie, to nie była prawda. To nie był mój pierwszy uśmiech. Uśmiechałam się przecież dziś rano, kiedy byłam z Grace nad jeziorem, czyż nie? Czy to się jednak naprawdę zdarzyło dziś rano? Wcale nie byłam przekonana, że to możliwe.

- Wesz - odezwał się Justin - naprawdę nie chcę pozbawiać cię złudzeń, bo miło patrzeć, jak jesteś poruszona tym miejscem, ale mój młodszy brat twierdzi, że dzieciaki już wcale tu nie przychodzą. Teraz się chodzi do Golden Horseshoe. Spotykają się na tyłach Seven Woks.

- Koło śmietników? Skinął głową.

- Ktoś tam rozstawił indiański namiot czy coś w tym rodzaju.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć - powiedziałam. — Kogo to interesuje?

Zaczęłam się jednak rozglądać po parkingu. Rzeczywiście, nasz samochód był jedyny. Chociaż mogło być z milion tego powodów. To był świąteczny weekend. I wciąż jeszcze dość wczesna pora.

- Co zrobiłabyś teraz inaczej... Chodzi mi o to, gdyby bogowie sprawili, że miałabyś znów szesnaście lat?

Pokręciłam głową, starając się o tym pomyśleć. Jaka odpowiedź byłaby uczciwa? Czy mogłabym nie skorzystać z okazji, z których skorzystałam? Czy mogłabym wybrać inne?

- Może powinieneś mi teraz podać magiczny napój - powiedziałam - a ja wylądowałabym w świecie sprzed dziesięciu lat, obudziłabym się w swoim łóżku niczym w feralny piątek. Podeszłabym do lustra, żeby spojrzeć na swoją twarz, i zaczęłabym wrzeszczeć.

- Tyle tylko że wyglądasz dziś dokładnie tak samo.

- No, niedokładnie - sprostowałam.

- Dokładnie.

- Tak czy siak... Z całych sił zapragnęłabym, żeby znaleźć się znów tu, z tobą. I żeby wszystko wróciło na swoje zwykłe miejsca.

Resztę powiedziałam tylko do siebie, bo wypowiedziane na głos zabrzmiałoby beznadziejnie głupio. *I nie popełniłabym wtedy żadnych błędów, a wszyscy wciąż by mnie kochali i żyłabym długo i szczęśliwie.* Ale jakimś sposobem musiało to dotrzeć do Justina, bo wziął mnie za rękę i uściśnął. Potem wysiadł z samochodu, obszedł go i pomógł mi wysiąść.

- Wiesz, Everett - powiedział, obejmując mnie ramieniem - zaczynam myśleć, że całkiem nieźle się stało, że zerwaliśmy. Wygląda na to, że coś ci przeszkadza czuć się szczęśliwą.

Pomyślałam o Joshu, o wszystkich kłopotach, w które się sam pakował zawsze z tego samego powodu albo z bardzo podobnych powodów. Pomyślałam o tym, co ma zamiar robić teraz na tyłach domu, co jednak najpewniej nie miało związku ze szczerością ani podejmowaniem decyzji, ani z pożegnaniem.

- Możliwe, że to u nas rodzinne - powiedziałam, obejmując go w pasie. - Ale przynajmniej teraz nie muszę się źle czuć, że mnie rzuciłeś bez wyraźnego powodu.

- Nie, chyba wciąż powinnaś mieć złe samopoczucie. Ta decyzja nie miała nic wspólnego z moimi preferencjami seksualnymi. Naprawdę. To nie miało z tym nic wspólnego.

- A z czym?

- Nie pozwoliłaś się pocałować - powiedział.

Spojrzałam na niego, bo miałam tylko mgliste wspomnienie tego, o czym mówił. Obraz, którego wcale nie byłam pewna, bo mógł być wytworem mojej wyobraźni: Justin stojący przede mną na stopniach i sięgający w górę.

- Nie pamiętasz tego? Cała nasza klasa brała udział w grze polegającej na tym, że trzeba było płacić myto, żeby wejść na lekcje. Peter Peterson stał na bramce, opłatą był pocałunek, a ty zrobiłaś niesamowitą aferę. Powiedziałaś, że wolisz z rzędu dwie lekcje WF-u z panią Gallagher, niż się na to zgodzić. Choćby nawet pocałować mnie w policzek.

Zupełnie nie wiedziałam, o czym mówi. Po głowie kołatało mi się mgliste wspomnienie Petera Petersona ubranego w bluzę Jetsów. Stał w drzwiach klasy ze skrzyżowanymi rękami i z jakiegoś powodu na mnie krzyczał.

- A co się stało z Peterem Petersonem?

- Chyba siedzi w więzieniu - powiedział Justin.

- Uważam, że to sprawiedliwe - stwierdziłam. A potem spojrzałam na Justina. - Przepraszam, że cię nie pocałowałam. Chętnie teraz cię pocałuję.

- Jasne, teraz, kiedy wiesz, że mi nie zależy.

- Nie powiedziałam, że umiem ułatwiać sprawy - odparłam. Nachylił się i wyszeptał mi wprost do ucha:

- Nie zaszkoździłoby, gdybyś trochę nad tym popracowała.

Kiedy weszliśmy do 7-Eleven, pierwsze kroki skierowałam do automatu z mrożonymi napojami w głębi lokalu. W tym samym czasie Justin biegał między półkami i zbierał inne produkty: dwie paczki papierosów i chipsy ziemniaczane, duży worek żujek, cztery puszki napoju winogronowego. Byłam w trakcie napełniania drugiego dużego kubka niebieską mieszanką mrożonego napoju, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Justina.

- Czy to Chicago? - zapytałam.

- Tak, to Chicago - odparł i zrzucił na kupę wszystkie specjały na kontuar automatu do mrożenia. - Weźmiesz to wszystko?

- Nawet więcej. - Uśmiechnęłam się do niego. - Poczekam na ciebie w samochodzie.

- Jesteś pewna? - w pośpiechu zaproponował pomoc. Ale i tak, z telefonem przy uchu, był już w połowie drogi do wyjścia. Dopełniłam kubek, zamknęłam go kopulastym wieczkiem, cały czas taksując wzrokiem nasze zdobycze i zastanawiając się, w jaki sposób zataszczę je do kasy. Wiedziałam, że mogę zrobić dwa podejścia, ale nie chciałam, bo uznałabym to za rodzaj porażki.

Wobec tego manewrowałam objuczona mniej więcej tak: pod każdą pachą paczka papierosów, puszki z napojami i żujki w lewej ręce, kubki z mrożonymi napojami i torba chipsów w drugiej. Wyglądałam jak straszycło albo robot, albo dziwaczna choinka świąteczna, a może nawet jak wszystko to razem wzięte.

I właśnie wtedy podniosłam wzrok i zobaczyłam go.

Po prostu tam stał.

Tuż przy kasie. Oglądał zawartość portfela. Był w dzinsach i pochłapanej farbami koszulce. Matt.

Znów spuściłam wzrok i jeszcze raz go podniosłam, po to tylko, żeby się upewnić. Ale i tak nie miałam wątpliwości. Kupował paczkę papierosów i właśnie wskazywał te, które wybrał. Jeszcze mnie nie zauważył.

- Och, mój Boże - jęknęłam. Przez chwilę nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to na głos. Byłam całkiem pewna, że nie powiedziałam tego na głos. I zaczęłam rozglądać się, szukając dodatkowego wyjścia. Stał między mną i wyjściem. Moją jedyną nadzieją był kontuar automatu do mrożenia, za którym mogłabym się szybko ukryć.

Ale wtedy podniósł wzrok i spojrzał na mnie, może jakoś mnie usłyszał, a ja wciąż stałam w tym samym miejscu. Doskonale widoczna.

Z początku nie wykonał żadnego ruchu. Po prostu bez słowa stał w miejscu.

Zupełnie się nie zmienił; jasne oczy, ciemna cera, dziewczęca talia. Włosy miał wciąż wsunięte za uszy w tym trudnym do określenia pośrednim stanie;

przypominał biznesmena i kierowcę wyścigowego zarazem. To w nim najbardziej lubiłam.

Chciałam być tą, która pierwsza pomacha lub zrobi jakiś gest. Ale nie mogłam.

Byłam zbyt objuczona śmieciowym jedzeniem. Nie miałam wolnej ręki. Nie mogłam nawet wymyślić jakiegoś zgrabnego sposobu pozbycia się ładunku.

- Hej - zawołał do mnie.

- Hej - zawołałam w odpowiedzi, starając się dostosować do jego tonu, do jego intonacji, jakby to mogło w czymś pomóc.

Potem patrzyłam, jak odbiera resztę od kasjerki i wkłada papierosy do kieszeni.

Wdziałam, że nie ma zamiaru krzyczeć ani zrobić sceny, ani nic nieprzyjemnego, ale pomyślałam, naprawdę tak pomyślałam,

że odwróci się i pójdzie prosto do wyjścia. Pomyślałam, że pójdzie prosto do wyjścia, jakby wcale mnie nie znał.

Ale zrobił zupełnie co innego. Podszedł wprost do mnie, delikatnie wyjął mi z rąk wszystkie rzeczy, jedną po drugiej, aż sam wszystkie je trzymał.

- Palisz? - zapytał, wskazując papierosy. Potrząsnęłam głową.

- Tylko dzisiaj. A właściwie już nie.

Nie wyglądał, jakby mi uwierzył. To było jedno z jego dziwactw, jedno z jego żądań. Chociaż sam palił, mnie nigdy nie pozwalał. Chociaż mógł robić rzeczy, które mnie raniły, nigdy nie pozwalał, żebym raniła samą siebie.

Chrząknęłam.

- Właściwie teraz nie palę. Teraz tyle nie palę... to mam na myśli. Pokiwał głową.

- Spotkałem dziś Meryl - powiedział.

- Wiem.

- Powiedziała ci? - zapytał.

- Powiedziała - odparłam.

Ruszyliśmy w stronę kontuaru. Położył tam wszystko i przywołał kasjerkę, która zdążyła już gdzieś się ulotnić. Wyjął portfel, żeby zapłacić. Jakby to do niego należało. Jakbyśmy wciąż byli razem.

Kasjerka podała mu torbę z jedzeniem, a mnie tacę z napojami. Wyszliśmy na zewnątrz i zatrzymaliśmy się przed sklepem. Bałam się, że zacznę płakać. Okropnie się bałam, że zacznę płakać. Ale z całych sił starałam się nie rozplakać. Starałam się nawet nie zacząć płakać. Bo wiedziałam, *wiedziałam*, że jeśli zacznę, nigdy nie przestanę.

- Czy nie powinnaś być właśnie teraz na przyjęciu u swoich starych? - zapytał.

- Tak jakby - odpowiedziałam. Skinął głową.

- A czy nie musisz tam wrócić?

- A chcesz, żebym tam wróciła? - odpowiedziałam pytaniem.

- Co to za pytanie?

Zamknęłam oczy przepelnione łzami. Nie starałam się znów o to poprosić, o to, o co zaczęłam już prosić. Ale okazało się, że nie muszę o nic prosić. Wyciągnął rękę i dotknął mojego prawego policzka. Najpierw zewnętrzną stroną palców, a potem wewnętrzną.

- Zostań - powiedział.

Przez pierwsze kilka tygodni po opuszczeniu Matta wciąż nawiedzał mnie ten sam sen. Matt siedział na stołku w barze kawowym w sąsiedztwie domu swoich rodziców w Maine i pił kawę Dr Pepper. Dużą porcję. I to był cały sen. Nic więcej się w nim nie działo. Nikt z Mattem nie rozmawiał, kawa się nie rozlała, a on sam nie wstawał i nie wychodził. Potrzebowałam trochę czasu, żeby zrozumieć, że ten sen prawdopodobnie nie opuszczał mnie, dlatego że była to jedyna czynność, co do której miałam pewność, że Matt ją wykonuje. Wiedziałam, że wtedy dotarł do swoich rodziców (nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądała scena jego przyjazdu). Wiedziałam również, że najpewniej poszedł do tego baru i zamówił to co zwykle. Co do tego miałam pewność. I musiałam chcieć chwycić się tego, co bez żadnej wątpliwości o nim wiedziałam. To była ostatnia cząstka wiedzy, która czyniła go moim.

Sen wrócił do mnie z całą ostrością po naszym wyjściu z 7-Eleven. Stał się niemal bardziej rzeczywisty, bardziej prawdziwy niż to, co się właśnie działo. Dojście do samochodu, żeby powiedzieć Justinowi, co się stało i że zadzwonię do niego jutro, a potem szybki powrót do czekającego na mnie Matta, to wszystko było jak sen. I to było tak, jakbym nawet o tym nie wiedząc, pozwoliła sobie wcisnąć o jeden drink za dużo. Nagle świat znalazł się za mgłą, a wszystko poruszało się w zwolnionym tempie, kolory wyblakły, a kształty się rozmyły.

Tak czy owak, w tym nieco otępiałym stanie podążałam jednak za Mattem na drugą stronę ulicy do samotnej ławki przed stacją kolejową. Ławkę ustawiono przodem do wspaniałego, ale źle usytuowanego sztucznego wodospadu, którego wody wpadały do rzeki, której nazwy nie pamiętam. Po obu jego stronach ciągnęły się długie rzędy głązów. Miejsce było gęsto zarośnięte drzewami i krzewami.

Tak jakby opuściło się przedmieście i już po kilkuset metrach znalazło w samym środku głuszy.

Usiedliśmy na ławce, pozostawiając między sobą niewielką przestrzeń.

Próbowaliśmy zacząć rozmowę. Wcale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Bardzo mi zależało, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Ale wyglądało na to, że nie ma tematów bezpiecznych. Nie sądziłam, żeby Matt chciał rozmawiać o tym, jak go opuściłam tamtego poranka. Również i ja się bałam o tym rozmawiać. Bałam się, że mnie zdenerwuje i odejdzie, a ja zostanę tu sama, na co zresztą prawdopodobnie zasłużyłam. Ale nie chciałam ukrywać czasu, który minął. Co zatem miałam zamiar mu powiedzieć? Nie chciałam mówić, że wciąż mieszkam w Narragansett. Obawiałam się, że to źle zrozumie. Ale równie mocno obawiałam się, że zrozumie to właściwie.

- Wróciłem do hokeja na lodzie - odezwał Matt. - Gram na północy w Katonah. To jest drużyna wewnętrzzuczelniana. Jeździmy tam rano w każdą sobotę. O dziewiątej. Bramkarzem jest kobieta. Ma na imię Betty Lou. Właśnie skończyła siedemdziesiąt trzy lata.

- I ma się dobrze?

- Jest w stanie mi dokopać. Potrząsnęłam głową.

- Zmyślasz.

- Słowo harcerza - powiedział, podnosząc dłoń.

- Co wobec tego robisz w domu w tę sobotę? Świętujesz urodziny Betty Lou?

- To też - odpowiedział. - I pomagam rodzicom przygotować się do przeprowadzki. - Musiałam mieć wyraz niedowierzania na twarzy, bo ciągnął dalej: - Przenoszą się na stałe do Maine. W każdym razie tam im się bardziej podoba. Zatem... pomagałem malować parter, a teraz chcą, żebym spakował te swoje rzeczy, których nie chcę się pozbyć, i wynoszą się. - Zapalił papierosa i podsunął mi paczkę.

Zaprzeciżyłam, a on zaciągając się, skinął głową. Zrobił to jednak w szczególny sposób. Wydmuchnął dym na bok, tak jak miał w zwyczaju, kiedy się denerwował tym, co miał mi powiedzieć. I dlatego zupełnie nie rozumiem, dlaczego zaskoczyło mnie to, co następnie powiedział.

- Prawdę mówiąc, sam myślę o przeprowadzce - oznajmił. - Mam się przeprowadzić. Mam się przeprowadzić do Paryża.

- Do Paryża? - Przyjrzałam mu się. - We Francji?

- We Francji.



Rozejrzałam się, a potem popatrzyłam wprost na wodospad. Woda wydawała ciężki chlupot, daleko od nas znikając za uskokiem. Nie do wiary. Mógł wymienić jakiegokolwiek inne miejsce na świecie i nie rozbudziłyby we mnie tych wszystkich wspomnień, które teraz do mnie wróciły. Czy mogłam coś poradzić na to, że pomyślałam o naszej wspólnej podróży do Paryża? I o tej podróży, w którą się nie wybraliśmy przez te wszystkie lata naszych zaręczyn?

Chrząknęłam. Matt nienawidził Paryża. A przynajmniej nie przepadał za tym miastem. Jeśli coś nie budziło moich wątpliwości, to właśnie to. Siedząc z nim tego wieczoru, dowiedziałam się pierwszej rzeczy, o której nie chciałam wiedzieć. Teraz ktoś dokonał tego wyboru za niego.

- Co ona robi w Paryżu? - zapytałam. - To twoja dziewczyna?

- Moja dziewczyna?

Ktoś powiedział, że nigdy nie należy zadawać pytania, jeśli się nie jest gotowym na przyjęcie odpowiedzi. Czy to również był joshizm? Wciąż miałam poważne trudności ze słuchaniem.

- Tak.

Uśmiechnął się do mnie.

- Cóż, moją byłą dziewczynę Lily właśnie przeniesiono do paryskiego biura jej firmy - powiedział. - Ona jest doradcą podatkowym.

W tym miejscu przerwał, nie mówiąc reszty. A i tak to usłyszałam. Matt dostał świetną pracę w małej francuskiej firmie architektonicznej, to jego pierwsze zasłużone wolne dni. Zacznie kochać to miasto, wyjaśni mi pewnego dnia, że przedtem zwyczajnie go nie rozumiał, ale teraz będzie wchodził do każdej kafejki, do każdej nawet mało znanej galerii. Będzie przemierzał ulice późnymi wieczorami, znajdzie ukrytą kaplicę przy Champs-Élysées, w której odbywa próby orkiestra symfoniczna - w każdy wtorek o północy przy zawsze pustych przednich ławkach.

Matt zgasił papierosa na ziemi pod ławką i odchrząknął. Gapiłam się na niedopalek. Zanurzał się w mokrej ziemi, wokół pełno było błotnistych kałuży.

- Ale ja mówię o swoim synu - powiedział. - To z jego powodu staram się tam przenieść.

Byłam pewna, że się przestyszałam.

- Co? Potwierdził.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyszeptałam. I nie wiedziałam. W myślach zaczęłam robić obliczenia, zapewne błędne, próbując dopasować daty. W jakim wieku jest jego syn? *Mógłby* być? Dwa lata, jeśli zaczął spotykać się z prawniczką Lily od razu po naszym rozstaniu. Jego syn mógłby mieć dwa lata. - Czy masz jego zdjęcie? Pomacał się po pozbawionej kieszeni koszulce, po pustych kieszeniach džinsów.

- Nie mam przy sobie - powiedział.

Tak czy siak, nie miało to znaczenia. Z tego, co słyszałam, mały chłopiec był teraz dla niego wszystkim. Słodki mały dzieciak. O oczach Matta i cerze Matta. Z nosem, brodą i długimi paluszkami pochodzącymi od kogoś innego. I z czyimiś ustami.

- Ma na imię Nathaniel.

- Po twoim... dziadku?

- Tak naprawdę to po jej ojcu. Jej ojciec miał tak na imię. Zmarł w zeszłym roku, tuż przed urodzeniem się Nata.

Trzymałam dłoń na piersi i patrzyłam na niego. Myślałam, że mnie to zadusi, serce waliło mi jak szalone. Matt był teraz czyimś ojcem. Został czyimś ojcem. W mojej głowie przesuwaly się wszystkie związane z tym obrazy: spaceruje w parku, zmienia pieluszkę, stoi przy dziecinnym łóżeczku. Musi spełniać czyjeś najbardziej podstawowe potrzeby i wiem, że to robi, dając z siebie wszystko. Ale najdziwniejsze było to, że patrzył na mnie z takim niepokojem, z taką troską, jakby to, co mi właśnie oznajmił, nie było sednem sprawy. Jakby jeszcze miał mi coś do powiedzenia.

- Matt, czuję, że powinnam coś powiedzieć, ale to już dla mnie za dużo - wydusiłam z nadzieją, że już się niczego więcej nie dowiem, z nadzieją, że się mylę. - Zaledwie w ciągu pięciu minut przeszliśmy od hokeja na lodzie do Nathaniela.

- Przepraszam cię - powiedział.

- Nie. - Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam jego ramienia. Dotknęłam go po raz pierwszy. - Nie przepraszaj. Myślę, że tak to po prostu jest.

Zanim znów spojrzał mi prosto w oczy, popatrzył w dół na moją dłoń na swoim ramieniu. Podążałam za jego wzrokiem, chcąc coś jeszcze dodać. Ale zanim się zdecydowałam, odezwał się Matt.

- Zatem wybacz mi - powiedział - że przejdę od tego do tego. I pocałował mnie. Po prostu się nachylił i, ot tak, pocałował. To

było zaledwie muśnięcie, omal tego nie zauważyłam. Delikatne i bo-jaźliwe, i lekkie. Nawet nie miałam czasu, żeby zaprotestować, prawie nie miałam czasu, żeby to naprawdę poczuć.

Odsunął się, a ja siedziałam jak skamieniała, z twarzą przy jego twarzy. Nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu.

- Przepraszam - powtórzył.

- Ale za co? - zapytałam, wciąż czując na szyi jego oddech, czując go trochę za blisko.

- Powinnaś wiedzieć za co - powiedział. - Z twojego powodu przyjechałem w ten weekend do domu. Z twojego powodu jestem tutaj. Przeczytałem w gazecie zawiadomienie o ślubie twojego brata i pomyślałem, że pojadę do domu. Nie będę jej szukać, ale przynajmniej będę w domu. A jeśli ją spotkam, przecież muszę ją spotkać, więc jeśli ją spotkam, wtedy wymyślę, w jaki sposób powiedzieć jej to wszystko, co chcę jej powiedzieć.

Czekałam na dalszy ciąg, na to, że powie o tym, co jego zdaniem powinien mi powiedzieć. Ale docierało do mnie tylko to pierwsze zdanie. *Z twojego powodu jestem tutaj.*

Przysunęłam się bliżej.

- Ale to wszystko w myślach brzmiało lepiej - powiedział wtedy. - Kocham Lily. Dała mi Nathaniela. I wcale tego nie żałuję. Ale czy z nią, czy z kimkolwiek, to nie jest to samo. To nie jest to, co nas łączyło - przerwał. - Kiedy wszystko dobrze się układało, było nam z sobą tak dobrze jak z nikim innym. Zgadzasz się ze mną? Wszystko inne wydaje się po prostu... mniej szczerze, takie jakieś inne.

Gorączkowo myślałam, jak na to zareagować. Czułam, że coś powinnam odpowiedzieć, choćby dlatego, że udało mu się powiedzieć coś, co tylko on zdawał się umieć powiedzieć: powiedzieć coś, co pasowało dokładnie do pustego miejsca, które w sobie odnajdowałam.

- Zdaję sobie sprawę, że pod koniec naszego związku odsunąłem się od ciebie. Jestem świadomy, że właściwie przestałem być w nim obecny - mówił. - Ale miałem ten cały koks na głowie i nie mogłem się zdobyć na szczerą rozmowę z tobą. Czasami byłaś trudna. Wiem, to dlatego, że chciałaś, żebym był przy tobie, ale uczucia, które okazywałaś, przestały mieć związek z tym, co rzeczywiście czułaś. Kiwałam głową potakująco, bo wiedziałam, że to prawda. Kiedy dopadał mnie niepokój, zawsze byłam zdezorientowana. W najgorszych chwilach i w najważniejszych sprawach zdawało mi się, że znikam jako osoba. Czyż nie od tego zaczęło się w pewnym sensie całe moje życie? Od wielkiego aktu zniknięcia? Zniknięcia nawet dla samej siebie?

- Matt - odezwałam się - muszę wrócić do tego dnia w motelu. Przepraszam, że odeszłam od ciebie w taki sposób. Nie tak powinnam to zrobić, to jasne. Przyznaję, że to oczywiste. Ale rzecz w tym, że zdałam sobie wtedy sprawę, że jeśli nie zrobię tego dokładnie w tamtej chwili, nigdy już nie będę w stanie się zdecydować. Tak bardzo cię wciąż kochałam i czułam to. I czułam, że ty już mnie nie kochasz. Pokiwałam głową.

- Rozumiem to.

- Naprawdę?

- Nie.

Mówiąc to, uśmiechnął się, ale to był gniewny uśmiech. Potem potrząsnął głową i spuścił wzrok. Patrzył na gałązki na brzegu wody. Wiedziała, że chciałby podnieść jedną z nich, żeby czymś zająć ręce. Wiedziała, że albo to zrobi, albo zapali następnego papierosa. Nachyliłam się i podałam mu jedną z nich.

- A to co? - zapytał. - Gałązka pokoju? Uśmiechnęłam się.

- Możesz to tak przyjąć. Jeśli powiesz mi całą prawdę. - Chrząknęłam, zbierając siły do kolejnego pytania, które cisnęło mi się na usta. - Kim ona jest?

- Kto kim jest? - zapytał w odpowiedzi.

Wzięłam głęboki oddech. Byłam dotąd zbyt przerażona, żeby o to zapytać, zbyt przerażona, żeby choćby pozwolić sobie pomyśleć, że jest o co zapytać. Ale po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich paru dni, już się przestałam bać.

- Kobieta, z którą się związałeś - powiedziałam. - Po naszym rozejściu, jak rozumiem. Czy to jest mama Nathaniela?

W pierwszej chwili milczał, ale po jego oczach poznałam, że się zastanawia, co odpowiedzieć. Wdziałam, że zastanawia się, co powiedzieć, żeby pozostać uczciwym. Odwrócił się ode mnie i patrzył na wodę, dając świadectwo, że nie ma pojęcia, jak to zrobić.

Spróbowałam mu pomóc.

- Czy był jeszcze ktoś? - podrzuciłam. - Czy był ktoś oprócz niej? To znaczy, oprócz Lily?

- Tak, był ktoś jeszcze. Milczałam.

- Nie sądziłem, że o niej wiedziałaś - powiedział. - Nawet po tym, jak mnie opuściłaś, nie myślałem, że wiesz.

- Bo nie wiedziałam - odezwałam się. Gdyby nawet gdzieś w tyle głowy plątała mi się taka myśl i tak bym jej nie dostrzegła, nie pozwoliłabym sobie na to. Aż do teraz, dokładnie do tego weekendu, kiedy wszyscy wokół mnie unikali sygnałów, na które tak naprawdę nie byli jeszcze przygotowani.

Odwrócił się do mnie.

- Nie wiem, co mam ci teraz powiedzieć, żeby to nie zabrzmiało jak wyjęte z poradnika - wydusił z siebie.

Uśmiechnęłam się.

- Ona nie była powodem tego, co się z nami stało. Była zaledwie tego skutkiem? Świetnie to rozumiem.

- Naprawdę?

Potwierdziłam, bo rzeczywiście tak było. Bo skoro wciąż chciał tu ze mną siedzieć, ktoś trzeci zdawał się najmniejszym problemem, przez ten cały czas, który nadszedł potem. Gdyby z kimś był, albo prawie był, albo też gdybym go porzuciła, albo prawie porzuciła, to czy nie najważniejsze byłoby, żebyśmy teraz do siebie

wrócili? Czyż nie byłoby to przynajmniej tak samo ważne jak cała reszta?

- Nie wiem, jak ci mam powiedzieć, że chcę jeszcze raz spróbować...

- Dobrze byłoby wolniej - przerwałam mu. Uśmiechnął się do mnie.

- Wciąż mam twój pierścionek zaręczynowy - powiedział. - Ten sam, który zostawiłaś. Przez cały czas był u moich rodziców.

Zawsze byłam przesadna, jeśli chodzi o pierścionki zaręczynowe, i to się nie zmieniło, kiedy dostałam pierścionek od Matta. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że zamiast być symbolem miłości, pierścionek zaręczynowy przekształca się w rodzaj pokrętej przechwałki, w coś, jak się obawiałam, godnego nagany.

Wiedziałałam, że bardzo Matta kocham, i nie miałam wtedy wątpliwości, że on mnie kocha równie mocno. Uważałam, że nam wcale nie jest potrzebny pierścionek, żeby to potwierdzić.

- Wyobrażałam sobie, że go oddałeś do jubilera - powiedziałam. - Wiedziałeś przecież, że to nie na pierścionku mi najbardziej zależało.

Odrzucił gałązkę daleko, aż do wodospadu. Gałązkę, którą mu dałam. Wpadła do wody z chlupnięciem, a potem zniknęła.

- Wem - odparł. - To dlatego się go nie pozbyłem.

Wybiła równo północ, kiedy Matt podrzucił mnie do domu rodziców. Na ulicy wciąż stało kilka samochodów, ale wszystko wskazywało na to, że firma cateringowa już się całkowicie zwinęła. Większość świateł wewnątrz domu już wygaszono i odjechały oba samochody z kwiatami. Wyglądało na to, przynajmniej z zewnątrz, że przyjęcie zbliża się do końca.

Zostaliśmy przez chwilę w samochodzie. Patrzyliśmy na dom, jakby coś miało ulec zmianie, jakby coś miało się stamtąd ukradkiem wymknąć i zaskoczyć nas albo nam przeszkodzić. Albo może tylko ja to czułam, a Matt czekał na coś zupełnie innego. Ale skoro nic się nie działo, umówiliśmy się na jutrzejszy późny wieczór, o północy, po ślubie i weselu, na kolację na Central Avenue, gdzie się kiedyś spotykaliśmy, bo chcieliśmy jeszcze pogadać. Chcieliśmy kontynuować rozmowę.

Dziś już miałam dość rozmów. Chciałam tylko, żeby Matt znów mnie pocałował. Może pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek innego, ale nie miałam odwagi sama go pocałować. Bałam się tego, co taki pocałunek mógłby zapoczątkować. Wobec tego nie przestawałam gadać. Gadałam pewnie więcej, niż każde z nas mogło to znieść, gadałam, i wyglądało na to, że nie mogłam przestać, tylko o tej jednej rzeczy, zwłaszcza że wciąż nie znałam odpowiedzi.

- Ostatnie pytanie - powiedziałam. - Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale... jaka ona była?

- Kto?

Milczałam, czekałam, aż sam się domyśli.

Rozejrzał się po ulicy, a ja podążałam za jego wzrokiem, za jego sposobem widzenia tej sprawy. Kiedy po raz pierwszy odwiózł mnie do domu, siedział tu przez długi czas po moim wejściu do środka.

O czym wtedy myślał? Raczej nie o tym, że ten dzień stał się dla niego tak nieznośny, że szukał kogoś jeszcze, żeby wszystko uprościć. Uprościć i skomplikować, i znaleźć drogę wyjścia.

- Nie pytam o powód - wyjaśniłam. - Nie jestem masochistką. Po prostu staram się zrozumieć.

- Zrozumieć co?

Nie byłam gotowa, żeby mu odpowiedzieć. Nie byłam przygotowana, żeby mu opowiedzieć o tym, co przydarzyło się Joshowi. Za żadne skarby świata nie chciałam zajmować się Joshem, ale wyglądało na to, że będę musiała, dopóki nie znajdę sposobu, żeby to rozwikłać.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że rzeczywiście trochę cię przypominała. Była zwariowana i pełna wdzięku, i naprawdę mądra. Cóż, może nie miała tyle wdzięku co ty.

- Wielkie dzięki.

- Nie, była po prostu osobą, z którą dobrze się czułem. Najlepiej jednak pamiętam, że miała taką dziwną obsesję, że nie mogła położyć się spać, jeśli wskazówki zegara nie wskazywały konkretnych cyfr. Lubilem to w niej nie bez powodu. Lubilem wraz z nią czekać, aż minie ten niewłaściwy czas.

- No dobra, koniec z żartami - powiedziałam. - To nie był dobry pomysł. To nie było mądre zagranie.

Położył dłonie na kierownicy, odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie, spojrzał mi w oczy.

- Rzecz w tym, że to była pomyłka. I nie mówię tego, żeby być miłym. Jedyne powód, dla którego to mówię, to chęć powiedzenia prawdy. Od tamtej pory bardzo dużo o tym myślałem. I zawsze żałowałem, że zdradziłem nasz związek. To były najlepsze czasy. Rozumiem, że to się teraz nie bardzo liczy. Ale bez względu na to, na jakie pytanie szukałbym odpowiedzi, Em, związek z nią nie zmienił tego, co najważniejsze, tego, że cię kochałem.

Zacząłabym się śmiać, gdyby nie fakt, że to wcale nie było śmieszne. Zacząłabym się śmiać właśnie w tym momencie, bo tak zdecydo-

wanie długiego przemówienia nigdy jeszcze Matt do mnie nie skierował. Ciekawe, jak to wszystko działa? Dlaczego umiemy powiedzieć sobie tak wiele, kiedy słowa nie są już tak ważne? Spuściłam wzrok i popatrzyłam na swoje dłonie.

- Chodzi o to, że moim zdaniem Josh jest na najlepszej drodze, żeby zrujnować sobie życie, a ja po prostu nie wiem, jak mu pomóc.

- Życie z Meryl?

- I z Elizabeth.

- I z Elizabeth. - Pokiwał głową, przyjmując ten fakt do wiadomości. - Ojej. Cóż, sam nie wiem. Ale może to nie twoja sprawa i nie ty musisz się o to martwić.

- Czuję, jakby była moja.

- Nie rozumiem tego. Ale może poczujesz się lepiej, jak ci powiem, że prawdopodobnie on już podjął decyzję i wie, co zrobi. Chodzi mi o to, że biorąc je obie pod uwagę, wie, co zrobi, nawet jeśli jeszcze tego nie powiedział głośno. Wie, jaką drogę musi wybrać. I pewnie już się zastanawia, jak sobie z tym poradzi.

Uważnie mu się przyjrzałam.

- A ty wiedziałeś? Powoli kiwnął głową.

- Chciałem się z tobą ożenić - powiedział. - Nie miałem żadnych wątpliwości. I to właśnie miałem zamiar zrobić.

Nie zareagowałam, choć poczułam niewiarygodną ulgę, słuchając tego, co mówił. A zaraz potem, niemal jednocześnie, niewiarygodny smutek. Jakie ma znaczenie, jak się do tego doszło, jeśli sprawy w końcu się dotarły? Czyż w ostatecznym rachunku nie liczy się najbardziej, że się osiągnęło to, czego się chciało?

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? Dokładnie przed tym weekendem, kiedy wyjeżdżaliśmy do Maine, przed ostatnim weekendem powiedziałem jej, że z nami koniec, na dobre.

Starłam się przyjąć do wiadomości, że wygląda na to, że wtedy, w tamten weekend, tej nocy w pokoju hotelowym, zrobiłam to, co zrobiłam dokładnie na chwilę przed jego powrotem do mnie. Ale czy rzeczywiście tak by się stało, gdybym mu na to pozwoliła? Nie



wydawało mi się możliwe i wydawało się całkiem możliwe, że powinnam poczekać jeszcze tylko jedną noc.

- Cóż, wydaje się, że to jest w tym wszystkim najbardziej niesprawiedliwe - powiedziałam.

- Dla kogo?

- Dla wszystkich.

Uśmiechnął się, ja również się uśmiechnęłam. Miałam dziwne uczucie, kiedy to zrobiłam, przebłysk przypomnienia, w jaki sposób na mnie patrzył wtedy, jakbym się bardzo starała zatrzymać ten obraz, wdrukować go, zamknąć w sobie. A potem mocno się pochyliłam, sięgając do stacyjki, i ponownie uruchomiłam silnik.

- I to wszystko? - zapytał. - Skończyłaś ze mną? Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Na dziś - dodałam, mimo że jakaś część mnie myślała: Nigdy. Nigdy z tobą nie skończę, Matt. Nigdy nie będę w stanie pomyśleć o tobie, słuchać o tobie bez ogromnej, ogromnej tęsknoty za tobą.

- Ale przynajmniej to przemyślisz, dobrze, Emmy? To, o czym rozmawialiśmy. Poważnie się nad tym zastanowisz? - prosił.

W jego oczach widziałam rozpacz, której nigdy przedtem w nich nie widziałam.

Zastanawiałam się, co go spotkało przez minione trzy lata, że to uczucie znalazło do niego dostęp. Albo jeśli to ja byłam tego przyczyną, czy sprawiło to moje odejście?

Nie mogłam nic na to poradzić, że jakaś mała część mnie nie przestawała myśleć, że siedzimy tu teraz razem, a on był *teraz* tego pewny, dlatego że od niego odeszłam.

Chciał mnie odzyskać i sądził, że to jest jeszcze możliwe. Miałam nadzieję, że to nieprawda, a przynajmniej niecała prawda. Miałam bowiem nadzieję, że się mylę, sądząc, że może zniknąć, gdy mu powiem tak, bo wtedy on byłby tym, który podejmuje decyzję, kiedy już niczego nie potrzebuje.

- Przemyślę to, oczywiście - odpowiedziałam.

A potem po raz pierwszy od długiego czasu zrobiłam to, na co miałam ochotę.

Nachyliłam się i pocałowałam go. To ja go pocałowałam tym razem. Pocałunek był dłuższy niż poprzedni i taki, o jaki mi chodziło. Jego usta smakowały inaczej niż kiedyś, ale w jednej chwili zrozumiałam, że to wrażenie się nie utrzyma. Gdybym jednak

pozwoliła, w jednej chwili jego usta znów smakowałyby tak samo jak kiedyś.  
Wysiadłam z samochodu i wsunęłam twarz w okno po stronie pasażera.

Matt również przechylił się do okna i za nie chwycił.

- Zadzwoń do mnie, gdybyś się miała spóźnić albo gdyby coś ci wypadło? -  
zapytał. - Nie daj mi czekać, dobrze?

- Dobrze - powiedziałam. Nachyliłam się jeszcze bardziej, zbliżając się do jego  
dłoni na oknie. - Przyjdę.

Zgodnie z jednym z przesądów dotyczących ślubu, z którym zresztą zetknęłam się już podczas swojego narzeczeństwa, państwo młodzi nie mogą się widzieć od północy dnia poprzedzającego ślub. To Matt przedstawił mi związaną z tym przesądem historię. Sądziłam, że przyniósł mi tę informację, żeby mnie łatwiej przekonać do pomysłu urządzenia wieczoru kawalerskiego w przeddzień ślubu. Podobno jednak powodem, dla którego młodzi powinni być oddzielnie w przeddzień ślubu, jest to, że tej właśnie nocy panna młoda przestaje być dziewczyną. Zgodnie ze zwyczajem starożytni Grecy odbierali tego wieczoru pannie młodej wszystkie zabawki i dotąd posiadane przedmioty, a nawet obcinali jej włosy, jeśli miała długie, pozbawiając ją wszystkiego, co nie miało jej być potrzebne w przyszłym życiu w roli czyjejś żony. A czym miał się w tym czasie zajmować przyszły pan młody? Wszystkim, na co miał tylko ochotę.

I właśnie tym był zajęty Josh. Siedział sam jeden w namiocie opustoszałym już po kolacji. Kelnerzy, goście, członkowie naszej rodziny, wszyscy już się rozeszli. Josh siedział tam, przy jednym z niewy-niesionych stołów, wciąż przykrytym obrusem, z jedną samotnie palącą się świecą pośrodku.

Ruszyłam w jego kierunku. Opuścił wzrok i patrzył na zegarek. Nie podniósł oczu, nawet kiedy się do niego zbliżyłam.

- Dwunasta dwie - odezwał się, dotykając cyferblatu ze wzrokiem wciąż utkwionym w swoim przegubie. - Dwunasta dwie. I... dziewiętnaście sekund.
- Formalnie dzień twojego ślubu - przypomniałam.

- Formalnie dzień mojego ślubu - powtórzył. Spojrzał na mnie i spróbował posłać mi uśmiech. Nie była to udana próba.

Ostrożnie usiadłam naprzeciwko niego. Ostrożnie nie dlatego, że bałam się, że każe mi odejść; właśnie zaczęłam sobie uświadamiać, że jest wiele różnych sposobów, żeby z kimś zostać. I w zależności od tego, co zrobię, Josh może mi powiedzieć wszystko albo możemy znów dojść donikąd.

- Ominęła cię mowa rodziców Meryl - przerwał milczenie po kilku minutach. - Mówili o wzajemnym zaangażowaniu. Mówili o tym, że byli go świadomi od pierwszego naszego spotkania. O tym, co czuli wobec mnie. Uważają, że jestem kimś, kto postępuje w sposób prawy. Uważają, że jestem kimś, kto nigdy nie opuści ich córki.

- Żałuję, że wyszłam - powiedziałam. Potrząsnął głową.

- Czuję się, jakby jej ojciec rzucał mi wyzwanie. Przysięgam na Boga, że to tak wyglądało.

- Jestem pewna, że wcale nie o to mu chodziło, Josh - zauważyłam.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Bo wyobrażam sobie, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że to mogłoby być potrzebne. - Popatrzył na mnie, ale nie odezwał się ani słowem. Chrząknęłam. - Czy to wszystko lepiej ci się poukładało? Czy usiadłeś i porozmawiałeś z Meryl?

Josh przysunął do siebie płonąca świecę i zaczął przeciągać palcami po jej brzegach, do i od płomienia.

- Wróciła do miasta, zanim zdążyłem to zrobić.

Powiedział to tak miękko, że w pierwszej chwili pomyślałam, że go źle zrozumiałam. Ale w głębi duszy wiedziałam, że zrozumiałam go dobrze.

Poczułam, że coś we mnie wzbiera, i starałam się to powstrzymać. To był zwariowany wieczór. Starałam się to zrozumieć. Josh mógł jeszcze jutro porozmawiać z Meryl. Ale wydawało mi się ważne, żeby z nią porozmawiał, bez względu na to, co miałby jej powiedzieć. Musiałam tylko zapytać samą siebie:

Dlaczego tak mi zależy,

żeby z nią porozmawiał? Czy tylko dlatego, że uważałam, że powinien zawsze być uczciwy? A może było jeszcze coś? Czy po dzisiejszym dniu przynajmniej jakaś część mnie nie poczuła więzi z Elizabeth? A z Grace? Z Joshem, jakim go widziałam przy nich obu?

- Wpadłam na Matta dziś wieczór - powiedziałam. Josh podniósł wzrok.

- Co?

- Kiedy Metyl powiedziała, że na niego wpadła, tak samo założyłam, że to było w Nowym Jorku. - Wzruszyłam ramionami. - A to było tutaj. Wpadła na niego tutaj. I pewnie cię zaskoczę, on ma dziecko, trzynastomiesięcznego syna. Dasz wiarę? Matt jest ojcem.

Josh nic nie powiedział, ale zbyt szybko opuścił wzrok. Znow zaczął się zajmować świecą, robiąc kulki z rozgrzanego wosku.

- Nic o tym nie wiedziałeś, prawda?

Znow podniósł na mnie wzrok, a jego oczy potwierdzały odpowiedź, zanim jeszcze wypowiedział ją na głos. Poczułam, że się zapadam, całkowicie zapadam się w sobie. Wiedział. Wiedział coś tak ważnego o Matcie i nie czuł potrzeby, żeby mi o tym powiedzieć? Poczułam, że wszystko minęło, również moja zdolność znoszenia tego wszystkiego.

- Coś o tym słyszałem, będąc w Nowym Jorku kilka miesięcy temu na przyjęciu z okazji naszych zaręczyn. Ktoś słyszał coś od kogoś, kto powiedział, że dowiedział się od jego matki. Albo coś w tym rodzaju. No nie wiem. Ale nie byłem pewien na sto procent i nie chciałem cię denerwować, dopóki się nie przekonam, jak jest naprawdę.

- Nie, widzę, że tak jest znacznie lepiej. Jestem znacznie bardziej zadowolona, że dowiedziałam się o tym w ten sposób. Naprawdę.

- Przepraszam cię - powiedział.

Ale jego słowa nic już dla mnie nie znaczyły. Nie po tym wszystkim, w co się pakowałam przez cały weekend. Czułam, że opanowuje mnie prawdziwa złość. Nie wiedziałam, jak ją powstrzymać. Nie wiedziałam, jak zatrzymać to, co miało się zdarzyć.

Odsunęłam świecę od Josha. To było głupie, ale tylko na to było mnie stać w tym momencie. Zabrałam więc ją i postawiłam przed sobą, żeby nie mógł znow po nią sięgnąć.

Spojrzał na swoje puste dłonie, a potem na mnie.

- Emmy, naprawdę nie mogę teraz tego zrobić, rozumiesz? Możemy jutro coś z tym zrobić, jeśli ci zależy. Jeśli ciągle będziesz tego chciała. Albo... sam nie wiem. Po prostu nie mogę teraz o tym rozmawiać.

- Cóż, na tym polega cały problem, prawda, Josh? - zapytałam. - Jesteś całkowicie niezdolny do rozmawiania o czymkolwiek. Ponieważ uważasz, że to, co powiesz na głos, stanie się zbyt prawdziwe.

Na moich oczach wyraz jego twarzy odbijający politowanie zmieniał się w coś mi bliższego, coś, w czym również ujawniał się gniew.

- Dlaczego? - zapytał. - Czy dlatego, że nie powiedziałem ci o Matcie od razu, kiedy się dowiedziałem? Zanim wiedziałem, że to jest prawda? On nie należy już przecież do twojego życia.

Nie należy już do mojego życia. Kiedy brat Matta skończył trzy lata, zabraliśmy go na obiad na mieście: była pizza i deser lodowy oraz napoje gazowane bez ograniczeń. Rozstawiliśmy w salonie namiot Supermana i pozwoliliśmy mu do późnego wieczoru w nim się bawić i oglądać ulubione kreskówki. Kiedy w końcu padł i zasnął, leżąc w śpiworze między mną i Mattem, Matt odwrócił się i powiedział: „Czyż to nie cudowne? Będziesz go znała przez całe jego życie”. Całe moje życie. Dziś wieczorem znów mi je zaproponował.

Odwróciłam się od Josha.

- Nawet nie wiesz, o czym mówisz - powiedziałam.

- Naprawdę? Wem, jak długo to już trwa. Wiem, że rozmawiasz z żonami rybaków, żeby ci powiedziały, jak to zrobić.

- Żeby mi powiedziały, jak co zrobić?

- Znosić długie wyczekiwanie. Wyczekiwanie, aż Matt wróci. Spojrzał na mnie tak przenikliwie, że mogłam tylko oddać mu

spojrzenie, próbować nie oddać mu pola. Ale palące pragnienie, żeby powiedzieć, że Matt w pewnym sensie wrócił do mnie, sprawiło, że zastanowiłam się, czy o tym nie wie. Sprawilo, że się zastanowiłam, czego jeszcze nie wiedziałam o własnym życiu. A czego tak naprawdę w ogóle nie chciałam wiedzieć.

- Nawet nie starasz się zrozumieć - powiedział - przez co muszę teraz przechodzić.

- Może to prawda - odparłam.

Może się nie staram. Z pewnością nie chciałam wdawać się w to, co Berringer mi wcześniej zarzucił, mówiąc, że nie wspieram Josha. Ledwie jednak Josh powiedział, że nie staram się go zrozumieć, w uszach zadźwięczał mi głos Berringera. Nie chciałam rozmawiać ani nawet myśleć o tym, jak bardzo poruszyło mnie zdanie Berringera. A już z pewnością nie chciałam myśleć o tym, jak przykro było mi patrzeć na niego w towarzystwie Celi. Było również prawdą, że czułam, że przestaję starać się zrozumieć, co robi Josh, ponieważ nie *robił* nic. Nie przestawał się tylko martwić o to wszystko, czekając, aż decyzja zostanie podjęta za niego, aż przejdzie po ślubnym dywanie i pozwoli, żeby ktoś mu dyktował, jak ma pokierować swoim życiem. Teraz spostrzegałam, że to nie byłaby kwestia podjęcia decyzji. To byłaby sprawa pójścia drogą najmniejszego oporu, a to jest całkowicie co innego.

- Po prostu jesteś na mnie zła, Emmy - powiedział Josh, źle odczytując wyraz mojej twarzy. - Nawet nie chcesz dostrzec, że się zupełnie pogubiłem. Pogubiłem się i nie wiem, jak mam postąpić, żeby postąpić słusznie. Czy w ogóle nie możesz tego zrozumieć?

Potrząsnęłam głową. Jak mam mu powiedzieć, co naprawdę myślę? Jak mu powiedzieć, że w głębi duszy dokładnie wie, jak to należy rozegrać? Wie dokładnie, a jednak wciąż robi to, co i tak chciał robić. Każdego zadowolę, każdemu dawać nadzieję.

Ale ma ożenić się z Meryl. Albo zrobić coś innego. Już dawno mógł to zrobić. Nie wyobrażam sobie mniej przyzwoitej i gorszej drogi niż ta, którą kroczy.

- Nie rozumiem, Josh - powiedziałam - co w tobie jest wspaniałego? Co jest w tobie tak wspaniałe, że obie te kobiety chciałyby z tobą zostać, bez względu na to, jak się zachowasz? Co czyni z ciebie kogoś tak szczególnego?

Nachylił się do mnie i przez chwilę byłam niemal pewna, że ma zamiar zrzucić świecę ze stołu. Mój brat, który nigdy inaczej niż w żartach nawet mnie nie poklepał, wydorosłał. Ale nie dotknął świecy, tylko po prostu się do mnie nachylał.

- Chcesz poznać sekret? Nie ma we mnie nic szczególnego - powiedział - co by obie odkryły. Jeszcze nie zrobiłem nic takiego, czym zasłużyłbym sobie choćby na jedną z nich.

Również się do niego nachyliłam.

- To dlaczego teraz tego nie zrobisz?

Josh nie przestawał na mnie patrzeć, ale nic nie mówił. Nie powiedział, że mam rację, że nie poślubi jutro Meryl albo że załatwi wszystko z Elizabeth i Grace. Nie powiedział mi, że czasami miłość musi znaleźć się na drugim miejscu, po odpowiedzialności, wyłącznie dlatego, że ludzie zbyt się obawiają zostawić coś własnemu biegowi. Dlatego sprawia im trudność nawet myślenie o tym, co zrobić, żeby zachować się przyzwoicie.

Tego wszystkiego mi nie powiedział, w ogóle nic nie powiedział, po części dlatego, że zanim to było możliwe, nagle z cienia wyłonił się profesor Moynihan-Richards. Niósł paczkę z jedynej czynnej całą dobę apteki w całym mieście. Wciąż miał na sobie odświętny garnitur.

Josh wstał z krzesła i wygładził krawat, jakby to stanowiło najważniejszy w tej chwili problem. - Profesorze Richards - powiedział - nie miałem pojęcia, że pan tu jest.

- Bez wątplenia - odpowiedział Richards i odszedł.

Patrzyłam na Josha z niedowierzaniem. Zwrócony był w kierunku, gdzie powinien znajdować się właśnie ojciec Meryl. Rozumiałam, że się zastanawia, czy udać się za nim. Ale gdyby to zrobił, co by mu powiedział? Co tu było do powiedzenia, gdyby nawet udało mu się go złapać i jakoś przekonać, żeby go wysłuchał? *Szczerze kocham pańską córkę, ale nie mam pewności, czy to ona jest osobą, z którą powinienem spędzić resztę życia.*

- Josh - odezwałam się. - Nie miałam pojęcia, że on tu stoi. Nie sądzisz chyba, że nas słyszał, co?

- Kiedy na mnie krzyczałaś? Hm... taa. Myślę, że to mógł usłyszeć.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrzyłam, jak z powrotem siada na krzesło, ściągając do siebie obrus. Stracił na ziemię świecę i resztę kwiatów. Stracił na ziemię porzucony widelec i nawilżone serwetki.



- Cholernie fajnie. Nachyliłam się przez stół do niego.
- Posłuchaj mnie, dobra? On nie mógł się domyślić, o czym rozmawiamy. Chyba nie. Powinieneś jakoś się przygotować, gdyby się okazało, że się jednak zorientował, w czym rzecz.

Niby na mnie patrzył, ale wyglądał, jakby mnie wcale nie widział, jakby próbował się dowiedzieć, kim w istocie jestem. Nigdy przedtem tak na mnie nie patrzył. To spojrzenie mnie przerażało.

- Widzisz, Emmy - powiedział - nie mam teraz ochoty na twoje towarzystwo.
- Cóż, ja też nie mam wielkiej ochoty na twoje towarzystwo - odparłam, a mówiąc to, podniosłam się z krzesła.

I zostawiłam go tam. Chyba po raz pierwszy w życiu zostawiłam tak swojego brata. Wedziałam, że dalej będzie siedział w ogrodzie za domem naszych rodziców, w namiocie opuszczonym przez wszystkich po uroczystej kolacji, będzie siedział przy czerwonym stole ze skotłowanym na nim obrusem w poczuciu kompletnej bezradności.

Wedziałam, że profesor Moynihan-Richards wciąż przebywał gdzieś na zewnątrz, gdzieś w cieniu, albo był w drodze do pokoju gościnnego na dole, gdzie podzieli się z żoną nowinami. Wedziałam, że w ciągu minuty lub dwóch Josh zacznie płakać. Nie odwróciłam się.

## **Część czwarta**

Może nie mam racji, ale śluby i wesela kojarzą mi się z nastrojem szczególnego świątecznego podniecenia, a w powietrzu czuję jakąś wszechogarniającą woń, która nieco przypomina zapach świąt Bożego Narodzenia albo dni obfitych opadów śniegu. Kiedy śnieg pada bez przerwy przez dwa dni, a ma się, powiedzmy, dziesięć lat, nawet w domu wszystko wydaje się otulone i ukryte pod białym puchem, a trzeszczące w kuchni radio ogłasza coraz to nowe wiadomości, które zdają się przerastać dziecięce wyobrażenia. Niemal nie jesteś w stanie w nie uwierzyć. Mimo to trochę instynktownie na nie czekasz.

Trzy najszczęśliwsze wśród badanych przeze mnie żon, Nancy nr 1, Josie nr 3 i Jill nr 4, przyznały bez wyjątku, że podczas ślubu i wesela również przeżywały coś podobnego. Nawet Kristie nr 2, która była właśnie w trakcie rozvodu, uśmiechała się na wspomnienie poczucia pewności, które jej towarzyszyło w dniu ślubu.

- Braлиśmy ślub w mieszkaniu przyjaciela Pete'a, na Block Island - opowiadała - i nawet teraz nie mam żadnych wątpliwości, że nie mogłam wtedy postąpić inaczej, że powinnam zostać jego żoną.

Otwierając rano oczy w dniu ślubu Meryl i Josha, poczułam dokładnie to samo. Miałam świadomość, że to jest właśnie dzień ich ślubu, a to, że ten ślub się odbędzie (co miało znaczyć, że powinien się odbyć), jest najzupełniej oczywiste. Zatem wszystko potoczy się tak, jak zostało wcześniej zaplanowane. Zdziwiła mnie bardzo ta moja pewność.

A jednak w pierwszej po obudzeniu minucie pozornej szczeroci uwierzyłam, że to poczucie święta coś scementowało, że wszystkie

moje wcześniejsze wątpliwości co do ich małżeństwa okazały się nieuzasadnione. W tej pierwszej minucie zdarzenia poprzedniego dnia jakby traciły na znaczeniu. Wszystkie one, a także farma, Elizabeth i nawet Grace, zdały się snem. Może mi się tylko przyśniły? Bo dzisiaj, zaraz, Josh i Meryl wezmą ślub. Tego byłam pewna. Tak było to dla mnie oczywiste, że nawet nie chciałam myśleć o niczym innym. Od piątkowego wieczoru, kiedy razem z Joshem oglądaliśmy świąteczne fajerwerki, po raz pierwszy wydało mi się, że decyzja o ich małżeństwie jest właściwa. Być może wszystkie wątpliwości ulotniły się, znikły pod wpływem wagi zdarzenia, które miało nastąpić.

Potem, jakby mimochodem, odkryłam, że coś mi dokucza. Poczułam ściskanie w żołądku. I wtedy wszystko sobie przypomniałam. A właściwie mój żołądek mi o tym przypominał. Matt. Spotkanie z Mattem. My dwoje siedzący nad wodą. I to, co sobie powiedzieliśmy.

Przeciągnęłam palcem po górnej wardze, przywołując wspomnienie wczorajszego pocałunku, tym razem bardziej świadomie szukając w tej scenie jakiejś wskazówki. Niedotyczącej tego, co powinnam zrobić, o tym wciąż nie byłam zdolna nawet myśleć, ale tego, co się między nami dokonało. Czy Matt był mi teraz obcy? Czy przypominał tego Matta, którego obraz przechowywałam w swojej głowie i sercu przez ostatnie lata? Do którego jego wcielenia byłam naprawdę przywiązana? Wcale nie miałam pewności, że jestem zdolna sformułować coś na kształt odpowiedzi. Z całą wyrazistością uświadamiałam sobie jedynie, że powrót Matta w niczym nie przypominał moich o tym wyobrażeń. Spodziewałam się po prostu uczucia ulgi. A to było coś więcej, to było znacznie bardziej złożone uczucie, ale zarazem mniej konkretne. I do końca nie rozumiałam, co kierowało Mattem, co było źródłem jego postanowienia, żebyśmy znów spróbowali. Jednak jakąś częścią siebie wciąż go znałam, znałam go i rozumiałam na tyle, żeby wiedzieć, że w naszym związku odczuwał również zwyczajny strach, chociaż powiedział, że nigdy już nie był równie szczęśliwy jak wtedy. Bo strach dostrzegłam w jego oczach. Bał się jechać do Paryża i bał się samodzielnie zrobić kolejny poważny krok, a przecież mógł być pewny, że nie zawróciłabym go z drogi. Co takiego się zdarzyło, że Paryż przestał napawać go lękiem?

Skąd miał mieć pewność, że to ze mną chce być i że inne sprawy oraz inni ludzie nie staną się znów dla niego ważniejsze? Czy znów kiedyś mogłabym poczuć, jak ulatnia się jego miłość?

Wstałam z łóżka i skierowałam się wprost do pokoju Josha, ale go tam nie zastałam. Łóżko było zaścielone, a okno szeroko otwarte. Jeśli nawet spał u siebie, to już dawno wstał i wyszedł.

Przetarłam oczy, starając się dobudzić, i podeszłam do okna. Ogród tonął w słońcu. Gorąca, ciemna ziemia, wszystko zabarwione czerwienią. Nie było jeszcze dziewiątej, a z nieba lał się żar. Nie potrzebowałam włączać radia, żeby wiedzieć, co tam mówią. Atakuje nas fala dotkliwych letnich upałów. Upał, który jest nieznosny, będzie coraz dokuczliwszy. Zostańcie w domach i nie opuszczajcie ich bez wyraźnej potrzeby. Włączcie klimatyzację i pozostańcie w domach, dopóki nie minie kryzys. To dało mi nadzieję.

Ślub wyznaczono na czwartą po południu, ale w domu już panował związany z nim ruch. Słyszałam krzątającą się na dole matkę, skwierczące kielbaski, dzwoniący telefon. Zeszłam na dół do kuchni, gdzie zastałam matkę przy kuchennej płycie z dwiema wielkimi michami ciasta na racuchy, do którego wmieszała banany i dodawała świeżych jagód.

- Nawet mi nie mów, że nikt tego nie zje - odezwała się, kiedy usiadłam na stołku, opierając łokcie na bufecie.

- Ja mam zamiar to jeść - odparłam.

Odwróciła się z łąpatką w dłoni i popatrzyła na mnie.

- Kocham cię - powiedziała. - Idź włożyć jakieś skarpety.

- Na dworze jest tysiąc stopni - zauważyłam.

- Nic mnie to nie obchodzi. Choroba zawsze wchodzi przez stopy. Odłożyła łąpatkę i sięgnęła do szafki nad zlewem. Wyjęła parę czystych, białych skarpetek tenisowych w plastikowym opakowaniu. Ktoś mógłby pomyśleć, że to miał być żart z jej strony, ale nie był. Patrzyła na mnie błagalnie, dopóki nie wzięłam od niej skarpetek. Wtedy wróciła do swoich racuchów i zaczęła je smażyć.

- Słyszałaś kiedyś, żeby do smażenia używać masła orzechowego zamiast oleju? To naprawdę dobre. Daje taki słodkawy smak.

- Czy mogłabyś przynajmniej dzisiaj darować sobie to głupie gadanie? - zapytała, nawet się nie odwracając, a jedynie ponaglając mnie łopatką, żebym odziała gołe stopy.

Posłusznie zrobiłam, co mi kazała, i włożyłam pierwszą skarpetkę.

- Zatem - odezwała się - ktoś wyszedł wczoraj z kolacji trochę wcześniej, prawda? Powiedz mi, czy lubimy pana Silvermana?

- *Oboje* byliśmy zbyt zajęci czym innym, bo wpadliśmy na Matta.

Odwróciła się i spojrzała na mnie uważnie.

- Naprawdę? Kiwnęłam głową.

- Wczoraj wieczorem w 7-Eleven - dodałam. - Gdzieś przy maszynie z mrożonymi napojami. Chciałam się schować, ale sama wiesz, mam raczej spóźniony refleks w takich sytuacjach.

Przechyliła się nad bufetem i dotknęła mojej dłoni. Nietypowo dla siebie nic nie powiedziała, za co byłam jej wdzięczna. Gdyby bowiem zadała choć jedno pytanie, musiałabym powiedzieć o jego synu. Musiałabym powiedzieć, że moje serce wciąż się ściska na widok Matta i że mam się z nim spotkać dziś wieczorem. Jeszcze raz przez to przejść dziś wieczorem. Musiałabym jej opowiedzieć wszystko, z czym wciąż jeszcze nie zaczęłam się nawet oswajać.

- Za kilka tygodni przenosi się do Paryża - rzuciłam zamiast tego wszystkiego. - Szuka tam teraz pracy.

Pełne niepokoju zmrużone oczy ponownie na mnie spoczęły. To było spojrzenie zarezerwowane wyłącznie dla sytuacji, kiedy jej lęk był tak duży, że bała się nawet go wyrazić. Nie cierpiałam tego spojrzenia. Nie cierpiałam przyczyniać się do jej niezadowolenia.

- W porządku, mam - powiedziałam. - Naprawdę. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, co zaszło.

- A co zaszło?

Zastanowiłam się nad tym, co Matt powiedział wczoraj, że chce ze mną być, i nad tym, czy to jest w ogóle możliwe. Może bardziej możliwe niż kiedykolwiek dotąd, nawet bardziej możliwe niż kilka lat temu, ponieważ teraz i on był na to gotowy. Był tego pewien.

- Nic specjalnego - odparłam.

Kiwnęła głową, chociaż wiedziałam, że mi nie uwierzyła. I niemal czułam, że chce coś jeszcze powiedzieć. Tylko że nie miała czasu nawet zdecydować, czy chce coś powiedzieć, bo przerwał nam dzwonek mojego telefonu. MERYL. Komórka.

Spojrzała na ekran wyświetlacza, zatem i ona zobaczyła, kto dzwoni.

- Nie masz zamiaru odebrać?

- Już odbieram - powiedziałam. Ale nie zrobiłam jeszcze żadnego ruchu, starając się wymyślić, co powiedzieć Meryl, żeby to zabrzmiało naturalnie, jak coś, czego się po mnie spodziewała.

I wtedy moja matka odebrała telefon za mnie.

- Jest obok, kochanie - powiedziała do Meryl, przyglądając mi się. - Daję ci ją.

Z ociąganiem wzięłam telefon, starając się przy tym uśmiechać i w żadnym wypadku nie wzbudzić podejrzeń. Ale byłam całkiem pewna, że mi się to nie udało. Tak czy owak, matka wróciła do płyty kuchennej dokładnie w chwili, kiedy przyłożyłam słuchawkę do ucha.

- Hej tam - powiedziałam do mikrofonu. - Jak się ma panna młoda?

- Dobrze - odparła Meryl.

Ale powiedziała to głosem cichym i smutnym, jakby nic poza smutkiem w niej nie było. Z tą odpowiedzią przypląnął do mnie obraz stojącego w mroku profesora Moynihan-Richardsa. Może powtórzył jej to, co usłyszał. Może była smutna, bo już wiedziała.

- Bess zorganizowała mi w hotelu przed ślubem ten koszmary dzień dla urody - powiedziała. - To prawdziwie niemiła niespodzianka. A może chciała odwrócić moją uwagę od faktu, że temperatura na dworze już chyba przekroczyła tysiąc pięćset stopni. - Przerwała. - Pomyślałam, że może byś tu wpadła i pomogła mi przez to przejść.

Spojrzałam na zegar. Była dopiero 9.45. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było spędzenie całego dnia z Meryl, i to bez względu na to, czy wszystko miało się wydać, czy wciąż pozostać tajemnicą. Tak czy siak, czułabym się fatalnie. To nie ja byłam nieszczerą wobec Meryl. Choć teraz to właśnie ja byłam nieszczerą wobec Meryl.

- A kiedy by to miało być?

- Co powiesz na to, że dzień dla urody już trwa od dwudziestu minut?

Spojrzałam w stronę drzwi w nadziei, że pojawi się Josh i powie mi, co robić. Ale i bez tego wiedziałam, co chciałby, żebym zrobiła. Chciałby, żebym poszła.

- Już wychodzę - powiedziałam.

Matka patrzyła na mnie, kiedy kończyłam rozmowę.

- I tyle cię widziałam? Potwierdziłam kiwnięciem głowy.

- No i dobrze. Będę miała więcej czasu, żeby przemyśleć swoją mówkę z cyklu „wszyscy o tym świetnie wiedzą” - dodała.

- Uważasz, że potrzebna jest mi któraś z tych mówek? - zapytałam.

- Uważam, że niektórym kręcącym się tu osobom jedna z nich bardzo by się przydała - odparła.

Spojrzałam na listę spraw, które spisała sobie w bloku leżącym na bufecie:

ZADZWONIĆ PO DODATKOWE KWIATY, ORKIESTRA ZGŁASZA SIĘ O 14.30 [SAM], DROBIAZG DLA BESS, PODWIĄZKA DLA MERYL, ZGRAĆ ODBIÓR GOŚCI Z LOTNISKA [SAM], FILMY WIDEO EMMY... DO HOTELU [SAM].

- Co to jest? - zapytałam, przeciągając palcem po słowach „wideo... do hotelu”.

- Och, pomyślałam, że będzie okazja, żebyśmy je obejrżeli wieczorem po weselu.

Wynajęliśmy apartament. Możemy zamówić popcorn i zrelaksować się. Spędzimy czas z naszą Emmy, zanim nas znów opuści.

Znów opuści. Powinnam poczuć ulgę, kiedy usłyszałam te słowa, zapowiadające wyzwolenie od sytuacji, w której sprawy, i to bardzo ważne, zmieniają się z minuty na minutę. Jednak nie ulżyło mi. Jeśli byłam jeszcze w ogóle zdolna cokolwiek odczuwać, myśl o cichym powrocie do pustego, spokojnego domu sprawiła, że ogarnęła mnie samotność. Ponieważ matka mówiła dalej, nie zdążyłam już zaprzeczyć, a tym bardziej wyjaśnić, że nie muszę wyjeżdżać natychmiast po ślubie.



- Tata ma je już w samochodzie - powiedziała, potrząsając głową.
  - Klimatyzowanym, ma się rozumieć. Cieszymy się na to. Wszystko już załatwione. Uścisnęłam jej rękę.
  - Dziękuję, mam. Uśmiechnęła się.
  - Nie dziękuj nam. Podziękuj swojemu przyjacielowi Berringerowi.
  - Berringerowi?
  - To był jego pomysł, żeby dziś wieczorem razem obejrzeć te filmy. Wspomniał o tym, kiedy rano przyjechał zabrać twojego brata na poranny jogging. Wybrali się w taki upał. Czy to aby dobry pomysł?
- Potrząsnęła głową, a ja wychodziłam z kuchni, myśląc o Berringerze. O tym, jaki jest, i że nie tylko wysłuchiwał opowiadań o tym, co robiłam, ale miał ochotę po prostu to zobaczyć.
- Czy mam mu coś od ciebie przekazać? - zawołała za mną.
  - Mam na myśli twojego brata. Bo raczej wątpię, żeby wrócili przed twoim wyjściem.
  - Na przykład co?
  - Sama nie wiem. - Popatrzyła na mnie tak, jakby już wiedziała.
  - Jaki on ci się dziś wydał rano, mam? - Nie mogłam więcej powiedzieć, żeby swoim pytaniem nie przyznać, że coś było nie tak.
- Uśmiechnęła się do mnie.
- Czego się po mnie spodziewasz, Emmy, że co powiem? Ze wyglądał jak mężczyzna, który ma się za chwilę ożenić?

Moja suknia pierwszej drużyny, długa, na ramiączkach, była zapakowana w srebrny worek na garnitury, który ją dziwacznie rozjaśniał, powodując, że wyglądała na jeszcze bardziej przezroczystą, niż była. Ale wciąż pozostawała suknią drużyny, i to najgorszym jej rodzajem, mianowicie taką suknią, do której zakupu zachętą według panny młodej miała być możliwość ponownego jej wykorzystania. Może z okazji ślubu w stylu Południa albo na Kentucky Derby. Ale kto by się wybierał w takie miejsca w najbliższym czasie? I jak taka suknia zniosłaby podróż? Nie byłam zachwycona, że muszę ją włożyć nawet choćby tylko ten jeden raz. Długie suknie, takie jak ta, podkreślały wszystkie felerzy mojej figury.

Chłopak, który chciałby być miły, mógłby mi powiedzieć, że dobrze mi w niej. Jednak ktoś bardziej szczerzy zauważyłby, że w czymś tak prostym i przejrzystym nie wyglądam zbyt szczupło. Ale teraz miałam poczucie winy za to wszystko, co zdarzyło się poprzedniego dnia, więc nie śmiałam narzekać na suknię. Wolałabym, żeby była jedynym problemem dzisiejszej uroczystości i żeby wszystko ułożyło się pomyślnie dla Meryl, a cały wczorajszy dzień oraz Elizabeth i Grace gdzieś się ulotniły. Nie chodziło wcale o to, że chciałabym o nich zapomnieć, ale nie byłam pewna, jak mam, z nimi w pamięci, iść dalej przez życie, a tym bardziej wybaczyć Joshowi. W tej kwestii oboje, Josh i ja, byliśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Wiedziałam, że i on chciałby o nich zapomnieć, może nawet starał się o to przez lata, bo gdyby mu się to udało, mógłby próbować sobie wybaczyć. No i widać, jak mu się udało.

Przeniosłam znów suknię i resztę swoich rzeczy przez krzaki w ogrodzie Wademanów, gdzie przedtem zostawiłam samochód June. Wsiadłam, cisnęłam na już przepelnione tylne siedzenie torbę z ubraniem i breloczek do kluczy, który kupiłam dla Meryl w ubiegłym tygodniu. Stanowił część przygotowanego przeze mnie toastu. Miałam wręczyć Meryl breloczek z kluczem i opowiedzieć historię naszej, mojej i Josha, kolekcji kluczy. I na koniec dodać, że to cudownie, że teraz będzie miał jeden klucz, który otworzy mu każde drzwi. Wem, że to banalne, ale sądziłam, że toast im się spodoba. Meryl i Josh. Wtedy wydawało mi się, że tak jest. A teraz powinnam chyba przygotować inne, bardziej uczciwe przemówienie. Szybko wyjechałam z parkingu i skierowałam się do Hutch. Aby się tam dostać, musiałam minąć zjazd na ulicę, przy której mieszkali rodzice Matta, a to okazało się trudne.

- Ma syna - powiedziało coś najpierw w mojej głowie, a potem powtórzyłam to na głos. Musiałam to usłyszeć, żeby tym razem zrozumieć, co w istocie znaczyły te słowa. Każda kobieta, z którą odtąd Matt się zwiąże, musi liczyć się z tym, że nie dostanie całej jego uwagi. Jest ku temu ważny powód. Tym powodem jest dziecko. To przez nie Matt nie będzie do niej bez reszty należał. Czy będzie zdolna mu to wybaczyć? Wybaczyć jego nieobecność?

Kiedy wpadłam na autostradę, włączyłam radio akurat w chwili, kiedy miejscowy dyskdzokej zapowiadał pogodę.

- Jeśli zrobi się choć trochę cieplej, będę mógł usmażyć jajecznicę na własnym czole.

- Dobry Boże, musisz mieć wystarczająco tłustą skórę - dogadywał mu pomagier. Ohyda. Byłam chora od tych raportów pogodowych. Byłam chora od wysłuchiwania takich danych meteo. Zmieniłam stację. Grał zespół Air Supply. To nie była ich słynna piosenka *Making Love Out of Nothing At All*, lecz jakaś inna, równie dobrze znana. Piosenka z happy endem. Ślubna piosenka Josha i Meryl. Mogłoby się zdawać, że to, że właśnie teraz ją słyszę, ma jakieś znaczenie, ale sama nie wiedziałam jakie. Oprócz tego, że Air Supply jest do chrzanu.

W schowku zadzwoniła komórka. Sięgnęłam po nią. Udało mi się ją wyciągnąć po trzecim dzwonku. JAMES BERRINGER. James Berringer? Wcale nie wpisałam sobie jego numeru. I nigdy w życiu nie powiedziałam na niego James.

- Halo - odezwałam się nieco speszona.

- Sama jesteś halo - powiedział.

Dwa razy sprawdziłam nazwisko na wyświetlaczu, a potem jeszcze trzeci raz, jakby jego głos nie zaświadczał dostatecznie, że to on.

- Jakim sposobem twój numer zapisał się w moim telefonie?

- Wpisałem, kiedy go zapomniałaś zabrać wczoraj wieczorem.

- Wpisałeś go wczoraj wieczorem?

- Czy masz zamiar powtarzać po mnie każde zdanie?

Nie odpowiedziałam. Czekałam, aż powie, o co chodzi. Już to sobie wyobrażałam: Berringer skulony przy stoliku w kącie salonu wprowadza cyfrę po cyfrze do mojego antycznego telefonu, starając się zrozumieć, jak to możliwe, że taki antyk w ogóle działa.

- Chciałem mieć pewność, że z nami wszystko w porządku - powiedział. - Było mi przykro, że wczoraj wieczorem tak się na mnie wściekłaś.

- Nie byłam wściekła na ciebie - powiedziałam. - A przy okazji, skoro tak się zamartwiałeś, że jestem zła, to powinienes się również obawiać, że nie odbiorę telefonu, przekonawszy się, że to ty dzwonisz.

- Może masz rację, ale chciałem dać ci wybór. Odebrać czy nie odebrać.

- Dziwny jesteś - powiedziałam, ale mówiąc to, nieoczekiwanie uśmiechnęłam się z zażenowaniem, jakby mnie na czymś przyłapał. Jakby mógł się zorientować, w jaki stan wprawia mnie ta pogawędka, chociaż rozmawiamy przez telefon. Wszystko we mnie przyspieszyło, poczułam się wewnętrznie poruszona w sposób nazbyt wyraźnie przypominający uczucie szczęścia.

Chrząknął.

- Zatem Josh mówi, że twój wczorajszy wieczór nieźle się wydłużył. Również chrząknęłam, co zabrzmiało trochę jak czkawka. Po prostu nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Nie chciałam rozmawiać o Matcie. Przynajmniej nie z Berringerem.

- Zatem rzeczywiście wybrałaś się z Joshem, żeby pobiegać? - zapytałam. - Myślałam, że to tylko zmyłka, żeby znów mógł się urwać. Pojechać do Rhode Island albo w podobne miejsce.

- Nie sadzę, żeby się miał znów urywać, Em - powiedział. - Sądzę, że to już się stało. Próbowałam sobie wyobrazić, jak Elizabeth i Grace przy kuchennym stole jedzą śniadanie. I naprawdę mi to nie wychodziło. Widziałam natomiast, jak nie rozmawiając ze sobą, za to słuchając radia, jadą gdzieś półciężarówką. Grace wtóruje piosence płynącej z głośnika, Elizabeth patrzy na nią rozluźniona. Ktokolwiek by to zobaczył, Josh już się urwał.

- Tak czy owak, dzwonię nie po to, żeby o tym rozmawiać - powiedział. - Chcę wiedzieć, dlaczego tak się na mnie wściekłaś. I tylko mi nie mów, że się nie wściekłaś. Bo byłaś nieźle wkurzona i myślę, że wiem dlaczego.

Wzięłam głęboki oddech. Nie wiedziałam, co sobie wyobrażał Berringer, ale z całą pewnością nie miałam ochoty tego słuchać. A zwłaszcza gdyby chciał snuć rozważania na temat tego, co wczoraj czułam. Zupełnie nie byłam przygotowana, żeby o tym myśleć, bez względu na to, czy mi się wtedy przyglądał, czy nie.

- Wiesz co, Berringer? Niezależnie od tego, co sobie wyobrażasz, jestem pewna, że się mylisz.

- To brzmi jak prawdziwie jednoznaczne stwierdzenie - zauważył.

- Dobra, jadę teraz autostradą - powiedziałam. - I niezbyt pewnie prowadzę cudze przeładowane kombi. I jestem spóźniona. Wobec tego mniej jednoznaczne stwierdzenia będą musiały poczekać. Chyba że masz pomysł, co powinnam powiedzieć Meryl, do której właśnie jadę.

- Przepraszam cię, bardzo mi przykro - powiedział. A powiedział to w taki sposób, że nie miałam wątpliwości, że to nie były zdawkowe słowa. Zrozumiałam, że jest mu naprawdę przykro i że chociaż nie można było nic na to poradzić, chciałby coś zrobić, żeby to jakoś naprawić. - Czy ulży ci, jeśli obiecuję, że to minie? To dziwne uczucie, które ci doskwiera?

Choć wiedziałam, że to prawda, w istocie poczułam się gorzej. Przez te ostatnie dni w ogóle żyłam, bo żyłam tymi uczuciami. Ale

wkrótce miały nadejść następne dni, inne sprawy opanować mój umysł; opanować i przebić te skrywane, zaledwie przez chwilę dostrzegane przeze mnie prawdy o tym, jakie życie wybrał mój brat.

- Wiesz co? Możemy o tym wszystkim pogadać później - zaproponował. - Mam nadzieję, że jedziesz ostrożnie?

- Staram się - odpowiedziałam.

Było jednak w jego pytaniu coś, co mnie zastanowiło. To coś sprawiło, że na chwilę wróciłam myślami do Matta. Tak wiele sobie powiedzieliśmy, a Matt nawet mnie nie zapytał jak sobie radzę w Rhode Island. Wcale nie chciałam z nim o tym rozmawiać, ale mimo wszystko mógł przynajmniej zapytać. Tyle się o nim dowiedziałam, o jego synu, o Francji, nawet o tym, że gra w drużynie hokejowej. A on nie miał nawet pojęcia, że zbieram materiały do filmu dokumentalnego ani że pracuję w sklepie wędkarskim, ani o stu siedmiu żonach. Jednym słowem, nie miał zielonego pojęcia o tym, jakie było teraz moje życie. Wiem, mógłby mi zarzucić, że mu tego nie powiedziałam i to byłaby prawda. A jednak czy dla niego to, co się ze mną dzieje, nie powinno być na tyle ważne, żeby sam o to zapytał? Nawet jeśli to go bezpośrednio nie dotyczyło?

- Dobra. Przepraszam, że ci sprawiłem przykrość - powiedział Berringer. - Powiem dla porządku: w żadnym razie nie miałem takiego zamiaru.

Nie nawykłam do takiej wobec siebie szczerości wyrażanej w tak naturalny sposób. Poczulałam się z tym trochę niezręcznie głównie dlatego, że sama nie byłam do tego skora. Ale odkryłam w sobie również jakieś nowe uczucie, uczucie, które zaczynało mi się podobać.

- W porządku - odpowiedziałam. - Mówię dla porządku.

- Taak?

- Taak.

- Zatem wszystko inne może poczekać.

We wczesnych latach trzydziestych dwudziestego wieku, podczas szczytowej fazy wielkiego kryzysu i zupełnej ruiny finansowej kraju, prawie wszystkie wielkie budowy w Nowym Jorku zostały wstrzymane. Tylko dwa ze wznoszonych wtedy gmachów ukończono zgodnie z wcześniejszymi planami. Jednym z nich jest Essex House, obiekt będący świadectwem czasu, w którym powstał. Budynek stanowi przykład trwałości ogromu i dowód stabilności. Każdego wchodzącego, także dzisiaj, już w holu witają ustawione co kilka kroków archaiczne mahoniowe filary i kandelabry ze srebra łączonego z porcelaną, wzór kunsztu jubilerskiego. Lśnią marmurowe podłogi. Nie twierdzą, że to jest brzydkie, ale wszystko jest tak dostojne, tak wymyślne i ciężkie, że w końcu budzi sprzeciw. Kiedy obładowana wchodziłam do holu, potykając się o worek z ubraniami, przede wszystkim rzuciło mi się w oczy, że w zasięgu wzroku nie ma niczego żywego; ani jednego wazonu z kwiatami, ani jednej zielonej rośliny doniczkowej, nawet akwarium z rybkami. Znalazłam się w miejscu, które było dokładnym przeciwieństwem mojego wyobrażenia o scenerii pasującej do zawierania małżeństwa. Mężczyzna w recepcji nie krył niezadowolenia, że musi mnie wpuścić na górę, nawet po tym, jak Meryl potwierdziła, że na mnie czeka. Niezupełnie rozumiałam, co było tego powodem, więc kiedy spojrzał na mnie niechętnie, postarałam mu się odwzajemnić równie niechętnym spojrzeniem. Ale kiedy zerknęłam w lustro za jego plecami, zobaczyłam własne odbicie. Moje włosy były całkiem przyklapnięte na czubku głowy, dzinsy za długie, a podkoszulek strzepił się na brzegach.

Czy wobec tego miałam jakiegokolwiek prawo winić go za to, że nic dobrego o mnie nie pomyślał? Na podstawie mojego wyglądu w żaden sposób nie mógł uznać, że pasuję do tego miejsca. Zaczęłam się więc martwić (bo cokolwiek się działo, zawsze znajdowałam powód do zmartwienia), że nic w moim wyglądzie nie wskazuje, że pasuję do jakiegokolwiek miejsca.

- Panna Mitchelson jest w apartamencie 2401 - powiedział mężczyzna i skierował mnie do właściwych wind. - Czy zdoła to pani zapamiętać, czy woli pani, żebym jej to zapisał?

- Spróbuję - odparłam i ruszyłam we wskazanym kierunku. Kiedy wreszcie zapukałam do drzwi Meryl, było już po jedenastej. Zapukawszy, szerzej otworzyłam uchylone drzwi. Okazało się, że apartament wynajęty na dzień urody przedślubnej nie był zwykłym apartamentem. Wyglądał, jakby ciągnął się przez całe piętro. Prawie czterometrowe okna balkonowe wychodziły na Central Park. Miał trzy oddzielne salony, których ściany pokrywały lśniące stare freski.

Znalazłam Meryl w drugim salonie. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami pośrodku pokoju, a wokół niej pracowały okazałe wentylatory. W pokoju stał duży drewniany stół, który jak przypuszczałam, przysunęła do ściany, całkowicie zastawiony srebrnym serwisem do herbaty i butelkami szampana oraz paterami ze świeżymi owocami. Małe miseczki były napełnione czekoladowymi sercami.

- Właśnie ominęła cię manikiurzystka - powiedziała Meryl i na dowód podniosła polakierowane na biało paznokcie. - No i jasnowidz.

Dość powoli podeszłam do niej. Oprócz paznokci miała pomalowane jedynie oczy, które kontrastując z jej bladą cerą i ciasno ściągniętymi do tyłu włosami, były tak ciemne i wyraziste, że niemal przypominała pajaka. Ale nawet teraz miała nieskończenie więcej wdzięku, niż mogłam dla siebie zamarzyć.

- Ale nie martw się. Poprosiłam manikiurzystkę, żeby przyszła później - ciągnęła. - Pomyślałam, że nie potrzebujesz żadnych optymistycznych wiadomości od jasnowidza. Chociaż podobno cieszy się wielką sławą. Największe hollywoodzkie znakomitości stale korzystają z jego usług.



Usiadłam naprzeciw Meryl. Wiatrak chłodził mi plecy.

- Jedyne jasnowidz, jakiego dotąd spotkałam, był kobietą. Przyszła do mojego sklepu wędkarskiego w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem. Przepowiedziała, że zakocham się jeszcze cztery razy, zanim spotkam osobę, która jest mi przeznaczona - powiedziałam. - Oznajmiła również, że nasz węgorz w zasadzie nie nadaje się do nęcenia żadnych cennych ryb.

- Widzisz? Komu potrzebne takie wiadomości? - Meryl uśmiechnęła się do mnie i zaczęła się rozglądać po pokoju. - Wyobrażam sobie, że moja matka była pewna, że sprawia mi tym przyjemność - powiedziała. - To całe przyjęcie na cześć panny młodej! Zapomniała, że nie miałam żadnego panieńskiego przyjęcia? To zmienia postać rzeczy, no nie?

- Zmienia - potwierdziłam i popęzłam w stronę stołu, żeby sięgnąć po jeden z płaskich półmisków z owocami.

- W twojej mamie lubię to - powiedziała, kiedy pełzłam z powrotem w jej stronę - że kiedy będziesz brała ślub, ona będzie po prostu chciała z tobą być. I na przykład będziecie tylko we dwie na prywatnej łodzi albo gdzieś w New Jersey. Nie będziesz musiała się tym wszystkim zajmować.

- Taak - potwierdziłam. - To naprawdę coś, na co chce się czekać. Roześmiała się.

- Udało ci się spotkać Josha, zanim rano wyjechałaś?

- Nie, uciekł przede mną.

- O!

- No nie dosłownie, po prostu tuż przed moim wyjściem zebrało mu się na bieganie. Nie wiem, jak to sobie wyobrażali przy tym upale. Bo wybrał się biegać w towarzystwie Berringera. To ich wspólne zajęcie.

Kiwnęła głową, jakby dając mi do zrozumienia, że nie potrzebuje dodatkowych wyjaśnień. Bo niby dlaczego miałyby ich potrzebować? Nie było ku temu żadnego powodu. Nic nie wskazywało na to, że jest jakiś problem, ani związany z istnieniem Elizabeth, ani z naszym wczorajszym wyjazdem. To nie zostało zapisane na moim czole ani ogłoszone w inny sposób. Mogłam zatem podjąć rozmowę na

ten temat tylko z jednego powodu, gdybym chciała być uczciwa. Jednym słowem, zrobiłabym to dla samej siebie. Zaproponowałam Metyl kulkę melona.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

- Na pewno? - zapytałam. - Dobrze ci robi.

- Na pewno - odparła.

Włożyłam kawałek melona do ust i zaczęłam przeżuwać.

- A tak w ogóle, co ci powiedział ten słynny jasnowidz? Coś dobrego?

- No cóż. - Podniosła wzrok i spojrzała na sufit, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Najpierw powiedział, że moim przeznaczeniem jest szczęśliwe życie. I jedna niewiarygodna miłość. Potem dorzucił, że jego zdaniem dzisiejszy dzień będzie bardzo ważny, bo właśnie dziś wejdem na drogę, która mnie zaprowadzi do tej miłości. Ale to się stanie pod warunkiem, że potrafię to dostrzec.

Zmiażdżyłam kolejny kawałek melona.

- Domyślam się, że na tym polega cała sztuczka, nie uważasz? - dodała.

Zasłoniłam usta.

- Zdecydowanie - odparłam. I wtedy zaczęła płakać.

Często żałowałam, że to nie był film. Bo gdyby to był film, w następnej scenie Meryl wyjaśniłaby, że jej łzy, które zamieniały się w coraz gwałtowniejszy i coraz trudniejszy do powstrzymania szloch, były łzami zakłopotania osoby zagubionej. Wyjaśniłaby, że dzisiejszy dzień rzeczywiście budził w niej wątpliwości. Czy naprawdę chciała wziąć dzisiaj ślub, czy jeszcze pamiętała, dlaczego wybrała akurat Josha, a może kochała kogoś innego i to trochę bardziej? A ja bym jej słuchała. Słuchałabym, a ona by mi tłumaczyła, że on nie pragnął tego, czego ona pragnęła, że nigdy naprawdę nie chciał jej dać tego ani się z nią dzielić tym, co dla niej było ważne, tj. poświęcić się karierze zawodowej, zamieszkać na stałe w Los Angeles i podróżować dookoła świata. Potem uściskałaby mnie i powiedziała, że doszła do wniosku, że wszystko jest w porządku, bo znacznie lepiej zdać sobie

z tego sprawę teraz niż za dziesięć lat. A teraz czekałaby, aż Josh do niej dołączy i razem obdzwonią wszystkich i odwołają ślub, zamknąwszy się w tym niby-ślubnym apartamencie. I zanim wzajemnie złożą sobie życzenia pomyślności, ostatni raz wypiją razem po kieliszku luksusowego szampana.

Ale nie byłam w kinie. Uczestniczyłam w prawdziwym życiu, a kobieta, którą kochałam i która była świadkiem mojego dorastania, a którą w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin oszukiwałam, bo postawiłam swego brata ponad nią, płakała, bo bardzo, bardzo kochała mojego brata i czuła, że coś bardzo, bardzo złego pojawiło się między nimi.

- Przepraszam - powiedziała. - Za nic nie chciałabym wpakować cię w to wszystko. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła, prawda? Wiesz, że za nic w świecie bym tego nie chciała?

Siedziałyśmy już na kanapie w salonie numer 1, a dokładniej: Meryl leżała na plecach z głową w dół, tak by ciekące po policzkach łzy zmieniły kierunek, bo spływający z jej oczu tusz błyskawicznie znaczył ich drogę czarnymi smugami po obu stronach twarzy. Ja zaś przycupnęłam w jej nogach.

- Może wam obojgu po prostu potrzebna jest rozmowa. Jeśli ktoś tu powinien rozmawiać, to właśnie wy dwoje. Zgódź się, żebym po niego zadzwoniła.

- Nie. - Potrząsnęła głową, a łzy trysnęły z jej oczu. - Nie mam ochoty słuchać tego, co ma mi teraz do powiedzenia. A już na pewno nie mam ochoty słuchać jego fałszywych usprawiedliwień.

Popatrzyłam na nią w całkowitym osłupieniu. Usprawiedliwień za co? Za to, co czuł? Zdawało mi się, że najlepsze, na co mogła teraz liczyć, na co każde z nas mogło teraz liczyć, to, że ktoś wreszcie powie prawdę.

Meryl osuszyła oczy papierową chusteczką, jeszcze raz próbując się wziąć w garść. Potem podniosła się.

- O wszystkim wiem, rozumiesz? - powiedziała, siedząc już na kanapie. - Wiem, że w zeszłym roku miał kogoś w Bostonie. Jasne, że to wiem. Sam mi powiedział zaraz po powrocie do Los Angeles.

Starał się, żeby to wyglądało tak, jakby się raz zdarzyło i minęło, ale takie historie nie mają końca. Nawet jeśli już się z nią nigdy więcej nie spotkał, wiem, że to wciąż było dla niego ważne, bo inaczej wcale nie czułby potrzeby, żeby mi o tym powiedzieć. Jak w ogóle mógł pomyśleć, że go na tyle nie znam? Wiem o nim wszystko.

- W takim razie co tu robisz? - zapytałam. Ale już wypowiadając te słowa, pożałowałam ich. Było mi przykro, że zabrzmiały nazbyt surowo. Po prostu kiedy tak siedziałam i słuchałam Meryl, zrobiło mi się okropnie smutno. Bo sprawę jeszcze pogarszało, co się wiązało z przysięgą, która miała być dziś niemal za chwilę złożona.

- Wszystko się komplikuje - powiedziała. - Wciąż wierzę, że to ja jestem mu przeznaczona. Przez kilka pierwszych wspólnych lat codziennie każdego tygodnia prosił mnie, żebyśmy wzięli ślub. Wydawało mi się, że powinniśmy jeszcze z tym poczekać, aż będziemy lepiej ustawieni finansowo i w ogóle. Zwlekasz, a facetowi coraz trudniej poczuwać się do odpowiedzialności. Na pewno nie łatwiej. -

Wzruszyła ramionami. - Myślę, że za długo zwlekałam. Wiem, co teraz myślisz, że gadam jak idiotka i się usprawiedliwiam. Ale nie mam zamiaru być tą, która to wszystko odwołuje. Jeśli Josh chce, niech to sam zrobi. Bo widzę, że to jest sprawa wyłącznie między nami. Wdę, że wszystko skończy się dobrze, nawet lepiej niż dobrze. A jeśli on tego nie widzi, dlaczego miałby tu być?

Potrząsnęłam głową.

- Nie byłby tu - powiedziałam.

- Racja - potwierdziła. - Nie byłby tu.

Wyprostowała się, zupełnie jakby znalazła nowe rozwiązanie. A ja się zastanawiałam, jak często była w podobnej sytuacji, kiedy wiedząc to, co wie, odpychała to od siebie, kiedy starała się na tyle uspokoić, żeby nie zmienić planów, nadal robić to, co uważała za konieczne.

A potem niespodziewanie przestałam ją widzieć. Zobaczyłam siebie. Przez cały ten czas dostrzegałam podobieństwa łączące mnie i Josha i dlatego w jakimś stopniu byłam na niego taka zła. Byłam wściekła i wytracona z równowagi, bo uważałam, że ja również marnuję sobie życie. Ale istniały podobieństwa także między Meryl

i mną. Gdybym tamtego dnia została z Mattem, byłby to również dzień mojego ślubu. Z łatwością mogłam odsunąć od siebie to, czego nie chciałam wiedzieć, i zrobić krok ku temu, czego pragnęłam. A pragnęłam być z nim.

He godzin zostało do mojego ponownego spotkania z Mattem? I czy chcę znów się z nim związać? Czy mam jakieś podstawy, żeby sądzić, że tym razem nasz związek okaże się inny? Czy okaże się inny, dlatego że on tak powiedział? A może dlatego, że wciąż tak jak Meryl chcę wierzyć w to, co uważam, że powinnam wierzyć? Wierzyć, że tym razem nie przestanie mnie kochać? Wierzyć, że nie zacznie spotykać się z inną albo nie odsunie się ode mnie, albo nie będzie nieobecny zawsze wtedy, kiedy jego bliskość najbardziej będzie mi potrzebna. Ze byłby zdolny skupiać się nie tylko na sobie?

Meryl zaczęła podnosić się z kanapy.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytałam.

- Muszę skończyć się ubierać - powiedziała. - Powinnam pójść włożyć suknię.

- Z tyłu są miliony guzików - dodała, kierując się do sypialni. - Z tyłu sukni. Jak się już je zapnie, wyglądają przepięknie, ale ich zapinanie to koszmar. Będziesz musiała mi pomóc. Nigdy byś nie uwierzyła, jaki to koszmar.

Wstałam i poszłam za nią.

- Powiedz mi tylko, co mam robić - powiedziałam.

Prowadzone przez dziesięć lata badania na Princeton University nad współczesnymi małżeństwami i związkami partnerskimi wskazują, że w ponad siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków inicjatorką zakończenia małżeństwa lub długoletniego związku jest kobieta. Mężczyzna, który przyczynia się do rozpadu związku swoją niewiernością, kłamstwami albo dystansowaniem się od partnerki, jeśli kobieta nie decyduje się odejść, ostatecznie również nie odchodzi. Po jakimś czasie zechce, by stosunki z żoną znów się ułożyły, i sam stara się je poprawić. Jeśli takie jest prawdziwe pragnienie kobiety, jeśli wytrwa przy nim wystarczająco długo, wreszcie dostanie to, czego chciała. Psychologowie prowadzący te badania twierdzą, że przyczyna takiego stanu rzeczy jest uniwersalna, nie zna granic i wszędzie jest taka sama: zawsze chodzi o to, że mężczyzna nie chce być w związku uznany za tego złego. Nie chce popełnić błędu, którego nie musi popełnić. Chce tylko, żeby ktoś inny podjął decyzję.

Nic na to nie mogłam poradzić, że nie przestawałam o tym myśleć, czekając w salonie, aż Meryl skończy się ubierać. Zastanawiałam się przede wszystkim, czy nie z taką właśnie sytuacją mieliśmy teraz do czynienia? Meryl odczekała do ostatniej chwili, aż oboje podjęli decyzję. A właściwie niemal więcej, niż podjęli decyzję, bo kolejny poważny krok postanowili zrobić razem.

Meryl już trzeci raz zawołała, że potrzebuje jeszcze tylko kilku minut.

- Boję ci się pokazać - powiedziała.

- Może to oznacza, że masz czego się bać - odkrzyknęłam. Nie miałam pojęcia, czy to prawda, ale zabrzmiało dobrze. No

i zaczynałam mieć dość samotnego siedzenia w salonie. Wyłączyłam

wszystkie wiatraki, żeby na nią nie wiało, kiedy wejdzie, ale chociaż klimatyzacja została włączona na cały regulator, w salonie nie było zbyt przyjemnie. Powietrze przypominało bowiem mleczną parę. Byłam gotowa do zejścia na dół, gdzie czekali Bess, moja mama, Moynihan-Richardsowie i gdzie na szczęście było trochę chłodniej.

Weszłam do kuchni, żeby wyjąć z lodówki kwiaty: bukiet z białych lilii dla mnie i wiązanek z orchidei dla Meryl. I wtedy, mając obie ręce zajęte bukietami kwiatów, usłyszałam pukanie do drzwi apartamentu. Pomyślałam, że to Bess, która, jak sobie wyobraziłam, mogła się poczuć niezadowolona z tak długiego czekania w foyer. Jednak otworzywszy drzwi, zobaczyłam przed sobą Josha, ubranego w smoking i z białą muszką wokół szyi.

- Ach, to ty - powiedziałam z niedowierzaniem.

- To ja. - Uśmiechnął się do mnie i niepewnie położył mi dłoń na ramieniu. Tuż nad jego górną wargą świeciły drobne kropelki potu, które z wolna spływały po obu stronach twarzy. - Ślicznie wyglądasz - powiedział. Wiedziałam, że w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że między nami wszystko jest w porządku.

Mimo wszystko, albo może właśnie dlatego, nie przypominam sobie, że bym kiedyś doznała takiej ulgi jak ta, którą teraz poczułam. Uśmiechnęłam się do niego prawdziwie szczerym uśmiechem i powiedziałam, że i on wygląda świetnie. Nie wspomniałam, że dostrzegłam pot na jego twarzy.

Nie mogłam się powstrzymać od powiedzenia, że Josh nie może zobaczyć Meryl przed ślubem, bo to była zła wróżba. Jeśli chodzi o wróżby, moja orientacja w sytuacji była wystarczająca, wiedziałam, że naprawdę potrzebowali trochę szczęścia.

- To chyba nie jest zbyt mądre - wyszeptałam. - To zbyt ryzykowne. Wiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem, co mówisz - odparł Josh, ocierając twarz wierzchem dłoni. - Nie sądzę jednak, żeby Meryl przywiązywała teraz wagę do złych wróżb. Chciała, żebym zszedł z nią na dół. Po prostu robię to, o co prosiła.

Podaliśmy jej orchidee i pokazałam, żeby je trzymał dokładnie pośrodku długości łodyg, bo inaczej brzydko będą zwisały.

- Przekazuję je w twoje ręce - powiedziałam i opuściłam apartament, żeby mogli przez chwilę zostać sami.

Ale wtedy, jakby na zawołanie, w drzwiach salonu w pełnym blasku swojej urody pojawiła się Meryl. Pomagałam jej się ubierać, ale nie widziałam końcowego efektu. Naszywana perełkami suknia z trenem układającym się kolistnie na podłodze nadawała Meryl syrenią postać. Z jej uszu zwisały długie mieniące się kolczyki, opadające aż do ramion, a na głowie miała upięty koronkowy welon.

Wyglądała wprost zjawiskowo. Usłyszałam gwałtowne westchnienie Josha, który dłoń ściskającą orchidee odruchowo położył na żołądku. A ja żałowałam, naprawdę bardzo żałowałam, że nie mogę opisać swojego samopoczucia, kiedy starałam się wczuć w nią, świadomą, że on patrzy na nią w taki sposób. Miałam wrażenie, że zaglądam w przeszłość.

- Wyglądasz zachwycająco - powiedział.

- Dziękuję - odparła, patrząc wprost na niego. Spoglądałam to na nią, to na niego. Ani na sekundę nie spuszczała z siebie wzroku. Oko w oko, bez jednego mrugnięcia. Przypomniałam sobie, co czytałam o ślubach kwakerskich. Jeśli para patrzy na siebie w pewien szczególny sposób, przez pewien określony czas, będzie sobie zaślubiona. Właśnie to decyduje. To jest zawiązanie i przypieczętowanie umowy. Ta chwila miała w sobie tyle intymności, taka w tym była ich wzajemna bliskość, że chciałam czym prędzej zniknąć, żeby mogli zostać tylko we dwoje. I trudno mi było na to patrzeć.

Zanim jednak się oddaliłam, zanim Josh zbliżył się do Meryl, a Meryl do Josha, zanim nawet Josh wymówił słowa powitania, w pełnym przepychu pokoju hotelowym rozległ się przeraźliwy łoskot. To był huk najgłośniejszy z głośnych, zupełnie jakby ktoś dokładnie nad naszymi głowami upuścił dwutonowy ciężar, a może nawet dwustutonowy.



Natychmiast światło zaczęło migać, najpierw jasno, potem coraz ciemniej, rozległ się głośny szum, a z klimatyzacji zaczęła wylewać się woda. Światło przestało się ściemniać, wszystkie urządzenia wokół nas się wyłączyły i przestały działać.

Pogrążyliśmy się w ciemnościach.

Pewnej nocy, na samym początku mojego pobytu w Narragansett, od strony morza nadeszła gwałtowna burza, która sparaliżowała całe miasteczko. Siedziałam wtedy na dole w Bon Vue, miejscowym nadmorskim barze, do którego wyjąwszy czwartki w roku akademickim uczęszczali wyłącznie stali mieszkańcy miasteczka: stolarze i rybacy, właściciele sklepów i okoliczni mieszkańcy. Kiedy zgasły światła, w ciszy, która zapadła, usłyszeliśmy tylko samotny głos: „I znów to samo”.

Potem pozapalano świece, na cały regulator włączono radio tranzystorowe, a wszyscy sięgnęli do swoich szklaneczek.

Zupełnie inaczej miały się sprawy w najbardziej prestiżowym nowojorskim hotelu. Najpierw prawie z każdego pokoju dobiegały przeraźliwe, niemalże harmonizujące ze sobą piski. Słysząc było zamykanie, otwieranie i ponowne zamykanie drzwi. W tym poruszeniu chodziło nie tyle o brak światła, ile o brak chłodnego powietrza, bo schłodzone powietrze gwałtownie się wyczerpywało i z zewnątrz zaczynał się wdzierać upał.

Nie było sposobu, żeby z wysokości apartamentu 2401 dokładnie wiedzieć, co się dzieje na dole: ludzie biegali po foyer i wybiegali na ulicę, żeby sprawdzić, czy światła nie ma na całej ulicy, czy tylko w Essex House. Ktoś powiedział, że awaria dotknęła całą południową część Central Parku, a ktoś inny dowodził, że na południe od Plaża panuje spokój. Personel hotelowy gromadził świece i ręczniki, przygotowując się do nadchodzącego wieczoru, oraz opróżniał lodówki. Trzeba było usunąć ponad piętnaście kilo świeżych ryb trzymany na lodzie. Na dokładkę kobieta będąca gościem hotelu osunęła się

na posadzkę w głównym foyer, zapowiadając przedtem, że dostała udaru, po czym zażądała lepszego pokoju.

Na górze, gdzie wciąż przebywaliśmy, ludzie w poszukiwaniu naturalnego światła wychodzili na balkony, i tam toczyli rozmowy. Co się stało? Co spowodowało awarię elektryczności? Facet z sąsiedniego balkonu oświadczył, że jest naukowcem i że jest pewien, że wszystko ma związek z „przeciążeniem głównego urządzenia zasilającego klimatyzację, które znajdowało się na dole.

- Tym się zajmują naukowcy? - szepnęła do mnie Meryl i wróciła do pokoju.

Przyniosła z łazienki hotelowe świece pachnące frezjami, a my usiedliśmy wokół nich w półkolu na podłodze salonu.

- Nie boisz się, że pognieciesz suknię? - zapytałam. - Może podłożę ręcznik, żebyś nie siedziała na podłodze.

Machnęła ręką.

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Za kilka minut suknia przyklei się do mnie jak posmarowana klejem - powiedziała z uśmiechem, a jej oczy rozbłysły. - Jest w tym jednak coś niesamowitego, prawda? Jestem pewna, że mama przeżyje szok nerwowy.

Poprosiłam, żeby się tym nie martwiła, żeby o nic się nie martwiła, bo awarię uda się naprawić, zanim przyjdzie czas rozpoczęcia uroczystości. Sama jednak poważnie w to wątpiłam, bo było niedzielne popołudnie, trwał długi świąteczny weekend.

- Nie denerwujesz się, Mer? - zapytał Josh.

- Nie, wcale nie. - Potrząsnęła głową. - A ty? Przynajmniej z tego powodu nie da się zapomnieć tego ślubu. To nie byle jaki ślub, jeden z wielu zawieranych w hotelach, z zawsze tą samą orkiestrą hotelową i hotelowym wystrojem. Wszyscy na naszym ślubie będą skupieni przede wszystkim na tym, żeby wytrzymać piekielny upał, i zajęci sobą, znajdując się w tak godnym politowania stanie. Możemy mieć niezłą zabawę, obserwując ich.

Zamiast odpowiedzieć, Josh tylko się do niej uśmiechnął. Był to dziwny uśmiech, nie wiedziałam, jak go potraktować. Jakby ni stąd, ni zowąd popatrzył na nią i na całą sytuację z ogromnym dystansem. Starłam się ściągnąć jego wzrok. Chciałam, żeby spojrzał mi w oczy, bym mogła mu przypomnieć, że powinien się skupić. Ale nie zwracał na mnie uwagi.

- Wiesz co? - powiedziałam, wstając. - Pójdę i przeprowadzę Bess przez tę zaporę w recepcji, i upewnię się, że tam na dole wszystko jest w porządku.

- Tam na dole zdecydowanie nic nie jest w porządku - odezwała się Meryl. - Dopóki to nie jest absolutnie konieczne, znacznie lepiej, żebyś została tu z nami.

- To będzie okropnie długa droga - dodał Josh.

- Poradzę sobie - powiedziałam. - A wy po prostu posiedźcie tu na górze i postarajcie się zachować spokój. Kto wie? Może uruchomią windy, zanim będziecie musieli zacząć schodzić? - Pomyślałam, że nie zaszkodzi okazać trochę nadziei.

- Założę się, że nie uruchomią. - Josh okazał znacznie mniej nadziei.

Skierowałam się już ku drzwiom, kiedy coś mi przyszło do głowy.

- A w razie czego, jak się skontaktujemy? - zapytałam. - Gdyby powstał jakiś problem? Gdyby coś się stało?

- Coś poważniejszego niż to, co już się stało? - zapytała Meryl. Uwaga była słuszna.

- Coś ci powiem, Emmy - odezwał się Josh. - Gdyby pojawiły się jeszcze jakieś problemy, będę wrzeszczał naprawdę głośno.

- Świetny pomysł - powiedziałam i zostawiłam ich samych. Wychodząc z pokoju, starannie zamknęłam za sobą drzwi.

Pomysł, żeby schodzić po schodach z dwudziestu czterech wysokich kondygnacji w sandałkach na blisko dziewięciocentymetrowych obcasach, nie był zbyt szczęśliwy. Czulałam, jak stawały się częścią mojej stopy: obcas wbijał mi się w piętę, obcas uderzał o kostkę. Mniej więcej na wysokości jedenastego piętra postanowiłam zmienić taktykę i dalszą drogę odbyć na bosaka, zwłaszcza że zobaczyłam grupę jasnowłosych członkiń elitarnego stowarzyszenia studenckiego z Uniwersytetu Teksas-Austin, które postąpiły dokładnie tak samo i cztery piętra wcześniej zdjęły pantofle.

- Śmiało - szepnęła do mnie jedna z nich, podnosząc sandały na dowód, że powinnam pójść w jej ślady. Miała jaskraworóżowe paznokcie, w tym samym odcieniu co buty, które trzymała w dłoni. Byłam niemal zachwycona tym widokiem.

- To całkowicie usprawiedliwione w takiej sytuacji.

Najwyraźniej sytuacja skłaniała również do tego, żeby korzystając z hotelowego zaciemnienia, już wczesnym popołudniem upić się jak bela. W innych okolicznościach z pewnością nie krytykowałabym nikogo z tego powodu. Nie odmówiłabym drinka, a może nawet sama bym o niego poprosiła, gdyby nie to, że jedna z dziewcząt, ta, która wyszeptała mi dobrą radę w sprawie butów, nie upuściła butelki piwa Amstel Light. Butelka rozbiła się w drobny mak w tej samej chwili, kiedy zdjąwszy już lewy pantofel, stawiałam na stopniu bosą stopę, tak że wylądowała na jej szczątkach.

- Och, mój Boże! - zawołała. - Pani krwawi.

- Tak - potwierdziłam i zesłam kilka stopni w dół, żeby wyjąć odłamki potłuczonych butelki wbite w paluch i na całej długości podeszwy. - Szkło ma to do siebie.

Wyglądało na to, że nie uda mi się wyjąć z podeszwy jednego z odłamków, szklanej drzazgi. Cokolwiek to było, zniknęło pod skórą. Tak czy siak, musiałam wstać i przygotować się na kuśtykanie przez resztę drogi w dół, i spróbować wymyślić, jak ostrzec Metyl i Josha przed czyhającym na schodach niebezpieczeństwem.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytała winowajczyni. Potrząsnęłam głową.

- We pani co? - powiedziałam. - Sama to stąd pozbieram.

Zanim dotarłam do Grand Salonu, cały hotel zaczął już kipieć. Zapasy chłodnego powietrza utonęły w ogromnej przestrzeni budynku. W samym środku tego chaosu starałam się znaleźć matkę. Obsługa hotelu krzątała się tu i tam, ustawiając kilka setek składanych krzeseł na naszą uroczystość. Na każdym z krzeseł kładli mały papierowy wachlarzyk w rodzaju tych, jakimi bawią się dzieci. W dzieciństwie miałam taki sam. Był jaskraworóżowy i o ile pamiętam, Josh nabijał się ze mnie, kiedy chciałam go użyć. „Czy nie wiesz, że w efekcie wydatkowania energii, potrzebnej do ochłodzenia się, rozgrzejesz się bardziej, niż gdybyś nic nie robiła?”. A teraz będzie szczęśliwy, że można skorzystać z tych wachlarzyków.

- Emmy! Bogu dzięki!!!

Rozejrzałam się i dostrzegłam biegnącą w moją stronę mamę. Była tak zaambarasowana i pochłonięta sprawami, że nawet kiedy się do mnie zbliżyła, nie zauważyła, że stoję dziwnie na czubku palców jednej stopy, która do tego krwawi. Dzięki i za to.

- Emmy - powtórzyła. - Moynihan-Richardsowie są z Bess w pokoju z tyłu i palą skręty.

- Co?

Nachyliła się do mnie i wyszeptała.

- Chyba tak się dzisiaj mówi na marihuanę.

- Musimy natychmiast zmienić temat - powiedziałam. Tylko na mnie spojrzała.

- Ci z foyer odsyłają ludzi do domu. Po prostu proszą, żeby nawet nie wysiadali z taksówek, bo w ciągu mniej więcej pół godziny temperatura w hotelu wzrośnie do blisko czterdziestu stopni Celsjusza. A tata tam stoi i zaprasza, żeby mimo wszystko wchodzili i że będziemy robić... Wygląda na to, że toczymy tu jakby bitwę przy całkowitym braku prądu.

- Czy ktoś pomyślał, żeby uroczystość przenieść na dwór? Wystarczy przejść na drugą stronę ulicy do Central Parku.

- Na zewnątrz jest jeszcze gorzej - odpowiedziała, potrząsając głową i już kierując wzrok gdzieś za mnie, rozglądając się po pomieszczeniu w poszukiwaniu nowych pilnych zadań. - Tam też jest prawie czterdzieści stopni, a słońce grzeje całą mocą. Nie uważam, że muszą przez to przechodzić w takich warunkach. Ale jeśli tego właśnie chcą, powinni przez to przejść, ponieważ to oni są dziś najważniejsi, nikt inny.

Potrząsnęłam głową kompletnie zaskoczona.

- Co? - zapytała.

- Po prostu masz naprawdę niewiarygodną zdolność zaskakiwania mnie - powiedziałam. - I to w chwilach, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebna.

Przewróciła oczami raz, a potem drugi na wypadek, gdybym tego nie zauważyła.

- Doceniam to, kochanie, ale nie mamy teraz czasu na dramatyzowanie — zauważyła.

- Powiedz mi tylko, co mam robić - odparłam.

- Cóż, uroczystość odbędzie się tutaj. - Mama wskazała środek sali balowej. - A potem proponujemy skrócony wariant godzinnego koktajlu z niepsującymi się zakąskami. Czy w ogóle jest takie określenie, jak niepsujące się zakąski?

- Nie jestem pewna.

- Możesz to przy okazji sprawdzić. Ciągłe go używam, ale twój ojciec patrzy na mnie, jakby uważał, że je wymyśliłam.

- A wymyśliłaś je? Popatrzyła na mnie z powagą.

- To niewykluczone - odparła.

Nigdy mnie specjalnie nie interesowało zdobienie i dekorowanie. Są dziewczęta, które to mają we krwi, prawdopodobnie te same, które od urodzenia w najdrobniejszych szczegółach wiedzą, jak będzie wyglądał ich ślub i wesele. Każdy zasuszony kwiatek, każdy kieliszek do szampana, każda serwetka mają swój czas i miejsce. Ja stanowię przeciwieństwo takich dziewczyn, jestem zupełnie inna.

Można komuś takiemu jak ja pokazać, jak się suszy kwiaty, tego się nauczę. Można mi pokazać, jak wypolerowany i błyszczący ma być kieliszek do szampana. Mogę nawet, u diabła, jeśli dostanę odpowiednie instrukcje, nakryć do stołu fantastyczną porcelaną. Ale przez cały czas będzie mi towarzyszyć wewnętrzny chichot, najgłębsze przekonanie, że wszystko to jest jakimś rodzajem zakazanej zabawy kosmetykami do makijażu podkradzionymi mamie, zabawy w poczuciu, że zaraz ktoś wejdzie i mnie ziaje.

Kiedy zatem wyjaśniam, że udekorowana przez nas sala balowa wyglądała pięknie, mówię z ogromnym zaskoczeniem, bo wcale się przy tym nie napracowałam.

Wyobrażałam sobie, że sceneria mojego własnego ślubu i wesela, gdyby kiedyś miało do niego dojść, ograniczy się do plaży, a potem skromnego grillowania zakończonego

krojeniem bogato zdobionego tortu czekoladowego. Ale w ciągu dwudziestu minut, jakimi dysponowałyśmy, żeby z niemal pozbawionej okien sali balowej w Essex House uczynić miejsce przyjazne, choć pogrążone w mroku, osiągnęłam wyżyny Marthy Stewart. Osiągnęłam jej poziom, uwzględnivszy nawet, że moja zraniona stopa była mniej niż symbolicznie opatrzona serwetką i obuta w wymyślny pantofelek.

Kiedy skończyłyśmy, wszędzie stały wysokie mahoniowe świece. Mnóstwo świec ustawiłyśmy przy wejściu. Przyniosłyśmy z piwnicy stylowe latarnie i ustawiłyśmy je przed bukietami kwiatów: ciemność została rozświetlona, a kwiaty podświetlone. Brązy i granaty w świetle świec, okna uchylone na tyle tylko, by upalny powiew ledwie wpadał, niosąc od rzeki lekką bryzę.

Jedyny kłopot sprawiło nam witrażowe okno znajdujące się za ni-by-ołtarzem, miejscem, gdzie miał być udzielony ślub. Przez to okno pałace nie do opanowania promienie słoneczne musiałyby padać wprost na Josha i Meryl i sprawić, że utoną we własnym pocie. Matce przyszło do głowy, żeby zasłonić okno czarnymi workami na śmieci, w których ciągle jeszcze był lód przygotowany na imprezę. Worek na worku, worek na worku, worek na worku. W efekcie powstało coś pośredniego między modernistyczną rzeźbą a niedokończoną ścianą. Ale nie kłóciło się to z dekoracją.

Większość gości dała się zniechęcić hotelowej groźbie temperatury sięgającej czterdziestu stopni Celsjusza. Zdecydowana mniejszość uległa przysięgom mego ojca, że to się da wytrzymać. Na sali zebrało się około trzydziestu osób, które zajęły miejsca w kilku pierwszych rzędach.

My usiedliśmy w pierwszym rzędzie. Ja obok taty, a mama po jego drugiej stronie. Dalej siedzieli Berringer, Michael i Bess oraz Moynihan-Richardsowie. Krzesła ustawiono w półkolu wokół małego, ozdobionego winoroślą ni-by-ołtarza. Sędzia, który miał udzielić ślubu, w pozie wyczekiwania zajął miejsce w samym jego środku.

Josh i Meryl już dawno postanowili, że ich ślub nie będzie ślubem religijnym. Nie będzie tłuczenia szkła i chodzenia w koło ani rodzinnego duchownego prowadzącego ceremonię. Nie wiedziałam

jedynie, że postanowili również, że nie będzie tam już nikogo oprócz nich. Mieli razem przejść szpalerem między rzędami krzeseł aż do baldachimu. I razem pod nim stanąć. Teraz wszyscy czekaliśmy już tylko na to. W kojącej ponadtrzydziestostopniowej aurze.

Tata ślizgał się na sąsiednim krześle. I jeśli mówię, że się ślizgał, a nie wiercił, rozumiem to dosłownie. Wszyscy byliśmy poprzyklejani siedzeniami do krzeseł, a stopami do podłogi.

- Czy chcesz pójść po nich na górę? - zapytałam.

- Nie - odpowiedział, potrząsając głową. Wcale na mnie nie patrzył, co mnie przeraziło. Takie zachowanie Josh miał po ojcu. Zawsze wpatrywali się gdzieś w przestrzeń, kiedy mieli coś do ukrycia.

- Czy nie sądzisz, że ktoś powinien po nich pójść? - wyszeptałam ostrożnie, tak żeby nie usłyszała mnie mama.

Wyglądał na zmartwionego, miał ściągnięte brwi.

- Zejdą, kiedy będą gotowi - powiedział.

- To dlaczego masz taką minę?

- Mam złe przeczucie, że oni tu wcale nie przyjdą - odpowiedział. Ale zanim zdążyłam go zapytać, dlaczego tak myśli, rozległa się muzyka. Samotna wiolonczelistka, która zdecydowała się wytrwać w tym upale, zaczęła grać własną interpretację Kanonu w tonacji D-dur. Wszyscy, łącznie ze mną, podnieśli się z krzeseł, starając się w półmroku dostrzec narzeczonych: Metyl w królewskiej szacie i Jo-sha podtrzymującego ją za łokieć. Gdybyśmy z dzisiejszego dnia mieli coś zapamiętać, to czyż nie taki właśnie obraz powinien zostać w naszej pamięci? Zatem mogłam nie mieć racji, wciąż mając wątpliwości. Cóż mogłam wiedzieć o tym, jak się sprawy mają? Może musieli najpierw otrzeć się o rozstanie?

Ale teraz było już za późno na myślenie, bo oni już tu byli, tuż przede mną, przed nami wszystkimi. Trzymając się za ręce, pokonywali ostatni odcinek szpaleru. Chociaż odniosłam wrażenie, że uścisk ich dłoni nie jest prawdziwy. Wyglądało to tak, jakby ktoś kogoś prowadził. Nie miałam jednak pewności, kto kogo prowadzi. Zerknęłam ukradkiem na rodziców, którzy mocno ściskali się za ręce. Ojciec stał z spuszczonej oczami. Potem znów spojrzałam na



Josh i Meryl. Byli już z przodu, wprost przed sędzią. Zeszli schodami z dwudziestego czwartego piętra i oboje byli złani potem, który strużkami spływał im po plecach. Nic nie zostało z fryzury Meryl, włosy przylepiły się jej do głowy. Josh spojrział badawczo na Meryl, mocniej ścisnął jej dłoń, a potem nachylił się do sędziego i coś mu powiedział.

- Zajmijcie wszyscy swoje miejsca - powiedział sędzia. Zrobiliśmy to, o co prosił, w pośpiechu zerkając na młodą parę.

Wtedy odwrócili się przodem do nas. Josh usiłował się uśmiechać.

- Chcę wam wszystkim podziękować, że przyszliście - powiedział. - Za to przede wszystkim.

- I że poczekaliście na nas - dodała Meryl. Potwierdził skinieniem głowy i chrząknął.

- Okoliczności spowodowane nieoczekiwaną awarią elektryczności w oczywisty sposób nie sprzyjają zawieraniu małżeństwa i wobec tego postanowiliśmy, że ślub się dziś nie odbędzie.

Mówił to tak nieśmiało, że z trudem można było go zrozumieć. Ktoś, kto się wystarczająco mocno nie skupił na tym, co mówił Josh, wciąż mógł się spodziewać rozpoczęcia ceremonii. Zastanawiałam się, czy jakaś część Meryl też na to czekała, bo dłoń trzymająca orchidee ścisnęła je znacznie silniej niż ta, która trzymała dłoń Josha.

Josh nie spuszczał z niej wzroku. I wreszcie z ufnością odwzajemniła jego spojrzenie. Z wiarą, że wszystko skończy się dobrze. Myślę, że to mu dodało odwagi, bo mówił dalej.

- To oczywiste, że będziemy zawsze razem i że bardzo się kochamy. Nastąpiła tylko mała zmiana planów. To nie jest odwołanie ceremonii ani nic w tym rodzaju. To tylko zwłoka - próbował się roześmiać - prawdę powiedziawszy do czasu, kiedy znów się spotkamy.

Dokładnie w tym momencie zapaliły się światła.

Najpierw tylko coś zamigotało, zamrugało, a potem cała sala rozświetliła się jak zakorkowana autostrada, jaskrawo i bezwarunkowo: światło żyrandola zalało światło świec, pełne blasku i przejrzyste kinkiety stłumiły lampiony, półmrok zamienił się w pełną jasność, zwyczajny świat powrócił w kolorowym formacie 3D.

A Josh stał w samym centrum, skupiając uwagę zebranych na sobie niczym okrutne światła reflektorów. Światło ujawniło o Joshu prawdę, którą jako pierwsza musiała odkryć Meryl, a która teraz była widoczna dla nas wszystkich, bo była wypisana na jego twarzy. To była prawda o jego całkowitej, bezbrzeżnej rozpacz.

- Meryl... - zaczął.

Ale już było za późno. Orchidee wypadły jej z rąk, niemal w zwolnionym tempie osunęły się na podłogę.

- Daruj sobie - powiedziała, jakby to miało jakiś sens. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Powiedz prawdę, Josh - mówiła dalej, wciąż patrząc tylko na niego. Przysunęła się do niego i zwróciła ku niemu twarz. - Powołujesz się na brak światła i szczególne okoliczności, możesz wymyślić wiele innych możliwych półprawd, a przecież obiecałeś powiedzieć naszym rodzinom całą prawdę.

W pierwszej chwili nawet się nie odezwał. I nikt nic nie powiedział. Bo i co mielibyśmy powiedzieć? To nagle zapalenie się świateł sprawiło, że Meryl i Josh wyglądali, jakby znaleźli się na scenie i odgrywali wyuczone role. Można było mieć poczucie, że to nie dzieje się naprawdę. Byłam całkowicie przygotowana na to, że związek Josha i Meryl się rozpadnie, i zarazem w ogóle na to nieprzygotowana, co było jedynym powodem, dającym mi pewność, że to wszystko jednak dzieje się naprawdę.

Być może dlatego podniosłam wzrok i spojrzałam na znajdujące się za nimi jedno z witrażowych okien, wypełnione workami na śmieci. Światło wciąż prześwitywało między tymi workami. Wtedy właśnie zauważyłam, że jeden z nich, w najwyższym rzędzie, różni się od pozostałych. Kapała do niego woda, która aż buzowała w nim z przegrzania. Był pokaźniejszy od innych i bezkształtny.

Od góry był zawiązany na podwójny supeł jaskrawoniebieskimi trokami.

To był mój worek.

Moje taśmy. W worku gotowały się moje taśmy! Oczami wyobraźni niemal widziałam, jak się w nim nieodwołalnie zwijają, marszczą

i pękają. I wyobraziłam sobie resztę. W ogólnym zamieszaniu nie trafiły do pokoju hotelowego rodziców. Ojciec musiał wyjąć je z samochodu, bo chciał, żeby były bezpieczne w chłodnym apartamencie, ale ktoś czegoś od niego potrzebował, więc na chwilę worek postawił tutaj. A potem, z jakichś niezrozumiałych powodów, ktoś położył go na oknie z innymi workami na śmieci, czyniąc z jego zawartości ofiarę dla żaru, dla bezlitośnie palącego przez cały dzień słońca. - Och, mój Boże! Słowa wyrwały mi się bezwiednie, a mój głos miał takie brzmienie, że wcale do mnie nie dotarło, że to ja go z siebie wydałam, dopóki nie spostrzegłam, że zebrani, zszokowani moim okrzykiem, zgodnie zwracają na mnie spojrzenia. Łącznie z Joshem. Musiał oczywiście uznać, że to moja reakcja na wydarzenie ostatniej chwili. Bo czy mogło mu przyjść do głowy coś innego? Czy komukolwiek mogłoby przyjść do głowy, że coś takiego mogło się jednocześnie nam obojgu przytrafić? Czy było do pomyślenia, że oboje tracimy wszystko, z czym byliśmy tak mocno związani? Oboje straciliśmy właśnie to, czego utracić najbardziej nie chcieliśmy, coś, z czym czuliśmy się na zawsze złączeni; główny pretekst, który wciąż i wciąż był naszym usprawiedliwieniem dla niekończącego się opierania korzystnym dla siebie zmianom.

Josh na mnie spojrzał. Nasze oczy się spotkały. Wdziałam, że chce, żebym się odezwała. Chciał, żebym powiedziała coś, co przerwie to ciężkie milczenie. Chciał, żebym powiedziała coś, co go uratuje.

A skoro milczałam, sam zaczął mówić. Ale w tej samej chwili na sali zapanowało poruszenie. Profesor Moynihan-Richards wstał i wyprostowawszy się w całej krasie swoich stu pięćdziesięciu dwóch centymetrów wzrostu, zademonstrował pełną gotowość rzucenia się na pomoc córce. Wdząc to, z miejsca wstał również Michael. A za nim podniosła się Bess, wygładzając jednocześnie sukienkę. Wszyscy oni, cała rodzina, która niemal już połączyła się z naszą, gdyby zaszła potrzeba, byli gotowi do ataku. Wobec tego my również się ruszyliśmy. Pierwszy Berringer, gotów wesprzeć Josha. Mój ojciec, moja matka. Ponieważ nie od razu się podniosłam, bo wciąż, jak zahipnotyzowana niebieskim sznurkiem, wpatrywałam się w kompozycję

toreb na śmieci, moja matka, wychylając się z za stojącego już ojca, złapała mnie za ramię i pociągnęła, aż stanęłam wyprostowana jak oni.

Rzuciłam ostatecznie spojrzenie na wciśnięty w okno worek z taśmami, po czym skupiłam się na sprawie bardziej aktualnej, którą miałam pod ręką. Pani Moynihan-Richards gotowa w razie potrzeby do walki na śmierć i życie.

Mogłam się z nią zmierzyć.

Ale przed tym, przed tym, co nastąpiło potem, starałam się z całej siły powstrzymać. Josh na chwilę spuścił wzrok z Meryl i popatrzył na zgromadzonych, na każdego z nas, w pierwszym rzędzie krzeseł i na każdego, kto siedział za nami. W jego spojrzeniu była nie tyle prośba o wybaczenie, ile chęć zakomunikowania czegoś, co ja już wiedziałam. Jeśli ktoś tu zawinił, to on. Sam wiedział o tym najlepiej. I rozumiał to.

Uświadomiwszy to sobie, przestałam odczuwać potrzebę, żeby go obwiniać. Obecni byli nazbyt gotowi, żeby to robić. Odczułam potrzebę, żeby postąpić inaczej. W tym czasie, poza salą balową, życie hotelowe zaczynało wracać do normy. Mruczenie wskrzeszonej klimatyzacji i setek urządzeń - które musiały być włączone do prądu przed nastaniem chaosu: od suszarek do włosów po drukarki - rozbrzmiewało głośnym stereo. W obawie przed przegrzaniem sali zostawiliśmy otwarte drzwi do foyer, więc docierały do nas te wszystkie dźwięki. Dzwoniły telefony, a windy pokonywały piętra. Tuż przy otwartych drzwiach sali balowej jakaś dziewczyna wołała do kogoś z przyjaciół czy może z rodziny, albo kogoś, kto wydawał się jej znajomy, ale wciąż był poza zasięgiem jej głosu, a kto wziął od niej coś, co rozpaczliwie starała się odzyskać. Potrzebna była jeszcze tylko minuta, żeby zrozumiała, że to nie jest możliwe.

A mój brat powiedział:

- Nie mogę tego zrobić.

## **Część piąta**

*Tak się to kończy? Jasne, że nie. Tak się to zaczyna.*

Sadie Everett

I cóż.

Dokąd nas to wszystko prowadzi? Zaczęłam ten zwariowany weekend od prób nadania sensu tym szczególnym chwilom, o których wiemy, że je zatrzymamy w pamięci. Ale i one, jak wszystko inne, nie istnieją bez swoich przeciwności. Być może była jakaś logika w tym, że w końcu musiałam pomyśleć o chwilach, które wolimy skazać na zapomnienie. Czy raczej na zniekształcenie. Jak to się dzieje, że wszyscy to robimy? Tak długo przetrawiamy takie zdarzenia, aż z wolna zaczynamy je widzieć w innym świetle, aż zaczynają brzmieć mniej szczerze, aż pamięć o tym, co bolesne, przestaje boleśnie ranić, wspomnienie staje się łatwiejsze do strawienia? Kiedy wracam pamięcią do chwili, w której Josh przemówił, wszystko inne odsyłając w niepamięć, myślę: Może po to właśnie wygłasza się takie przemówienia. A potem ktoś siedzący w pierwszym rzędzie może podnieść rękę i zaproponować zakończenie, mówiąc na przykład: Może sytuacja, w której się właśnie znaleźliśmy, nie jest zbyt przyjemna, teraz nie jest przyjemnie, ale to się zaraz skończy. Zatem opowiem, co się wydarzyło, zanim rozeszliśmy się do domów.

A było to tak. Po niedoszłym ślubie zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Zebrani zaczęli tłumnie opuszczać salę. Najpierw Josh i Meryl, a za nimi ci, którzy siedzieli w tylnych rzędach krzeseł. I wtedy usłyszałam, jak jedna z kobiet mówi do drugiej, że bardzo się jej podoba suknia Meryl. Stały właśnie w przejściu między krzesłami, więc nie rozpoznałam żadnej z nich. Ale zapamiętałam, w każdym szczególe, jak rozmawiają, trzymając ręce na zielonym oparciu krzeseł,

wymianę ich spojrzeń, wyłączne skupienie się na sukni panny młodej. Jakby w całym wydarzeniu to było najważniejsze albo przynajmniej to, co miały zeń zapamiętać. Sama myśl o tym jednocześnie wprawiła mnie w osłupienie i była dla mnie pociechą.

Tymczasem ja nie wiedziałam, jaką wybrać drogę. W rękę trzymałam taśmy. Wspinanie się po nie na witrażowe okno było jak wchodzenie do mieszkania, o którym wiesz, że jest zamknięte. Wiesz, że to beznadziejna sprawa. Dobrze to wiesz, a jednak naciskasz klamkę. Szybki rzut oka na worek ujawnił prawdę. Większość taśm uległa zniszczeniu, były poskręcane i rozgrzane. W poszukiwaniu miejsca dla siebie rozejrzałam się po holu, w którym wciąż jeszcze były widoczne skutki niedawnego popłochu. Za nic w świecie nie miałam zamiaru wrócić do apartamentu panny młodej. Mogłam sobie wyobrazić, co się tam na górze będzie działo. Josh i Meryl będą wchodzić schodami i w połowie drogi przypomną sobie, że windy już działają. Niewykluczone zatem, że na siódmym lub dziewiątym piętrze opuszczą klatkę schodową i dalej pojedą windą. A kiedy się w niej znajdą, powtórzą dokładnie to, co zrobili na dole, stojąc przed weselnymi gośćmi, powiedzą sobie, że już po wszystkim, że to koniec. I wtedy dopiero będą mogli sami w to uwierzyć.

Bess rozmawiała przez znajdujący się w kącie holu telefon dla gości. Nie miałam pojęcia, do kogo dzwoniła, ale obok niej stał Michael, a Moynihan-Richardsowie kilka kroków dalej. W pobliżu był też mój ojciec, który żegnał wychodzących gości, próbując jednocześnie załagodzić sytuację.

W całym hotelowym świecie wszystko wciąż przemieszczało się w przyspieszonym tempie: hotelowi gońcy i windy, nawet beużyteczne już stopy ręczników.

Postanowiłam wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć powietrza. Wiedziałam, że potrzeba trochę czasu, żeby się wszystko uspokoiło. Uspokoilo na zawsze. Ale kiedy przechodziłam przez obrotowe drzwi prowadzące na ulicę, usłyszałam czyjeś natarczywe pukanie w dzielącą je szybę. To moja matka dawała mi gwałtowne znaki, żebym zawróciła.

Spojrzała na worek w moim ręku, kiedy wracałyśmy do holu, ale się nie odezwała. Nie wiem, czy to dlatego, że jeszcze nie skojarzy-

ła, że taśmy uległy zniszczeniu, czy po prostu dlatego, że nie chciała jeszcze o tym mówić.

- Chcę, żebyś zabrała do domu Moynihan-Richardsów - powiedziała. - Musicie zaraz tam jechać, bo chcą jeszcze dziś wieczór wracać do siebie. Do Arkansas. Najszybciej, jak się tylko da.

Mówiła oficjalnym tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu. Byłam zadowolona z każdego pretekstu pozwalającego mi opuścić to miejsce. Nawet z takiego pretekstu.

- I jeszcze jedno, Emmy. Nie jestem pewna, czy w tej sytuacji ktokolwiek chciałby u nas zostać, ale gdybym zachęcała ich do wyjazdu, zostaliby jeszcze trzy dni.

Przygotuję im kolację. Zaproszę, żeby zostali do końca tygodnia.

- Zajmę się wszystkim, mam - powiedziałam. - Obiecuję.

- Nie chcę już nikogo w domu, Em. Kiedy wrócę wieczorem chcę, żeby w domu nikogo, oprócz naszej czwórki, już nie było. Potrzebna nam chwila samotności. Nie uważasz? - Przerwała i popatrzyła na najbardziej oddalony punkt sufitu. - I błagam.

W pierwszej wolnej chwili wymocz tę zranioną stopę przynajmniej przez pół godziny, dobrze?

Spojrzałam w dół na serwetkę, wyzierającą z sandałka, świadectwo mego skaleczenia. W całym tym zamieszaniu prawie o nim zapomniałam.

- Po prostu usiądź i włóż nogę do wody - mówiła dalej. - Dodaj do wody pół łyżki soli.

- Nasypię furę soli - powiedziałam. - Co jeszcze mam dla ciebie zrobić?

Potrząsnęła głową, delikatnie szarpnęła końce moich włosów, podwijając je pod spód

- Nic więcej.

- Gdzie zatem będziesz? - zapytałam.

- Będę z ojcem - odparła. - Tam, dokąd mnie zabierze.

Nie jestem przywiązana do zwyczaju, zgodnie z którym młodzi zaraz po ślubie udawali się w długą wspólną podróż. Zwyczaj podróży poślubnych wyrósł ze znacznie prostszej północnoeuropejskiej



tradycji picia po ślubie specjalnego rodzaju miodu pitnego, co miało przynieść młodym szczęście. Miód piło się przez cały miesiąc i stąd wzięła się nazwa miesiąca miodowego. Nie miałam jednak wątpliwości, że po tym ślubie alkohol był pity wyłącznie w volvo, którym wiozłam Moynihan-Richardsów. Oboje zasiedli na tylnym siedzeniu, czyniąc ze mnie szofera. Każde z nich zajęło miejsce przy oknie po obu bokach wciśniętego tam Papy Smerfa i każde z nich nieźle pociągało z flaszek zdobytych gdzieś w hotelu.

Profesor Moynihan-Richards zaproponował i mnie, żebym sobie łyknęła, dając mi w ten sposób do zrozumienia, jak sędzę, że nie wini mnie za to, co się stało w sali balowej, ani za cały bałagan, w jaki zamienił się ten weekend.

- To twój brat ponosi za to winę, nie ty - ogłosił w pewnej chwili. - I twoi rodzice. Ale oni tylko w małym stopniu.

Uśmiechnęłam się do nich we wstecznym lusterku.

- Dziękuję - powiedziałam.

Nie wydawało mi się, że to właściwa chwila na zapewnianie ich, że byliby usprawiedliwieni, gdyby winili również mnie. Zwłaszcza że rościłam sobie prawo do bycia przyjaciółką ich córki, a niewątpliwie gdybym była jej prawdziwą przyjaciółką, nie okazałoby się, że co innego liczy się dla mnie bardziej niż ona. Zastanawiałam się, co teraz robi w hotelu. Co oboje robią? Gdzie teraz byli? Czy próbowali sobie jakoś nawzajem pomóc? Wyobrażałam sobie, że oboje siedzą w odległych miejscach salonu tego wielkiego apartamentu i prowadzą rozmowę, która wciąż się rwie. Oboje chcą już wyjść, ale wiedzą, że nie mogą. Wiedzą, że jeśli wyjdą, będzie po wszystkim.

Włączyłam radio w poszukiwaniu stacji, która nie nadawałaby reklam.

- Może posłuchamy komunikatu o ruchu? Sprawdzimy, co się dzieje na waszej autostradzie do domu.

Ale pani Moynihan-Richards przechyliła się przez oparcie przedniego siedzenia, wyłączyła radio i zacisnęła palce na oparciu mojego siedzenia.

- I tak pojedziemy - powiedziała. - Co za różnica, co tam powiedzą?

- Myślę, że jest sposób, żeby się o tym przekonać - odparłam, niezbyt zachwycona, że pani M-R wkroczyła na moją osobistą przestrzeń. Po raz pierwszy zdarzyło się coś, co przypominało prawdziwą rozmowę. Prawdopodobnie miała to również być, zważywszy na szczególne okoliczności dzisiejszego dnia, rozmowa ostatnia. I chociaż marzyłam, żeby usiadła znów tam, gdzie przedtem siedziała, coś ją najwyraźniej powstrzymywało.

- Mam zatem do ciebie pytanie - powiedziała wciąż zawieszona nade mną. - Gdzie są te filmy wideo, które miałaś z tyłu? Meryl mówiła mi, że pracujesz na Rhode Island nad filmem dokumentalnym o rybakach.

- O ich żonach - poprawiłam ją. - Tak, to były moje taśmy - powiedziałam. Bo to były moje taśmy. Były, w całkowicie i boleśnie przeszłym czasie. Miałam nadzieję, że uda mi się uratować kilka z nich, ale nadzieja, że uda mi się odtworzyć większość, była znikoma. Zniszczenie taśm większość historii skazywało na niebyt. Ale wciąż było możliwe, że coś da się uratować. Było możliwe, że nie wszystko przepadło.

- Nie znam się specjalnie na wideo, ale wyglądały, jakby były nieco. .. sponiewierane - odezwał się profesor Moynihan-Richards.

Dzięki, co za geniusz, miałam ochotę powiedzieć. Ale go zignorowałam, a przynajmniej starałam się. Teraz i on pochylił się do mnie, otaczając ramionami puste siedzenie pasażera.

Pani M-R rzuciła mu spojrzenie.

- Meryl opowiadała, że chcesz zrobić film, który się kończy szczęśliwie. Czy takie jest główne założenie twojego filmu?

Potwierdziłam, chociaż poczułam zażenowanie, słysząc, że ktoś mówi o tym głośno. Po prostu zabrzmiało to ckliwie i przypominało, że byłam jeszcze daleka od znalezienia zakończenia filmu i że byłam od tego równie daleka, kiedy posiadałam te materiały, i teraz, kiedy uległy zniszczeniu.

Pochwyił moje spojrzenie we wstecznym lusterku, zerkając na mnie z niewątpliwym niezadowoleniem z powodu mojej ograniczonej do kiwnięcia głową odpowiedzi.

- Ale czy nie uważasz, że to jest raczej smutnawe przedsięwzięcie? - zapytał. - Żeby zrobić film w taki sposób?

- Jaki sposób?

- Żeby miał szczęśliwe zakończenie - powiedział.

- Cóż, nie chodzi o to, żeby być posłańcem złych wieści - wtrąciła pani

Moynihan-Richards - ale myślę, że pominęliśmy ważniejszą kwestię. Dlaczego wybrałaś worek na śmieci do przechowywania materiałów filmowych. Nie ulega wątpliwości, że główną intencją twojego wyboru, przynajmniej podświadomą, było pozbycie się ich. Umieszczenie taśm w worku na śmieci wszystko wyjaśnia.

Profesor Moynihan-Richards pokiwał głową na znak, że zgadza się z wypowiedzią żony. Przez chwilę nie pamiętałam, że są socjologami, ale musiałam sobie o tym przypomnieć, widząc, jak patrzyli na siebie i jak patrzyli na mnie, jakby robili studium przypadku. Studium przypadku dziewczyny, która wszystko, co uważała za ważne dla siebie, wpakowała do worka na śmieci. Brakującym ogniwem w ich koncepcji było to, że nie wiedzieli tego, co mówiło mi doświadczenie, że moja podświadomość pracuje w znacznie bardziej skomplikowany sposób.

Uwzględniając to, jakie życie wiodłam przez ostatnie kilka lat, myślę, że mogłabym sformułować argument niemal nie do odparcia, że gdybym naprawdę chciała pozbyć się tych taśm, worek na śmieci byłby ostatnim miejscem, w którym bym je umieściła.

Profesor Moynihan-Richards przysunął się do mnie.

- Zatem myślisz, że ostatecznie ukończysz prace nad tym filmem? Że znajdziesz takie zakończenie, jakiego szukasz?

Skierowałam znów wzrok na drogę.

- Mam nadzieję, że zdarzy się jeszcze coś.

- To znaczy co? Popatrzyłam wprost na nich.

- Że ktoś mi to powie - powiedziałam.

- Co ci powie? - zapytała pani M-R.

- Co dalej robić - odparłam.

Jeszcze przez chwilę mi się przyglądała, a potem cofnęła się w głąb auta, przyciągnęła do siebie butelkę z winem i wyjrzała przez okno. Profesor M-R uczynił to samo.

- Cóż - powiedziała. - Tak jest nawet smutniej.

A potem zamilkła. On także. Ale wciąż czułam na sobie ich ukradkowe spojrzenia, chociaż myśleli, że nie mogą ich widzieć: nie były jakie spojrzenia, ale spojrzenia politowania, które były dla mnie nie do zniesienia. Czułam te spojrzenia i czułam, jak wali mi serce. A co do leżących z tyłu taśm, przysięgam, że czułam, jak samochód ugina się pod ich ciężarem.

I zanim odzyskałam zdolność myślenia, bo naprawdę nie byłam jeszcze w stanie o tym myśleć, zjechałam z autostrady na pobocze i wyłączyłam silnik. I mając Moynihan-Richardsów z Ozark Mountains za jedynych świadków, wyjęłam z bagażnika worek z taśmami i wyrzuciłam go. Odrzuciłam go na tyle daleko, na ile pozwoliła mi siła rąk i skaleczona stopa, najdalej od siebie jak mogłam. Taśmy wyglądały niemal jak mewy, wyfruwając z lecącego worka. Chore mewy, a nawet konające mewy. Ponieważ lądowały w trawie w odległości nie większej niż trzy metry od miejsca startu.

Nie mogę powiedzieć, że patrzyłam na nie z zadowoleniem, na te daremne pozostałości ostatnich trzech lat mojego życia, ale z pewnością doznałam ulgi. Czułam głęboką ulgę, że ja sama tam z nimi nie konam.

Wróciłam do samochodu i bez słowa wyłączyłam silnik. Wjechałam znów na autostradę i skierowałam się do domu. Kiedy już ruszaliśmy, odezwała się pani Moynihan-Richards.

Mówiła ściszym głosem:

- Czy mogę założyć, że masz kopie tych taśm?
- Tylko wtedy - odpowiedziałam - gdyby chciała pani zrobić fałszywe założenie.

Nie pamiętam szczegółów pożegnania z Moynihan-Richardsami ani jak dostałam się do domu. Nie pamiętam, jak M-R załadowali się do swojego samochodu kempingowego i odjechali. Kiedy znalazłam się w domu, wszędzie było pusto i niesamowicie cicho. Niemal upiornie. Wciąż nie miałam pewności, co zatrzymać z tej podróży samochodem z nimi, jak dokładnie przetrwać to, co zostawiłam na poboczu drogi. Nie czułam już ulgi, że pozbyłam się taśm, że moje niekończące się przedsięwzięcie znalazło wreszcie zakończenie. Chociaż nie czułam również wielkiego smutku z tego powodu. Gdybym musiała nazwać to, co czułam, powiedziałabym, że otworzyła się we mnie jakaś przestrzeń. Od dawna nic takiego nie czułam. Czułam tęsknotę.

Weszłam do kuchni i zapisałam trzy słowa na kartce z notatnika mamy. Przykleiłam ją do frontowych drzwi.

Mój liścik zawiadamiał: „Odejdź natychmiast. Dzięki!”.

Potem nie spiesząc się, udałam się do swojego pokoju. Nie zapalałam świateł, kierując się na znajome schody, wspinając się na górę do mojej sypialni.

Otworzyłam drzwi, częściowo spodziewając się znaleźć tam to, co znalazłam.

Berringer.

Leżał tam, najzwyczajniej leżał na moim łóżku, jakby miał do tego prawo. Na kocu. Był całkowicie ubrany, zdjął tylko buty. Miałam zamiar go zapytać, jak mu się udało wrócić przede mną, ale właściwie wcale mnie to nie obchodziło. Wcale mnie nie obchodziło, jak tu się znalazł i co dokładnie zdarzyło się najpierw. Nie wyglądało na to, żeby to miało jakieś znaczenie.

Zamiast więc pytać, usiadłam na brzegu łóżka i przez chwilę nic nie mówiłam. Nie zrobiłam żadnego ruchu. Ani on. Jednak przez cały czas, kiedy tak siedziałam, trzymał dłoń na moich plecach, a ja czułam delikatny nacisk jego palców. Moje serce mocno waliło i bałam się, że jego palce to wyczują. Martwiłam się, że położył dłoń na moich plecach tylko po to, żeby mnie uspokoić.

Potem zdjęłam buty i postawiłam obok butów Berringera. Rozpuściłam włosy. Wstałam i przekręciłam klucz w drzwiach. Położyłam się obok niego. Berringer cały czas patrzył na mnie bez słowa. Pomyślałam, że przynajmniej na mnie patrzy. W ciemności dostrzegłam mruganie jego oczu. Mój lewy bok przylegał do jego prawego boku, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze, noga przy nodze, stopa przy zranionej stopie.

- Boli cię? - zapytał.

- Bywało lepiej.

Nic nie powiedział. Ale odwrócił się do mnie, oparł się na łokciu i czekał, co jeszcze powiem.

- Robiłam dzisiaj gorsze rzeczy - powiedziałam. Zaprzeczył głową.

- Nie masz aż tak wielkiej mocy.

Wciąż leżałam na plecach, ale odwróciłam do niego głowę, żeby również widzieć jego twarz. Otworzyłam usta, żeby zapytać, dlaczego Celi nie było na ślubie. Ale wtedy uświadomiłam sobie, że nie muszę o to pytać, nie teraz. Nawet gdybym jeszcze nie wiedziała dlaczego, gdyby nie powiedział głośno, że po wczorajszej kolacji odbyli poważną rozmowę, podczas której powiedział, że nie chce się już z nią spotykać, też bym wiedziała, że to już historia skończona. Po prostu to wiedziałam. Berringer tak właśnie postępował. Podobało mi się, że wśród tych chłopaków, których kochałam, był jeden, który właśnie tak postępował.

Berringer odwrócił mnie na drugi bok i zaczął odpinać suwak mojej sukienki. Jego dłonie były zimne jak lód, czułam, jak zwinnie, niczym po szkle, poruszają się po mojej gołej skórze.

- Odpocznijmy trochę - powiedział. Obejmując mnie, skrzyżował dłonie na moim brzuchu.

- Z twoimi dłońmi na moim brzuchu? - zapytałam.

- Możemy spróbować - odparł.

Obróciłam się twarzą do niego. Jego dłonie znalazły się teraz na moich plecach.

- W porządku - powiedziałam, ale już wypowiadając te słowa, całowałam go.

Wyglądał na zdenerwowanego, a to uwolniło mnie od własnego zdenerwowania.

I to było dobre.

Bo gdybym zrobiła cokolwiek innego, gdybym odwróciła od niego wzrok, pozwoliła mu nie patrzeć na mnie, gdyby nie dotykał mnie, gdyby się na mnie nie położył, tak blisko, pewnie robilibyśmy co innego.

Moglibyśmy się zatrzymać.

Ale on mnie przytrzymał, palcami odgarnął moje włosy i wpatrywał się w moje oczy, a wszystko toczyło się z początku tak pomału, jak na zwolnionym filmie.

Każdy moment zdawał się powielać po tysiakkroć, jakbyśmy tym razem nabrali zdolności zatrzymania go w czasie, żeby się zagnieździł. W takiej chwili przez kilka sekund można znów widzieć znajomy obraz z przeszłości, obraz, który niesie spokój, a który został utracony. Obraz ten pojawia się w jasnym oślepiającym błysku światła, które zmusza, by zamknąć oczy i pozwolić mu odpłynąć.

Wt usiałam przysnąć, bo kiedy się obudziłam, leżałam naga, a Ber-ringera nie było, co sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej naga. Podniosłam się powoli, ale i tak dźgnął mnie ostry ból, poczułam, że w stopie jak młotem wali moje serce.

Położyłam się z powrotem z ciężkim westchnieniem. W tej samej chwili, gdzieś w łóżku, zadzwoniła komórka. Sięgnęłam po nią, starając się nie poruszać stopą, która była ciężka jak armata. JOSH.

- Człowieku. Gdzie jesteś? - zapytałam.

- Wciąż w mieście - odpowiedział. - A ty gdzie jesteś?

- W domu.

- Jesteś w domu?

Chrząknęłam. Nie wiedziałam, co mam jeszcze powiedzieć. Nie chciałam mówić o Meryl ani wypytywać o to, co się działo w hotelu. Wolałam, żeby powiedział mi o tym, kiedy sam zechce. Miałam tylko nadzieję, że gdy już będzie chciał o tym rozmawiać, nie sprawi mu to bólu.

- Słuchaj - powiedział. - Prawdę mówiąc, szukam Berringera. Czy nie było go tam? Może go gdzieś widziałaś?

Zerwałam się i złapałam sukienkę.

- Gdzie niby miałabym go widzieć? Dlaczego miałabym widzieć Berringera? Co ci przyszło do głowy? - Wedziałam, że gadam od rzeczy, ale nie panowałam nad tym, co mówię.

- Emmy - poprosił Josh - wyluzuj.

- Jestem wyluzowana - odpowiedziałam znów nie całkiem do sensu.

- Posłuchaj, czy możesz mu tylko powiedzieć, jeśli zadzwoni, że go szukam? Miałem się z nim spotkać o północy. Ale wygląda na to, że trochę się spóźnię. O północy. O północy miałam się spotkać z Mattem. Odwróciłam się w stronę zegara. Była 11.36. Och, mój Boże. Już 11.36. Za piętnaście minut jest umówiona kolacja. Jeśli natychmiast wstanę, nie wezmę prysznic, jeśli włożę na siebie pierwszy lepszy ciuch, może mi się uda zdążyć.

- Hej, Josh, naprawdę muszę wyjść - powiedziałam. - Zobaczymy się, kiedy wrócisz do domu, dobrze?

Ale on mnie nie słyszał.

- Co? - wołał do telefonu. Nie było czasu, żeby powtarzać. Więc się rozłączyłam.



Jest kilka żelaznych reguł, które do mnie przyłgnęły i zawsze mi towarzyszą. Zgodnie z pierwszą z nich, kiedy robię coś w wielkim pośpiechu, wszystko jedno, czy mam wziąć ślub, czy pójść dokądś, czy zgadnąć, co w najbliższym czasie ma się zdarzyć w moim życiu, nieuchronnie zaczynam działać z opóźnieniem, zwalniać tempo. Robię tak, aż nabiorę odwagi, żeby głośno o tym powiedzieć, aż jestem zdolna przyznać, choćby tylko w myślach, że na pewno chcę być tam, dokąd zmierzam.

Druga prawidłowość wiąże się z tym, że moja matka zawsze mnie zmusza, żebym najpierw coś zjadła.

Kiedy z kluczami do samochodu w ręku otworzyłam drzwi frontowe, okazało się, że za nimi stoją rodzice, przebrani już ze ślubnych strojów w codzienne ubrania.

Tata niósł najwyższe białe pudło, jakie w życiu widziałam.

- Kiedy wróciłaś do domu? - zapytał zza pudła.

- A wy kiedy wróciliście? - odpowiedziałam pytaniem.

Moja chora stopa zaczęła drżeć, więc dla utrzymania równowagi złapałam za kołatkę przytwierdzoną do drzwi. Mama odruchowo spojrzała w dół na moją stopę, potem podniosła wzrok i zlustrowała mój strój: błękitne spodnie od pizamy w lśniące obłoczki, a do tego biała koszulka w serek z dopasowanym kolorystycznie błękitnym napisem na piersi, który głosił: „Kocham Mt. Airy Lodge”.

- Fantastycznie wyglądasz - orzekła, skinąwszy głową na mój strój, po czym machnęła na mnie, żebym zeszła z drogi obciążonemu pudłem tacie. Sama weszła za nim do domu. - Chodź tu do kuchni na chwilkę. Chcę ci coś powiedzieć.

- Mamuś, jestem już naprawdę spóźniona - powiedziałam, wskazując na przyklejoną wciąż do frontowych drzwi nabazgraną karteczkę.

Była już w kuchni.

- I cóż z tego, spóźnisz się jeszcze trochę - zawołała do mnie w odpowiedzi.

Zmiełam kartkę i niechętnie zawróciłam do kuchni. Usiadłam na jednym ze stołków. Tata postawił pudło na bufecie. Powoli zdjął pokrywę, odsłaniając złożony z sześciu pięter cudowny, żółty tort ananasowy.

- Nie można nie zjeść weselnego tortu, bo to przynosi pecha - oznajmiła mama, siadając na stołku naprzeciwko mnie i odgarniając włosy z twarzy.

- Ale oni nie wzięli ślubu - sprostowałam. Spojrzała na mnie.

- Czy masz zamiar przez całe życie o wszystko się ze mną sprzeczać? Niech się wreszcie dowiem.

Tata pocałował w czoło mamę, a potem mnie i udał się w stronę schodów.

- Możecie przynieść mi na górę mój kawałek - powiedział. - Muszę wziąć prysznic. Marzę o tym od ostatnich dziewięciu godzin.

- Przyjdę tam do ciebie - oznajmiła mama, patrząc za nim. A we mnie obudziło się zupełnie takie samo dziwne uczucie, którego doświadczałam jako dziewczynka, kiedy widziałam, że flirtują. Coś w rodzaju połączenia mdłości i ulgi. Odwróciła się do mnie z uśmiechem. - A teraz - powiedziała, wyjmując z szuflady pod blatem dwa widelczyki i podając mi jeden z nich - chcę usłyszeć, co właściwie o tym myślisz.

- O czym, mamó?

- Dokąd się teraz wybiera twój brat? Oczywiście, jak już się upora z tą ohydą, której narobił. Bo to jest pełna ohyda, muszę dodać. - Zamknęła oczy, jakby wyrażając w ten sposób sprzeciw wobec całej sytuacji. - Jak myślisz, czy ma zamiar teraz się z nią zobaczyć? Z tą drugą przyjaciółką?

- A wiesz, że ma inną przyjaciółkę? - zapytałam. - Wiesz o Elizabeth?

- To tak ma na imię? - Widelczyk z kęsem tortu zatrzymał się na wprost jej ust. - Ładne imię - orzekła.

- Wygląda na to, że co do tego będzie zgoda. Włożyła kęs tortu do ust i zaczęła go powoli żuć.

- Zjedz choć trochę - zachęcała.

Potrząsnęłam głową, patrząc na najwyższe piętro tortu. Białe lukrowe wnętrze wskazywało miejsce, w którym mama napoczęła tort.

- Nie mogę - powiedziałam. - Mówiłam ci. Jestem już naprawdę mocno spóźniona. Popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem, jakby mówiąc: „Spóźniona? Na co?”. Nie odpowiedziałam, co jak sądzę, było jedyną odpowiedzią, jakiej się spodziewała.

- Ach - powiedziała, odkładając widelec.

- Mamo, ja nie... Nie mam zamiaru zaczynać tego od nowa. Mówię o Matcie.

Kocham go. Ale nie mogę się z nim związać. Teraz już to wiem. Jestem pewna - powiedziałam.

A w miarę jak wypowiadałam te słowa, nabierałam pewności, że mówię prawdę.

Wreszcie zrozumiałam, że nie mogę wrócić do Mat-ta i codziennie przeżywać lęk, że to się znów tak samo skończy. Nie miałam pojęcia, dokąd z tego miejsca, w którym się znajdowałam, mam się udać, żeby znaleźć prawdziwe szczęście.

- Wiesz, muszę to powiedzieć, nie jestem pewna, czy potrafię zrozumieć swoje dzieci

- odezwała się matka, wycierając ręce w serwetkę. Wskazała frotowe drzwi. - Tamto przez lata kursowało między dwiema kobietami w nadziei, że w końcu jedna z nich podejmie za niego decyzję, którą on tylko mógł podjąć. A to tutaj organizuje swoje życie od początku do końca, podejmuje wszystkie decyzje, zazwyczaj jednocześnie dwie różne. Wyjeżdża, ale zostaje. Zostaje, ale dokładnie tam, skąd wyjeżdża.

Próbowałam uśmiechnąć się do niej, ale tylko poczułam łzy pod powiekami.

- Kiedy byłaś mała, zawsze się skarżyłaś, że Josh podejmuje wszystkie decyzje, bo jest starszy. „Mamo, dlaczego on tu o wszystkim decyduje - mówiłaś. - To ma być sprawiedliwość?”. Wobec tego na twoje siódme urodziny ojciec zarządził, że ty wybierzesz cel

naszej letniej podróży. Mogłaś wybrać dowolne miasto w Ameryce, odległe jak Seattle i bliskie jak Manhattan. A wiesz, jakie wybrałaś?

Wcale nie musiała tyle mówić, pamiętałam to. Zawsze pamiętałam, a teraz zaczynałam rozumieć coś jeszcze. Zaczęłam rozumieć, do czego zmierza mama. Do czegoś, czego do tej pory nie chciałam dostrzec.

- Londyn - powiedziałam.

- Londyn - powtórzyła. - I nie liczyło się to, co ciągle ci powtarzałam, że nie stać nas na cztery bilety na samolot do Londynu, że w rachubę wchodzi tylko podróż samochodem. Zupełnie jakbyś była ślepa na wszystko inne. A kiedy tata wziął mapę i próbował ci wytłumaczyć, że Londyn nie leży w Ameryce, zaczęłaś się z nim kłócić. „Ale ja chcę pojechać do Londynu. To jest najfajniejsze miasto w Ameryce. Tylko tam chcę pojechać”. Powtarzałaś to całymi tygodniami. Byłaś jak zepsuta płyta.

- I dokąd w końcu, zamiast do Londynu, pojechaliśmy tamtego roku? - zapytałam, bo nie mogłam sobie przypomnieć. - Nie pamiętam.

- Do Hershey w Pensylwanii. Bardzo ci się tam podobało. Już pierwszego dnia przyszałaś do ojca i powiedziałaś: „Tato, myślę, że w Hershey w Pensylwanii jest jeszcze fajniej, niż byłoby w Londynie”.

Hershey. Jedyne obraz, jaki mi się nasuwa, to nasz wjazd samochodem do miasta. Siedziałam nadąsana za ojcem na tylnym siedzeniu, tępo wpatrzona w tył jego głowy.

- Naprawdę? Tak powiedziałam?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Przez cały czas narzekałaś: „Ta restauracja nie jest w Londynie. Ta cukiernia nie jest w Londynie. A tam też nie ma Londynu”.

- Dlaczego nic nie pamiętam?

Wzruszyła ramionami i znów wzięła do ręki widelec. Nabrała kawałek tortu, tym razem dla mnie.

- Byłaś zbyt zajęta narzekaniem.

Wzięłam od niej kęs tortu. Był słodki i owocowy, ciepły od jazdy samochodem albo z powodu braku prądu w hotelu, albo z obu przyczyn. W ustach pozostał mi jego smak.

- Przykro mi, że taka byłam - powiedziałam.

- Nie musi ci być przykro - powiedziała. - Musisz po prostu zrozumieć, co do ciebie mówię. Opowiadałam ci o tym, jak się z tatą poznaliśmy, prawda?

- Dziesiątki razy.

- Ale pamiętasz to?

- Oczywiście, że pamiętam - potwierdziłam. - Zobaczyłaś go, wyszliście razem z sali balowej i już wiedziałaś, że to on jest ci przeznaczony. Po prostu to wiedziałaś. Już od tej chwili. Istnieliście dla siebie tylko wy dwoje.

- Było zupełnie inaczej - zaprzeczyła. Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Dobra - powiedziałam - zaczynasz mnie przerażać.

- Wiedziałam tylko, że jeśli wyjdę z sali balowej i pożegnam się z nim, wszystko będzie w porządku. Równie dobrze mogłam pójść do teatru i kogoś spotkać, jeśli nie tego popołudnia, to kiedy indziej, a moje całe życie byłoby zupełnie inne.

Wyszłabym za tego innego mężczyznę albo nie. Albo odnowiłabym romans ze swoim pierwszym chłopakiem, Neimanem Mortimarem, który, tak się złożyło, jest teraz największym dostawcą damskich strojów balowych na całym północnym wschodzie. I miałabym inny dom, inne meble. Może miałabym białe meble. I wydawałabym wielkie wspaniałe kolacje szabasowe. I bardzo, bardzo bym lubiła swoją teściową.

- Susan Mortimar? Malutką panią z laską, z którą zawsze się witasz w Whole Foods? Tą z różowymi włosami i malutkim wózeczkiem na zakupy?

- Przyznasz, że jest urocza?

Nie mogłam się już powstrzymać. Zaczęłam płakać. Ananas utknął mi gdzieś w gardle. Matka przysunęła się do mnie, zasłaniając sobą dzielący nas blat.

Ale nie dotknęła mojej ręki ani nie nachyliła się bardziej, żeby dosięgnąć mojej twarzy. Wzruszyła ramionami.

- Tego dnia, kiedy spotkałam twojego ojca - odezwała się - nauczyłam się, że trzeba dokonywać wyborów. Na dobre i na złe. Trzeba wybierać, jakie chce się mieć życie.

Próbowałam przełknąć, próbowałam pomyśleć, jak powiedzieć, co naprawdę o tym sądzę.

- Nie czuję jeszcze, że mam przed sobą dobre wybory - powiedziałam. - Tym trudniej jest zrezygnować ze starych.

Machnęła ręką. - Cóż. Tak czy siak, to twoja sprawa - powiedziała. - Wciąż tkwisz na tym samym etapie, na którym utknęłaś, mając siedem lat.

- A jakież to etap?

- Etap, na którym musisz nauczyć się wybierać z całego wachlarza tego, co jest dostępne, a nie z tego, czego już nie ma, a przynajmniej, czego nie można mieć. Wciąż wybierasz wyobrażenie ideału, które nosisz w sobie, i nie umiesz się od niego uwolnić. Powinnaś pomyśleć, jakie możliwości wyboru stawiasz przed sobą teraz, a jakiego życia dla siebie chcesz.

Z czego wybieram. Czego dla siebie chcę. W myślach już tworzyłam wykaz. W kolumnie „z czego wybieram” figurowaliśmy Matt i ja oraz Josh z Meryl. Znalazła się tam podróż do Londynu, która wciąż się nie odbyła, dalej cała masa zdarzeń, a może tylko jedno, które mogą w przyszłości trafić do mojej wyobraźni. Co znalazło się w kolumnie „czego dla siebie chcę”? Czy jest coś, co mogę tam umieścić? Czy w ogóle brałam pod uwagę takie pytanie?

Nie zapytałam jej o to. Nic nie powiedziałam. Bo co miałam powiedzieć, skoro doszłam do wniosku, że nie umiem ocenić, jak bardzo moje obecne życie oddaliło się od wizji przyszłości, której mogłam dla siebie pragnąć. Mieszkałam zupełnie sama w prowincjonalnym miasteczku. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby takie życie było moim prawdziwym wyborem. Rzecz w tym, że podejmując decyzję, nie rozważałam innych możliwości wyboru. I teraz nieoczekiwanie dla siebie zobaczyłam z wielką jasnością, że wcale nie jest obojętne, z czego się wybiera.

Mama wzięła znów widelec i zjadła ostatni kawałek tortu, wielki i mocno polukrowany.

- I nie obrażaj się, dobrze? Ale nie znoszę tej koszulki. Nikt tak naprawdę nie kocha Mt. Airy Lodge. Nawet jeśli udaje, że tak jest.

Dotarłam na umówioną kolację spóźniona około dwudziestu minut. Przez ostatnie dziesięciolecie lokal nie zmienił się ani na jotę. Wielkie otwierane okna wzdłuż całej restauracji, po obu stronach wejścia białe kolumny i ogromny jasnoróżowy neonowy napis. W poszukiwaniu stosownego dla mojej chorej stopy miejsca jak najbliższego wejścia byle jak zaparkowałam samochód w sąsiedztwie stojącego na tyłach pojemnika na śmieci. Pokuśtykałam na jednej nodze w stronę drzwi frontowych. Okazało się jednak, że nie byłam w stanie dojść tam tak szybko, jak chciałam.

Spieszyłam się, nie dlatego że chciałam już wreszcie powiedzieć Mattowi nie, ani dlatego że cudem udało mi się wymyślić, co mam mu powiedzieć, żeby skłonić go do odejścia. Chciałam go przeprosić za to, że go w taki sposób zostawiłam w motelu. Chciałam go przeprosić, nie dlatego że źle postąpiłam, ale dlatego że wreszcie zrozumiałam: swoim odejściem uniemożliwiłam nam zrobienie jedyne słusznego wtedy kroku. Odeszłam w taki sposób, jakbym wierzyła, że naprawdę odchodzę. A dopiero teraz byłam na to gotowa. Z całego serca chciałam mu życzyć powodzenia i szczęścia w Paryżu. Chciałam, żeby był szczęśliwy.

Jednak kiedy weszłam do restauracji, jego już nie było. Kelner powiedział mi, że przyszedł wcześniej i nawet nie usiadł. Nie tylko nie usiadł, nawet się nie rozejrzył po sali. Wręczył mi tylko sztywną ozdobną kopertę i poprosił o przekazanie dziewczynie o imieniu Emmy.

- Zakładam, że ma pani na imię Emmy. - Wymówił moje imię z ciężkim greckim akcentem. -1 zakładam, że nie ma pani dla mnie

kolejnych poleceń. Nie świadczymy usług kurierskich, to chyba jasne?

- Bardzo przepraszam - powiedziałam, odbierając kopertę. - Naprawdę doceniam pańską uprzejmość.

Spróbowałam się do niego uśmiechnąć, co nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, i wyszłam z restauracji na frontowe schody. Usiadłam na nich przy balustradzie i powoli otworzyłam kopertę z obawą przed tym, co do mnie napisał.

Ale w środku nie było żadnego listu. Nie było żadnej notatki, nawet wizytówki.

Tylko mała, skierowana w dół strzałka narysowana na otwieranej części koperty, a tuż nad nią napis wielkimi literami: TO WCIAŻ NALEŻY DO CIEBIE.

Zajrzałam głębiej.

A tam z lewego jej rogu coś do mnie połyskiwało. Mój pierścionek zaręczynowy. Włożyłam rękę do koperty, ostrożnie go wyjęłam i położyłam na dłoni. Oto część Matta i mnie. Namacalna część tego, czym było nasze wspólne życie. Wsunęłam pierścionek na mały palec i przyłożyłam go do ust. I oto gdzie się znalazłam? Na powrót w pokoju motelowym w Narragansett. Patrzyłam w sufit. Zdejmowałam pierścionek z palca. Byłam bliska zrobienia po raz ostatni tego, co musiałam zrobić. Wypowiedziałam słowa pożegnania.

Szczęśliwie się złożyło, że wypowiedziałam te słowa do siebie, bo już tylko ja musiałam w nie uwierzyć. Ale tym razem miałam wrażenie, jakby Matt również je wypowiadał. Skądś spoza parkingu, który opuścił, zanim nadjechałam. Kiedy to postanowił? Dziś rano po obudzeniu, rozmyślając o naszej przyszłości. A może jadąc tu i znów

o nas myśląc. Przypuszczam, że nie ma znaczenia, kiedy podjął tę decyzję. Liczy się tylko to, że oboje podjęliśmy taką samą decyzję.

i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wzajemnie daliśmy sobie dokładnie to, czego każde z nas potrzebowało.

Matt przez cały czas trzymał pierścionek u rodziców w Scars-dale, bo również nie chciał nań patrzeć. Tak jak ja miał dość jego widoku, ale być może był to nie najgorszy sposób na to, byśmy oboje



pamiętali, jakie miał dla nas znaczenie. Jednak to nie miało zaciążyć na wszystkim w naszej przyszłości. Skoro to sobie uświadomiliśmy, dzielący nas dystans zaczął się zmniejszać. Miałam delikatne przeczucie tego, co mogło nastąpić, mgnienie prawdy o tym wszystkim. Między nami pojawiałby się i zanikał dystans. Byłoby zupełnie inaczej, ale zarazem zupełnie tak samo. Wspominałam Matta i wspominałam go źle. I pewnie dlatego tak bardzo za nim tęskniłam.

Za plecami usłyszałam pukanie. Odwróciłam się i zobaczyłam tego samego kelnera za szybą drzwi frontowych z rozpląszczonym na niej nosem i dłońmi po obu stronach twarzy.

- Nic pani nie jest? - zapytał bezgłośnie przez szybę. Uśmiechnęłam się.

- Prawie nic - powiedziałam bezgłośnie w odpowiedzi.

- To dobrze - powiedział, otwierając drzwi. - Zatem nie zechciałaby pani prawie spadać z moich schodów?

Musiałam się jeszcze gdzieś zatrzymać.

Początkowo planowałam wracać prosto do domu i spotkać się z Joshem, a gdyby go jeszcze nie było, zadzwonić po niego. Ale nie mogłam tego zrobić po drodze. Nie byłam wcale pewna, czy trafię w to miejsce, zwłaszcza po ciemku. Byłam tam tylko kilka razy i to bardzo dawno temu.

Musiałam to zrobić, musiałam właśnie teraz wymyślić, jak to zrobić, nawet gdyby to była ostatnia rzecz, którą miałam zrobić.

Kiedy zajechałam, Berringer na podjeździe rzucał piłkę do kosza. Stał dokładnie pod koszem i rzucał, raz za razem łapiąc piłkę, gdy tylko przeszła przez siatkę. Na podjeździe było ciemno, więc grał w świetle reflektorów swojego samochodu. Był zarumieniony i rozgrzany.

Wolno do niego podeszłam.

- Nie boisz się obudzić sąsiadów? - zapytałam.

Spojrzał na mnie szczerze zdziwiony z piłką pod pachą i uśmiechem na ustach.

- Piłka powietrzna - powiedział. - Bezpieczna o każdej porze dnia i nocy.

Odwzajemniłam uśmiech. Stał tak blisko, że czułam ciepło bijące od jego nóg.

Niepokoiliam się, że słyszy, jak mi wali serce. A jeśli nawet nie słyszał, to z pewnością patrzył na mnie w poszukiwaniu wskazówki, jak ma się zachować. Nie chciałam tak stać, jakbym czekała, aż on coś powie, ale nie umiałam również odejść.

- Minęłaś się z nim o jakieś sześć minut - powiedział, rzucając piłkę przez ramię. - Właśnie odjechał.

- Josh? Kiwnął głową.

- Powiedział, że pojedzie przez basen.

- Przez basen w Scarsdale? Po co? - Podniosłam rękę. - Wiesz co? Cofam pytanie. Wcale nie chcę wiedzieć.

- Węc ci nie powiem. Nawet ci nic nie zasugeruję. - Przerwał, a ja dałabym słowo, że sam dobrze nie wiedział, co chce powiedzieć. - Ale powinnaś wiedzieć o tym, co było wcześniej, mam na myśli nas... utknąłem w łazience. Nie zniknąłem bez słowa. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

Potrząsnęłam głową.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Nie, wiem, że nie. Ale ja tam byłem. Unieruchomiony w łazience. Słyszałem, jak twoja mama szpera w szafie z bielizną, a byłem bez spodni i nie wiedziałem, jak się stamtąd wydostać, nie alarmując wszystkich. Przez chwilę myślałem, że otwiera drzwi od łazienki, i wskoczyłem do kabiny prysznic.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

- Przecież wiesz, że mogłeś naprawdę brać prysznic. Mogłeś nawet naprawdę położyć się tam spać - powiedziałam. - W końcu jesteś najlepszym przyjacielem Josha.

- Widzisz? A gdzie byłeś z tymi radami, kiedy ich potrzebowałem. To się nazywa musztarda po obiedzie.

Zacząłam się śmiać, a on mi wtórował. I razem przestaliśmy się śmiać.

- Ale myślę, Emmy, że powinniśmy o tym porozmawiać - powiedział - o tym, co się stało. Jeśli chcesz o tym rozmawiać.

Już miałam powiedzieć, że chcę, ale naprawdę nie miałam pewności, że mogę. Jeśli miał zamiar powiedzieć coś, co miało sprawić, żebym po tym, co zaszło między nami, nie czuła się źle i żebym zaakceptowała, że nasze drogi się rozejdą, to wolałabym wszystko po prostu zostawić tak, jak jest. Wolałabym zostać przy tym, co sprawiło, że przez kilka chwil czułam się znów szczęśliwa.

- A o czym tu rozmawiać? - zapytałam. - Przecież ty tylko uratowałeś mi życie, prawda?

Uśmiechnął się do mnie wielkim, szerokim uśmiechem. I przez chwilę zaświtała mi myśl, że powie, co chce zrobić. Gdyby mógł. Gdyby ktokolwiek oprócz mnie mógł to dla mnie zrobić.

- A co powiesz na to, że w San Francisco jest zawsze miejsce dla ciebie. Jeśli w ogóle szukasz jakiegoś miejsca?

- Powiem, że to wspanała wiadomość - odpowiedziałam. A potem uściśniłam mu rękę, uściśniłam ją, czując to, co czułam, i zaczęłam odchodzić. Ale on wyciągnął rękę i przytrzymał mnie. Naprawdę mnie tam zatrzymał.

- Wiesz - powiedział. - Mogłabyś zaplanować, że szukasz dla siebie nowego miejsca. Moglibyśmy się do tego przymierzyć. Ludzie tak robią.

- Jacy ludzie? - zapytałam.

- Po prostu ludzie, których znam - odpowiedział. - Wiesz, ludzie, którzy, wiesz, mogą o sobie powiedzieć, że się nawzajem lubią.

- Cha, cha - powiedziałam, spuszcżając wzrok. Zarumieniłam się, moja twarz w jednej chwili zrobiła się czerwona. Wiedziałam, że nawet po ciemku widzi, że się rumienię. Wiedział też, że nie mogłam tego powstrzymać.

Rzucił piłkę w powietrze i ją złapał.

- Nie musisz mi teraz odpowiadać, nie musisz nic mówić - rzucił. - Może przyjdzie taki dzień.

- Jakiś dzień - powiedziałam, znów na niego patrząc. - Ale zanim zacznę planować jakąś podróż, muszę koniecznie na chwilę zajechać do Rhode Island, żeby wymówić pracę, zabrać rzeczy i gdziekolwiek się przeprowadzić.

- Z powrotem tutaj?

- Nie, nie zrobię mojej mamie takiej przyjemności - odpowiedziałam. - To by nie wyszło na zdrowie drużynie. Mam na myśli Los Angeles. Może pójdę do szkoły filmowej albo poszukam pracy bardziej związanej z filmem niż z rybami.

- Ale koniec z Narragansett?

- Koniec - potwierdziłam. To brzmiało szczerze. Brzmiało tak szczerze, że nie mogłam już temu zaprzeczyć. Moje materiały dokumentalne stały się przeszłością. Nie miałam zamiaru zbierać ich na

nowo, chociaż teoretycznie mogłabym. Tym razem byłabym w stanie zrobić to we właściwy sposób. Ale tak naprawdę nie miałam pomysłu jak, a wiedziałam, że nie mogę już tracić czasu, próbując to wymyślić: od czego znów zacząć albo jak powinnam tym pokierować. Zrozumiałam nareszcie, że to samo, dokładnie to samo, mogę powiedzieć o Matcie.

- Po prostu nie sądzę, żebym miała do czego tam wracać - powiedziałam. Pokiwał głową.

- To mi wygląda na dobry powód, żeby się rozejrzeć za czymś nowym. Rzeczywiście. Też to tak widziałam.

- Wiesz, że w Stanfordzie są świetne kursy? Przyznaję, nie znam się za dobrze na tych sprawach, ale słyszałem, że to prawdopodobnie najlepszy w Ameryce kurs dla filmowców dokumentalistów. Nie mówię tego z myślą o sobie - dodał szybko. - Tak tylko mówię.

Posłałam mu uśmiech.

- Cóż, doceniam twoje... mówienie.

Oboje umilkliśmy. Chciałam, żeby coś jeszcze powiedział. Cokolwiek. Tylko tego chciałam.

Ale może to była moja kolej, żeby coś powiedzieć.

- Może zadzwonię do ciebie, kiedy już się stamtąd wyniosę? - rzuciłam. - Może przyjedziesz do mnie z wizytą?

- Albo spotkamy się w połowie drogi - wtrącił. - I żeby to nie były rozważania teoretyczne, od razu powiem, że w połowie drogi jest Big Sur i Monterey. Tam jest niewiarygodnie. A nad samą wodą, obok Carmelu, jest świetna restauracja. Mieści się w starej chacie. Mała knajpka na jakieś sześć stolików. Mój kumpel jest tam kucharzem. Gotuje naprawdę niesamowicie. Nie tak świetnie jak ja, rzecz jasna, ale wiesz... - Uśmiechnął się. - Niewykluczone nawet, że uda mi się zjeść normalny posiłek.

- Zatem jestem za - powiedziałam i rzeczywiście byłam za. Na całym wybrzeżu kalifornijskim było niesamowicie fajnie. Byłam tam jako mała dziewczynka i spodobał mi się pomysł, żeby tam wrócić. Podobał mi się każdy szczegół tego pomysłu: żeby jechać wzdłuż

wybrzeża, ekscytować się odkrywaniem nowych widoków i spotkaniami z ludźmi. Chyba cieszyłam się też z samego faktu przeprowadzki.

- Zatem myślę, że do ciebie zadzwonię - obiecałam. - Mam cię w komórce. -

Podniosłam ją, żeby mógł zobaczyć.

- Jestem w twojej komórce - powtórzył.

Spuściłam wzrok, czując, jak znów oblewa mnie fala zawstydzenia. Dlaczego jestem taka zmieszana, skoro wszystko wydaje się właściwe? Czy nie powinnam się z tym poczuć swojsko? Lekko? Nie miałam tej pewności. W istocie nie byłam pewna, że to początek czegoś ważnego. A do tego w domu wszyscy się rozmarzą, mama, tata, Josh. Trzeba będzie im wyjaśniać, zastanawiać się, co dalej. W końcu minie mała chwila, zanim zadzwonię do Berringera. Ale teraz, przed odejściem, przeciągnęłam spojrzeniem po jego twarzy, żeby przypomnieć sobie, że tego chciałam. Naprawdę chciałam.

Berringer wyciągnął rękę, dotknął mojego ucha i delikatnie wsunął mi za nie włosy.

- Jesteś taka ładna - powiedział.

Uśmiechnęłam się. Uśmiechnęłam się, a potem opuściłam wzrok, bo właśnie miałam mu powiedzieć to samo. A to zapowiadało dobry początek.

Kiedy z początku pomyślałam o toaście ślubnym dla Josha i zaczęłam czytać o różnych ślubnych obyczajach, natknęłam się na informację o historii samych toastów. Okazało się, że istnieje stary francuski zwyczaj wkładania spieczonego kawałka chleba do kieliszka, kiedy wino wymaga jeszcze dekantowania od naturalnych ciężkich osadów. Tost wchłania wszystkie osady, wchłania osady, które przedostaną się do kieliszka, i pozwala pijącemu cieszyć się pełnym smakiem wina. Francuzi nazywają ten proces „toastowaniem”. I stąd wywodzi się toast.

Kiedy jeździłam nocą po moim rodzinnym mieście, mając już za sobą ślub, który się nie odbył, pokaz ogni sztucznych i wieczór kawalerski, sobotnią podróż samochodem i awarię elektryczności, nawilżone serwetki i tort ananasowy mojej matki, zepsuty kierunkowskaz (tę malutką zepsutą strzałeczkę), utraconą miłość i życie przed sobą, przyszło mi do głowy, jaki toast powinnam wznieść na cześć mego brata, gdyby była znów okazja, żeby go wygłosić. Po raz pierwszy od długiego czasu znalazłam właściwą odpowiedź. To była odpowiedź jednoznaczna.

Trafiłam do Scarsdale Pool, bo zaczęłam od miejsca, w którym się wszystko zaczęło. Znalazłam się tu po raz drugi w ten najdłuższy i najkrótszy weekend w moim życiu.

Kiedy zajechałam, na parkingu zobaczyłam samotny samochód Josha stojący pod trzema latarniami, z których wysypywały się świetlne paciorki.

Zaparkowałam obok i zajrzałam do samochodu Josha, nie był zamknięty, a silnik był jeszcze ciepły. Potem otworzyłam bagażnik

i sięgnęłam po apteczkę pierwszej pomocy tam, gdzie ją zawsze trzymał. Z apteczką pod pachą starałam się podążać jego śladami do owalnej znanej nam dziury w płocie od tyłu (wciąż tam była) i dalej na wzgórze. Okolica była teraz całkowicie opustoszała. Panowała cisza. Nawet z odległości rozpoznałam kształt jego cienia. Wiedziałam, gdzie go szukać.

Szłam szybko, umyślnie w to samo miejsce, które zajmowaliśmy tamtego wieczoru. I Josh tam był, samotnie leżał na plecach. Obok położył marynarkę i klucze. I dużą niebieską latarkę.

Stałam nad nim, bo w pierwszej chwili pomyślałam, że nie ma zamiaru się odezwać.

Ale zaskoczył mnie.

- Czy myślisz, że to bezpieczne tak się wałęsać po zamkniętym terenie publicznym?  
- zapytał.

Ciągle jeszcze stałam.

- To nie jest niebezpieczne - odparłam. - To jest zapewne jedna z niewielu korzyści powrotu do domu.

- Nie byle jaka, jak sądzę - powiedział. Usiadł i starannie mi się przyglądając, zauważył w moim ręku apteczkę pierwszej pomocy. - Co się stało? - zapytał.

- Musisz mnie opatrzyć - odpowiedziałam. Potem przesunęłam jego rzeczy, które leżały na mojej drodze, usiadłam na zwolnionym miejscu i zdjęłam z nóg klapki. Sięgnął po moją zranioną stopę, chwytając za piętę.

- Na co udało ci się nadepnąć? - zapytał.

- Dokładnie? Na potłuczoną butelkę piwa Amstel Light - powiedziałam. - Myślę, że szkło weszło dość głęboko. Jestem pewna, że tam tkwią jeszcze jakieś odłamki.

Może to już są tylko odłamki odłamków.

Zapalił latarkę, kierując jej światło na moją stopę. Czubkiem palca leciutko nacisnął ranę.

- Nie wygląda bardzo źle - stwierdził.

- Ale nie jest za fajne - ja na to.

Mówiąc to, przypomniałam sobie pierwszy rok studiów medycznych Josha.

Pewnego razu, kiedy u niego byłam, przerzucałam kart-



ki jednej z jego książek. Przeczytałam wtedy zdanie, które na zawsze wbiło mi się w pamięć. *Ciało może tolerować obcy obiekt każdego rodzaju tak długo, jak długo jest ci potrzebny.* Już go miałam zapytać, czy to prawda, czy dobrze zapamiętałam to zdanie, czy je nieco zniekształciłam, ale postanowiłam, że na dwie minuty przyjmę, że to prawda, zwłaszcza że moje pytanie nie tego dotyczyło. Chciałam zapytać o to, jak nasze ciało tego dokonuje? W jaki sposób uczy się, co zatrzymać i kiedy się tego pozbyć?

Josh wyjął pincetę i gaziki i zaczął oklepywać chore miejsce.

- Jeśli jesteś ciekawa - odezwał się - przyszedłem tutaj, bo najbardziej w świecie marzyłem o tym, żeby się znaleźć gdzieś, gdzie panuje całkowity spokój.

Cofnęłam stopę, gdy tylko dotknął jej metal.

- Czy chcesz mi w ten sposób dać do zrozumienia, że mam się wynosić, jak tylko skończysz?

- Chcę powiedzieć, że oczekuję rozmowy, a nie krzyków.

Na powrót podsunęłam mu stopę. Latarka oświetlała twarz Josha, nadając mu wygląd zarazem młodszego i starszego niż był: surowe oblicze, wpatrzone we mnie. Bardzo się starał skoncentrować.

- Czy zatem wybrałam najgorszy moment, żeby cię zapytać, co masz zamiar teraz zrobić? - rzuciłam.

Przez chwilę milczał, skupiając się na stopie z pincetą w dłoni.

- Wiem, że jestem okropnym facetem - powiedział.

- Wcale nie jesteś okropnym facetem, Josh - nie zgodziłam się z nim. - Okropny facet nic by sobie z tego nie robił.

- Ale porządny facet przede wszystkim nie dopuściłby, żeby sprawy zaszły tak daleko. Wzruszył ramionami, uśmiechając się półgębkiem. - Ciągle myślę, że nie należę do kategorii facetów, za jakimi przepadasz.

- Może jeszcze nie - potwierdziłam, ale mówiąc to, odwzajemniłam uśmiech. Bo niemal był takim facetem albo może wierzyłam, że nim jest. Wewnętrznie byłam naprawdę tego pewna.

- Przedtem dziwnie się czułem, wiesz? Zawsze myślałem, że kiedy przyjdzie dzień ślubu, przypomnę sobie wszystkie powody, dla których ją kocham, i że to wystarczy, żeby przez to przejść.

- I tak się nie stało?

- Właśnie, że nie. Dokładnie tak się stało. Ale efekt był wręcz przeciwny. Chociaż kochałem ją tak bardzo, uświadomiłem sobie, że to nie wystarczy.

Zgięłam kolano i podsunęłam bliżej stopę, żeby mu było łatwiej dostać się do rany na podeszwie.

- Teraz pociągnę - wyjaśnił. - Poczujesz mocne uszczypnięcie, i to wszystko.

To była słaba pociecha. Już dawno temu Josh powiedział mi, że używa słowa „uszczypnięcie”, kiedy ma sprawić pacjentowi prawdziwy ból. Miałam zamiar mu to przypomnieć, ale z przyjemnością patrzyłam, jak się skupia. Nawet kiedy nastąpiło „szczypanie”. To mi jeszcze coś przypomniało. Coś niezwiązanego z tym.

- Kiedy jedziesz do Rhode Island? - zapytałam.

Przez chwilę się zawahał, ale po jego twarzy poznałam, że już dokładnie wie, kiedy.

- Jutro rano.

W milczeniu pokiwałam głową. Chciałam go zapytać o całą resztę. Chciałam zapytać, czy sądzi, że ona mu pozwoli zostać, czy sądzi, że zasłużył na tę szansę, żeby spróbować, czy im się uda. Ale nie to wydało mi się istotą rzeczy. Naprawdę ważne było to, że wiedział, dokąd zmierza. Chociaż raz miał co do tego jasność. I coś z tym robił. Zrobił coś odważnego. Byłam z niego dumna.

- Może w najbliższych tygodniach przyjechałbyś do Narragan-sett i pomógł mi w przeprowadzce? - Spojrzał na mnie, a ja dostrzegłam pytanie wypisane na jego twarzy: Czyżbym się pakowała? Tak po prostu? Koniec z żonami rybaków? Koniec z tym wszystkim? - To zabawne, prawda? - dodałam. - Akurat wtedy, kiedy mamie i tacie udało się mnie wyrwać z Rhode Island, ty się tam przenosisz.

- Jestem pewien, że im się to wyda komiczne - powiedział. Potrząsnął głową i poczułam ostatnie szarpnięcie. Bardzo mnie zabolalo, jakby paliło żywym ogniem. - Boże, czy wyobrażasz sobie mamę, która mnie tam odwiedza? Dostanie ataku serca na widok tych wszystkich psów.

Pomyślałam o tym, jak Josh prezentował się na tle farmy w towarzystwie Elizabeth i Grace. Pewien siebie, gotowy do działania. Wiedziałam już teraz, że nasza mama tego właśnie dla nas najbardziej pragnęła, tego rodzaju nadziei.

- Tak - odparłam. - Wyobrażam to sobie.

Josh odłożył pincetę, położył na ranie dwie grube warstwy gazy i ciasno zabandażował. Potem lekko klepnął mnie po stopie na znak, że minizabieg chirurgiczny jest zakończony.

- Jestem załatwiona?

- Jesteś załatwiona.

Poruszyłam stopą, która trochę przypominała ponadwymiarowy rożek lodów waniliowych. Chociaż wyglądała całkiem nieźle.

- Nie będziemy o tym rozmawiać? - zapytał Josh, próbując uchwycić moje spojrzenie. - Jak to się stało, że zdecydowałaś się porzucić swój projekt?

Mój projekt. Wszystko, co po nim zostało, znalazło nowy dom na łące przy autostradzie Hutchinson River Parkway. Myśląc o tym, poczułam znów uszczypnięcie. Ale było niezaprzeczalną prawdą, że nawet dziewięćset żon nie mogło zrobić tego, co dla mnie było niezbędne. Nie mogły sprawić, żeby historia mojej pierwszej miłości znalazła szczęśliwe zakończenie. I nie mogły mi powiedzieć, jak ruszyć z miejsca, dopóki naprawdę nie zaczęłam czegoś robić. I wreszcie to bardzo miłe uczucie tak zupełnie już ich nie potrzebować. A może jeszcze przyjemniejsze, że mnie jednak czegoś nauczyły, nie o samym czekaniu, to jasne. Ale o życiu, życiu pełną piersią, nawet jeśli się czeka na coś, czego się mocno pragnie.

- Jak tylko będziesz gotowy przystąpić do swojego kazania „a nie mówiłem?” - powiedziała - daj mi znać, to zatkam uszy.

Z wolna potrząsnął głową.

- Nie, wiesz, co ci powiem? Chyba to sobie odpuszczę. Uśmiechnęłam się, patrząc, jak zbiera rzeczy, podnosi latarkę

i wstaje, przeciągając ramiona. A potem, nachyla się i pomaga mi wstać.

- Zupełnie nie rozumiem, jak mogłaś cały dzień chodzić z tym paskudztwem w stopie - powiedział. - To musiało nieźle boleć.

- Cóż, oboje sami sobie zafundowaliśmy dziś trochę bólu - uzupełniłam.  
Przewrócił znacząco oczami pod moim adresem, na co, jak sądzę, zasłużyłam sobie.

- Czy możemy oszczędzić sobie filozofowania, dobrze? - powiedział.

- Przepraszam. Wyrwało mi się takie sytuacyjne skojarzenie.

Zapalił latarkę i zanim ruszył w stronę parkingu, na chwilę oświetlił moją twarz.

Ruszyliśmy, ja przodem, a Josh pół kroku za mną. Pomyślałam o tym, że za cztery tygodnie, w drodze do Los Angeles, wpadnę tu, żeby zrobić zdjęcie. Chciałam zapamiętać, co czułam tu, siedząc, i zabrać ze sobą to uczucie ulgi, którego, wiem o tym, oboje doznaliśmy, tę energię, której spokojnie nabieraliśmy. Ostatecznie zrozumiałam, że bierze się ona głównie stąd, że pozwalały sobie zrezygnować z czegoś, czego się dotąd kurczowo trzymaliśmy. Ale kiedy tu wróciłam, był jasny dzień i wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Na naszym miejscu umieszczono ogromny tęczyowy parasol, spod którego wystawały końce dwóch czerwonych ręczników plażowych. Mimo to chciałam zrobić zdjęcie. Węc je zrobiłam. Zrobiłam je pod takim kątem, że widać tylko czubek parasola, spirale żywych kolorów na tle mocno rozpalonego sierpniowego słońca, ale bezpiecznie ode mnie oddalonego. To zdjęcie okazało się w końcu najbardziej obiecującym epilogiem tego zwariowanego weekendu, jaki mogłam sobie wymarzyć.

- A przy okazji, czy w ogóle przygotowałaś jakiś toast na moje wesele? - zapytał teraz Josh, potknąwszy się za moimi plecami. - Co miałaś zamiar dziś powiedzieć, gdybyś w końcu musiała wstać i przemówić?

- Nie zaszłam tak daleko. - Wzruszyłam ramionami. - Ale pewnie ograniczyłabym się do krótkiej mówki.

- Jak krótkiej? - nie ustępował, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. W jego głosie słyszałam nutki rozbawienia, ton znajomego sarkazmu.

Trochę za bardzo go to bawiło. Mimo to odwzajemniłam uśmiech, głównie dlatego że nie miało już znaczenia ani to, co powiem, ani to,

co zrobię. Teraz bardziej się liczyło co innego. Są słowa i są uczucia, a gdzieś tam, gdzie się ze sobą spotykają, leży prawda. Moja prawda była zaś taka, że byłam gotowa do powrotu do domu. Myślę, że oboje byliśmy już na to gotowi, i to bez względu na to, co miało się potem zdarzyć.

Zatrzymałam się, ale tylko na chwilę.

- Wiesz, po prostu naprawdę ważne jest - powiedziałam - żeby mieć się dobrze, być szczęśliwym i szczerym. No i jeszcze, oczywiście. .. twoje zdrowie.

Mówiąc to, podniosłam wymaginowany kielich, by uczcić tę chwilę, i poszłam dalej.